

W pajęczynie mroku

Clark Higgins Mary



calibre 0.9.27

MARY HIGGINS CLARK

W PAJĘCZYNIĘ MROKU

PRZEŁOŻYŁA TERESA KOMŁOSZ

Poświęcam tę książkę pamięci Warrena, a także dedykuję ją Marilyn, Warrenowi, Carol i Patricii.

*Jesteście lustrem, w którym widzę siebie.
Wspomnijcie nasze najszczęśliwsze lata.*

Siedział nieruchomo przed telewizorem w pokoju 932 w hotelu Biltmore. Budzik zadzwonił o szóstej rano, ale on nie spał już od dawna. Zimny, porywisty wiatr uderzał z łoskotem o szyby i to wystarczyło, by wyrwać go z niespokojnego snu.

Rozpoczął się dziennik. Nie interesowały go wiadomości, chciał tylko zobaczyć wywiad.

Wiercił się na krześle, krzyżował i rozprostowywał nogi. Wcześniej wziął prysznic, ogolił się i włożył zielony garnitur, który miał na sobie wczoraj, gdy meldował się w hotelu. Świadomość, że nadszedł wreszcie ten dzień, sprawiła, że przy goleniu drżały mu ręce. Zaciął się wargę. Rana trochę krwawiła, a słony smak krwi w ustach przyprawiał go o mdłości. Nienawidził krwi.

Poprzedniego wieczoru, kiedy zjawił się w hotelu w nowym garniturze, ukrywając pod pachą niechlujnie wyglądający płaszcz, recepcjonista obrzucił go pogardliwym spojrzeniem i spytał, czy ma rezerwację.

- Tak, mam rezerwację - odpowiedział zimno i widząc, że tamten stracił pewność siebie, dodał: - Zapłacę gotówką z góry. Wymelduję się w środę rano.

Pokój kosztował sto czterdzieści dolarów za trzy noce. To oznaczało, że pozostało mu jedynie trzydzieści. Wystarczy w zupełności na tych parę dni, a do środy będzie miał osiemdziesiąt dwa tysiące dolarów.

Przed oczami zajaśniał mu obraz jej twarzy. Zamrugał, aby go odpędzić, ponieważ, jak zawsze, zobaczył oczy - oczy jak dwa wielkie reflektory, które nieustannie go śledziły i nigdy nie gasły. Zaprzagnął napić się kawy i zadzwonił po obsługę hotelową. W ogromnym dzbanku, który miał w pokoju, zostało jej jeszcze trochę, ale wypłukał go, umył też filiżankę i spodek oraz szklankę po soku pomarańczowym i dopiero wtedy wystawił tacę na korytarz.

Kończyła się właśnie jakaś reklama. Pochylił się do przodu z zainteresowaniem, chciał lepiej widzieć. Zaraz powinien zacząć się wywiad. Przekręcił w prawo gałkę potencjometru.

Znajoma twarz redaktora, prowadzącego dziennik, wypełniła ekran. Bez uśmiechu, przytłumionym głosem Tom Brokaw zaczął mówić:

- Przywrócenie kary śmierci stało się w tym kraju wydarzeniem wzbudzającym najwięcej emocji i kontrowersji od czasów wojny wietnamskiej. Za pięćdziesiąt dwie godziny, dwudziestego czwartego marca o jedenastej trzydzieści, odbędzie się szósta w tym roku egzekucja. Dziewiętnastoletni Ronald Thompson zostanie stracony na krześle elektrycznym. Mój gość...

Kamera cofnęła się, obejmując dwoje ludzi siedzących po obu stronach Toma Brokawa. Mężczyzna na prawo miał niewiele ponad trzydzieści lat, choć jego jasne włosy były już przyprószone siwizną. Opierał podbródek na złożonych dłoniach, co nadawało mu wygląd człowieka pogrążonego w modlitwie, podkreślony jeszcze przez wygięcie ciemnych brwi nad stalowoniebieskimi oczami.

Młoda kobieta po drugiej stronie prowadzącego wywiad siedziała sztywno wyprostowana. Włosy w kolorze miodu miała ściągnięte do tyłu w miękki węzeł. Zaciśnięte w pięści dłonie trzymała na kolanach. Zwilżyła językiem wargi i odgarnęła z czoła pojedynczy kosmyk.

- Podczas naszego poprzedniego spotkania, sześć miesięcy temu - kontynuował Tom Brokaw - nasi goście dali przykład kontrowersyjnych postaw, przedstawiając swoje poglądy na temat kary

śmierci. Sharon Martin, niezależna felietonistka, jest autorką poczytnej książki „Zbrodnia kary śmierci”. Stephen Peterson, wydawca czasopisma „Wydarzenia”, wypowiadał się w środkach masowego przekazu za przywróceniem kary śmierci w naszym kraju. - Teraz z nagłym ożywieniem zwrócił się do Steve’a: - Zaczniemy od pana, panie Peterson. Będąc świadkiem burzliwej reakcji opinii publicznej na egzekucje, które już zostały wykonane, nadal uważa pan, iż pańskie stanowisko jest uzasadnione?

- Absolutnie - powiedział spokojnym głosem Steve i pochylił się do przodu.

Prowadzący zwrócił się do drugiego gościa:

- Pani Martin, a co pani o tym sądzi?

Kobieta przesunęła się nieco na krześle, zwracając twarz w stronę pytającego.

Była potwornie zmęczona. Przez ostatni miesiąc pracowała po dwadzieścia godzin dziennie, kontaktując się ze znanymi osobistościami, senatorami, kongresmanami oraz sędziami i bojownikami o prawa człowieka, przemawiając na uczelniach, w klubach kobiecych, a także namawiając wszystkich, aby pisali lub dzwonili do pani gubernator Connecticut i protestowali przeciw egzekucji Ronalda Thompsona. Odzew był ogromny i Sharon była pewna, że gubernator Greene rozważy sprawę ponownie.

- Myślę... - powiedziała - ... jestem przekonana, że my, nasz kraj, zrobiliśmy ogromny krok wstecz, do średniowiecza. - Uniósła gazetę. - Spójrzcie tylko na nagłówki dzisiejszej prasy porannej. Zastanówcie się nad nimi! Są żądne krwi. - Szybko przebiegła je wzrokiem. - O ten... posłuchajcie... „Connecticut sprawdza działanie krzesła elektrycznego”. Albo ten... „Dziewiętnastolatek umrze w środę” i ten: „Skazany zabójca utrzymuje, że jest niewinny”. Wszystkie są żądne sensacji, wyrażają zdziwienie! - Głos jej się załamał i zagryzła wargi.

Steve rzucił na nią szybkie spojrzenie. Tuż przed audycją powiedziano im, że pani gubernator zwołuje konferencję prasową, aby oznajmić, iż nie zgadza się na kolejne odroczenie egzekucji. Owa wiadomość załamała Sharon. W tej sytuacji nie powinni byli zgodzić się na udział w dzienniku. Decyzja pani gubernator uczyniła dzisiejsze wystąpienie Sharon bezcelowym, a Bóg jeden wie, że i Steve nie chciał tu być. Teraz jednak musiał coś powiedzieć.

- Myślę, że każdy przyzwoity człowiek ubolewa nad żerowaniem na tragediach oraz potrzebą stosowania kary śmierci - oświadczył. - Ale pamiętajmy, że jest ona stosowana po dokładnym przeanalizowaniu wszystkich okoliczności łagodzących. Nie istnieje wyrok śmierci z założenia.

- Czy jest pan przekonany, że w przypadku Ronalda Thompsona fakt, iż popełnił on morderstwo zaledwie parę dni po swych siedemnastych urodzinach, co oznacza, że dopiero od kilku dni zaczął podlegać karze dla dorosłych, nie powinien zostać wzięty pod uwagę? - zapytał Tom Brokaw.

- Pan wie, że nie będę się wypowiadał co do tego konkretnego przypadku. Byłoby to niewłaściwe.

- Rozumiem - odrzekł prowadzący. - Ale zajął pan określone stanowisko w tej sprawie kilka lat wcześniej... - Zawiesił głos, a po chwili kontynuował spokojnie: - ...zanim Ronald Thompson zamordował pańską żonę.

„Ronald Thompson zamordował pańską żonę” - bezbarwny charakter tych słów wciąż zdumiewał Steve’a. Po dwóch i pół roku ciągle czuł wściekłość, że Nina umarła w taki sposób, życie zostało jej odebrane przez intruza, który wdarł się do ich domu i bezlitośnie okręcił apaszkę wokół jej szyi.

Próbując oderwać myśli od tego obrazu, spojrzał przed siebie.

- Kiedyś miałem nadzieję, że zakaz egzekucji w naszym kraju będzie trwały - powiedział. - Ale, jak pan zauważył, na długo przed tragedią w mojej rodzinie doszedłem do wniosku, iż jeśli mamy chronić podstawowe prawa ludzkie... prawo do swobodnego poruszania się czy też do poczucia

bezpieczeństwa we własnym domu, musimy powstrzymać przestępców. Niestety, wygląda na to, że jedynym sposobem powstrzymania potencjalnych morderców jest traktowanie ich tak samo brutalnie, jak oni traktują swoje ofiary. Od czasu pierwszej egzekucji, która odbyła się dwa lata temu, liczba morderstw w największych skupiskach miejskich w kraju obniżyła się gwałtownie.

Sharon pochyliła się do przodu.

W twoich ustach brzmi to tak logicznie! - wykrzyknęła. - Czy nic zdajesz sobie sprawy z tego, że czterdzieści pięć procent morderstw popełniają ludzie w wieku poniżej dwudziestu pięciu lat, z których wielu pochodzi z tragicznie obciążonych środowisk rodzinnych i cierpi na zaburzenia osobowości?

Samotny telewidz w pokoju 932 w hotelu Biltmore oderwał wzrok od Steve'a Petersona i uważnie przyjrzał się kobiecie. To ta pisarka, którą Steve coraz poważniej się interesował. Zupełnie niepodobna do jego żony. Wysoka, o wysportowanej, smukłej sylwetce. Żona Steve'a była drobna, a trochę lalkowatej urodzie, miała krągłe piersi i czarne, kręcone włosy.

Oczy Sharon Martin przypominały ocean. Któregoś dnia mężczyzna wybrał się na plażę do Jones Beach, ponieważ słyszał, że to dobre miejsce do podrywania dziewcząt. Niestety, w jego przypadku stwierdzenie to się nie sprawdziło. Ostatecznie więc siedział i gapił się na ocean, obserwując zmieniające się barwy. Zielen. To było to. Zielen dodana do błękitu i zmacona. Podobały mu się oczy tego koloru. Co mówił Steve? Ach tak, powiedział coś o tym, że żał mu ofiar, „ludzi niemogących się bronić”, nie ich oprawców.

- Ja też im współczuję! - zawołała Sharon. - Ale to nie jest kwestia albo-albo. Czy nie sądzisz, że dożywotnie więzienie to wystarczająca kara dla wszystkich Ronaldów Thompsonów na tym świecie? - Zapomniała o Tomie Brokawie i kamerach telewizyjnych, raz jeszcze starając się przekonać Steve'a. - Jak możesz, ty, taki wrażliwy... tak bardzo ceniący życie... chcieć zastąpić Boga? - zapytała. - Czy ktokolwiek może rościć sobie prawo do wydawania wyroków w imieniu Pana Boga?

Ta kłótnia zaczęła się i teraz kończyła tak samo, jak sześć miesięcy temu, gdy spotkali się w tym programie po raz pierwszy.

- Kończy się nasz czas na antenie - odezwał się Tom Brokaw. - Czy możemy podsumować to wszystko stwierdzeniem, iż mimo publicznych demonstracji, buntów w więzieniach i studenckich wieców pan, panie Peterson, nadal wierzy, że gwałtowny spadek liczby przypadkowych morderstw usprawiedliwia egzekucję?

- Wierzę w moralne prawo... obowiązek... społeczeństwa do samoobrony i rządu do obrony świętej wolności swoich obywateli - odparł Steve.

- Pani Martin... - Brokaw zwrócił się do Sharon.

- Ja wierzę, że kara śmierci jest pozbawiona sensu i zbyt okrutna. Wierzę, że możemy uczynić nasze domy i ulice bezpiecznymi, usuwając przestępców i karząc ich sprawiedliwymi wyrokami, a także głosząc za rozwiązaniami, które pozwolą stworzyć sieć niezbędnych ośrodków resocjalizacyjnych. Myślę, że to wyraża nasz szacunek dla życia, dla każdego życia.

- Pani Martin, panie Peterson - wtrącił pośpiesznie Tom Brokaw. - Dziękuję bardzo za udział w programie. Połączymy się z państwem ponownie po reklamie...

W pokoju 932 w hotelu Biltmore muskularny, barczysty mężczyzna wyłączył telewizor i długo wpatrywał się w pociemniały ekran. Raz jeszcze powtórzył w myślach swój plan. Plan, którego wykonanie rozpoczął, umieszczając zdjęcia i walizkę w zakonspirowanym pokoju na dworcu Grand Central, a zakończy, sprowadzając tam dzisiejszego wieczoru syna Steve'a Petersona. Teraz musiał podjąć decyzję, co robi z Sharon Martin, która ma być dziś wieczorem w domu Steve'a, żeby opiekować się chłopcem. Postanowił, że po prostują... zlikwiduje.

Ale czy powinien? Jest taka piękna. Pomyślał o jej oczach jak ocean, zmieszanych i czułych. Gdy tak spoglądała prosto w kamerę, miał wrażenie, że patrzyła na niego. Może go kochała. Jeśli nie, łatwo będzie się jej pozbyć. Po prostu zostawi ją z chłopcem w pomieszczeniu na Grand Central w środę rano.

A o jedenastej trzydzieści, gdy wybuchnie bomba, zginą oboje.

Razem opuścili studio. Sharon czuła ciężar tweedowej peleryny na ramionach. Ręce i stopy miała lodowate. Wkładając rękawiczki, zauważyła, że pierścionek z kamieniem księżycowym, który Steve podarował jej na Gwiazdkę, znów zostawił na palcu ciemny ślad. Było bardzo zimno, zaczynał padać śnieg. Grube, lepkie płatki chłodziły twarz.

- Złapię taksówkę - powiedział.

- Nie... chyba się przejdę.

To szaleństwo. Wyglądasz na śmiertelnie zmęczoną.

- To mi pomoże zebrać myśli. Och, Steve, jak możesz być taki pewny... tak przekonany... taki nieubłagany?

- Nie wracajmy do tego tematu, moja droga,

- Musimy!

- Nie teraz - powiedział stanowczo i spojrzał na nią. W jego wzroku zniecierpliwienie mieszało się z troską.

Oczy Sharon zdradzały wyczerpanie. Makijaż, zrobiony dla potrzeb kamery, nie ukrywał bladości, którą podkreślał śnieg, topiący się na czole i policzkach.

- Nie możesz pójść do domu i trochę odpocząć? - zapytał.

- Muszę oddać felieton.

- No cóż, spróbuj chociaż przespać się parę godzin. Będiesz u mnie około piątej piętnaście?

- Steve, nie jestem pewna...

- Ale ja jestem. Nie widzieliśmy się od trzech tygodni. Luftsowie też liczą na to, że będą mogli uczcić swoją rocznicę ślubu poza domem. Chcą iść do restauracji i do kina, a ja chcę pobyć dziś wieczorem z tobą i Neilem.

Nie zwracając uwagi na ludzi, objął ją i zbliżył jej twarz ku swojej.

- Sharon, kocham cię, wiesz o tym. Bardzo za tobą tęskniłem przez ostatnie tygodnie. Musimy porozmawiać o nas - powiedział z powagą.

- Steve, nie myślimy podobnie. My...

Nie odwzajemniła pocałunku. Czuł, jak jej ciało tężeje. Odsunął się i unióś dłoń, aby zatrzymać przejeżdżającą taksówkę. Gdy podjechała do krawężnika, przytrzymał drzwi, podał kierowcy adres i spytał:

- Sharon, czy mogę na ciebie liczyć, jeśli chodzi o dzisiejszy wieczór?

W milczeniu skinęła głową. Patrzył chwilę na odjeżdżające auto, a potem szybko ruszył w stronę hotelu Gotham. Ponieważ musiał być w studiu o szóstej trzydzieści, wynajął tu pokój. Bardzo chciał porozmawiać przez telefon z Neilem, zanim chłopiec wyjdzie do szkoły. Zawsze kiedy Steve był poza domem, martwił się o syna. Neil wciąż miewał koszmarne sny, zdarzało mu się budzić z duszącymi atakami astmy. Pani Lufts wzywała szybko doktora, ale mimo to... Może na wiosnę, gdy będzie mógł więcej czasu spędzać na powietrzu, stan jego zdrowia się poprawi.

Wiosna! Mój Boże, przecież już jest wiosna, chociaż pogoda wciąż na to nie wskazuje.

Steve doszedł do rogu ulicy i skręcił, uświadamiając sobie, że on i Sharon spotykają się dokładnie od sześciu miesięcy. Kiedy przyszedł po nią do jej mieszkania tego pierwszego wieczoru,

zapropnowała spacer do Central Parku. Ostrzegł ją, że się ochłodziło, i przypomniał, że jest właśnie pierwszy dzień jesieni.

- Wspaniale - odparła. - Lato już mi się znudziło.

Przez jakiś czas prawie się do siebie nie odzywali. Obserwował, jak szła, z łatwością dotrzymując mu kroku. Smukłą sylwetkę podkreślał ściągnięty pasek kostium, świetnie dobrany do koloru włosów. Pamiętał też, że ostry wiatr zrywał z drzew pierwsze suche liście, a zachodzące słońce podkreślało głęboki błękit jesiennego nieba.

- W taki wieczór jak ten zawsze przychodzi mi na myśl ta piosenka z musicalu „Camelot” - powiedziała. - Znasz? „Jeśli kiedykolwiek miałabym cię opuścić”? - Zanuciła półgłosem: - „Nie wiem, jak mogłabym opuścić cię jesienią. Widziałam, jak się mienisz, gdy jesień wyostrza powietrze. Wiem, jaki jesteś jesienią, i muszę być przy tobie...”.

Czy to właśnie w tym momencie zakochał się w Sharon?

Ten wieczór był taki przyjemny. Przedłużali kolację, rozmawiając w nieskończoność.

O czym mówili? O wszystkim. Ojciec Sharon pracował jako inżynier w Towarzystwie Naftowym. Ona i jej dwie siostry urodziły się za granicą. Obydwie były już zamężne.

- A ty? Jak się uchowałaś?

Obydwoje wiedzieli, że tak naprawdę pytał o to, czy jest ktoś ważny w jej życiu.

Nie było nikogo. Zanim zaczęła pisać felietony, podróżowała dużo jako reporterka. Nawet nie zauważyła, że czas mija i nie ułożyła sobie życia.

Trzymając się za ręce, wracali wolno do mieszkania Sharon. Zaprosiła go, aby wstąpił na pożegnalnego drinka. Lekki nacisk położony był na słowie „pożegnalnego”.

Kiedy przyrządzał napoje, zapaliła drewno w kominku. Siedzieli ramię przy ramieniu, patrząc na płomienie.

W pamięci Steve’a wciąż żywe były uczucia, których doświadczał tamtego wieczoru. Pamiętał, jak blask ognia wydobywał złocisty ton jej włosów i podkreślał klasyczny profil twarzy. Pragnął wtedy wziąć ją w ramiona, ale zdobył się jedynie na lekki pocałunek przy wyjściu.

- W sobotę, jeśli nie będziesz zajęta... - Zawiesił głos.

- Nie jestem zajęta.

- Zadzwoń do ciebie rano.

Jadąc do domu, uświadomił sobie, że samotność doskwierająca mu od dwóch lat może się skończyć. „Jeśli kiedykolwiek miałabym cię opuścić...”.

Było piętnaście po ósmej, kiedy wszedł do budynku, w którym mieściło się jego wydawnictwo. Personel czasopisma „Wydarzenia” nie musiał wcześniej przychodzić do pracy i korytarze były opustoszałe. Skinąwszy głową stojącemu przy windzie strażnikowi, Steve udał się do swojego gabinetu na trzydziestym piątym piętrze i zatelefonował do domu.

Odebrała pani Lufts.

- Och, Neil ma się świetnie. Właśnie je śniadanie, a właściwie dłubie w nim. Neil, to tatuś. - Podala chłopcu słuchawkę.

- Cześć tato, kiedy wracasz do domu? - zapytał syn.

- Na pewno wieczorem około wpół do dziewiątej. Mam o piątej spotkanie. Luftowie nadal wybierają się do kina, prawda?

- Chyba tak.

- Sharon będzie przed szóstą, żeby mogli wyjść.

- Wiem, mówiłeś mi. - Głos Neila był pełen rezerwy.

- No cóż, życzę ci miłego dnia, synu. Ubierz się ciepło. Tutaj jest dość zimno. Czy tam u was też

pada śnieg?

- Nie, jest tylko trochę pochmurno.
- No dobrze, do zobaczenia wieczorem.
- Pa, tato.

Steve się zasępił. Trudno uwierzyć, że Neil był kiedyś żywym, niesprawiającym kłopotów dzieckiem. Śmierć Niny bardzo go zmieniła. Peterson chciał, aby Neil i Sharon trochę się do siebie zbliżyli. Sharon starała się zaprzyjaźnić z chłopcem, ale on pozostawał nieprzystępny, przynajmniej do tej pory.

Czas. Wszystko wymaga czasu. Steve westchnął, odwrócił się w stronę biurka i sięgnął po wstępnik, nad którym pracował poprzedniej nocy.

Mężczyzna z pokoju 932 opuścił hotel Biltmore o dziewiątej trzydzieści rano. Skorzystał z drzwi wychodzących na ulicę Czterdziestą Czwartą i skierował się w stronę Drugiej Alei. Ostry, dmuchający śniegiem wiatr poganiał przechodniów, sprawiając, że kurczyli się i wciskali szyje w podniesione kołnierze.

Mężczyzna był zadowolony. W taką pogodę ludzie nie zaprzatają sobie głowy tym, co robią inni. Jego pierwszym celem był sklep z używanymi rzeczami. Nie zwracając uwagi na autobusy, kursujące co parę minut, przeszedł piechotą czternaście przecznic. Chciał zachować dobrą kondycję, a marsz to doskonale ćwiczenie.

W sklepie nie zastał nikogo poza sprzedawczynią, pogrążoną w lekturze porannej gazety.

- Czy życzysz pan sobie coś specjalnego? - spytała.

- Nie. Tak tylko się rozglądam.

Dostrzegł wieszak z damskimi okryciami i podszedł do niego. Przebierając w zniszczonej odzieży, wybrał długi ciemnoszary, wełniany płaszcz. Sharon, jak pamiętał, była dość wysoka. Obok wieszaka stał pojemnik z chustkami. Mężczyzna sięgnął po największą - bładoniebieską.

Kobieta włożyła wybrane przez niego rzeczy do plastikowej torby. Następny był sklep ze sprzętem turystycznym. Tu kupił wielki, płócienny worek żeglarski. Wybrał go starannie, upewniając się, że jest wystarczająco długi, by pomieścić chłopca, dość sztywny, by trudno było rozpoznać, co zawiera, i odpowiednio szeroki, by pomieścić wystarczającą ilość powietrza.

U Woolwortha przy Pierwszej Alei mężczyzna kupił sześć rolek szerokiego bandaża i dwa duże zwoje mocnego sznurka. Z zakupami wrócił do hotelu Biltmore. Łóżko w jego pokoju było pościelone, a w łazience leżały świeże ręczniki,

Rozejrzał się, szukając śladów wskazujących na to, że pokojówka zaglądała do szafy. Ale druga para butów była na swoim miejscu, dokładnie tak, jak ją zostawił: jeden but odrobinę cofnięty, a żaden nie dotykał stojącej w rogu starej, czarnej walizki z podwójnym zatrzaskiem.

Zamknawszy drzwi do pokoju na klucz, położył torby z zakupami na łóżku. Z niebywałą ostrożnością wyciągnął z szafy walizkę, otworzył i dokładnie sprawdził zawartość: zdjęcia, proch, zegar, kable, bezpieczniki, nóż myśliwski i rewolwer. Zadowolony, zamknął ją i po chwili opuścił pokój, zabierając walizkę i torby. Tym razem ruszył do podziemnego pasażu i dotarł na stację Grand Central. Poranna godzina szczytu minęła, ale na dworcu nadal panował ruch.

Mężczyzna skierował się na opustoszały peron, z którego odjeżdżały pociągi do Mount Vernon. Przez najbliższe osiemnaście minut nie odchodził żaden, więc rozejrzawszy się wokół, przybyły upewnił się, że strażnik nie patrzy w jego kierunku. Szybko zbiegł po schodach prowadzących na peron, który rozciągał się w kształcie litery U wokół zakończenia torów. Pośpiesznie je okrążył, dotarł do rampy i zszedł do przejścia podziemnego. Wyżej dworzec wypełniała bieganina tysięcy przybywających do miasta i opuszczających je podróżnych. Tutaj łomotała pneumatyczna pompa, szumiały wentylatory, a posadzka była wilgotna od stale kapiącej wody. Wyglądzone bezpieczeństwa koty przemykały pobliskim tunelem pod aleją. Z pętli docierał stłumiony odgłos kół zgrzytających o szyny.

Mężczyzna dotarł do stromych, żelaznych schodów. Pośpiesznie, ale bardzo cicho wszedł po metalowych stopniach. Od czasu do czasu strażnik zapuszczał się w ten rejon. Oświetlenie było co

prawda marne, ale mimo to... Mężczyzna ostrożnie postawił walizkę i torby na niewielkiej platformie, na wprost której znajdowały się ciężkie, metalowe drzwi. Odszukał w portfelu klucz. Szybko, nerwowo włożył go do zamka i przekręcił. Otworzył drzwi.

W środku panowały egipskie ciemności. Sięgnął po omacku do kontaktu, znalazł go i trzymając na nim dłoń, wstawił walizkę i torby do pomieszczenia, po czym bezszelestnie zamknął drzwi. Zapanowała absolutna ciemność. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny. Przez chwilę mężczyzna sprawdzał, czy dochodzą tu odgłosy ze stacji. Wokoło było cicho i dopiero gdy bardzo wyteżył słuch, mógł cokolwiek usłyszeć.

Rozluźnił się i przeciągle westchnął.

Wszystko w porządku.

Przekręcił kontakt i pomieszczenie wypełniło się mętym światłem. Był to pokój w kształcie litery L. Z cementowych ścian odpadały płatami grube warstwy szarej wodoodpornej farby. Po lewej stronie stały dwa stare zlewy do zmywania naczyń, bardzo brudne, a stale kapiąca z kranów woda poplamiała je smugami rdzy. Pod ścianą, obok odwróconej skrzynki po pomarańczach, stało płócienne, polowe łóżko. To łóżko i skrzynka zaniepokoiły mężczyznę. Ktoś dostał się do tego pokoju i mieszkał tutaj. Ale kurz na łóżku i zapach stęchlizny wskazywały, że od miesiący, a może nawet lat, pomieszczenia nie otwierano. Na środku znajdowała się winda kuchenna. Wąskie drzwi po jej prawej stronie były uchylone, ukazując obskurną toaletę. Wiedział, że jest czynna. Przyszedł tu w zeszłym tygodniu, pierwszy raz od ponad dwudziestu lat. Coś przypomniało mu o tym pomieszczeniu, kiedy układał swój plan i zastanawiał się, gdzie mógłby przetrzymać syna Petersona do chwili odebrania okupu. Obejrzał je i uznał, że doskonale się nadaje. Dawniej należało do baru Ostryga. Mieszcząca się dokładnie pod kuchnią lokalu, stara obudowana winda zwoziła tu sterty tłustych talerzy, które należało umyć w zlewach, wysuszyć i odesłać na górę. Przed laty kuchnia została odnowiona i zainstalowano w niej mechaniczne zmywarki, a tę klitkę zamknięto na amen.

Kiedyś tu pracował. Rękami spuchniętymi od zrączych detergentów, wrzątku i ciężkich, mokrych ścierek mył talerze po krewetkach, ostrygach, okoniach i innych przysmakach, które jedli w restauracji elegancko ubrani ludzie, śpieszący potem do swych luksusowych samochodów i domów. Na niego nikt nie zwracał uwagi. Teraz sprawi, że wszyscy na Grand Central, w Nowym Jorku, a nawet na całym świecie go zauważą. Dostał się do pokoju bez trudności, wystarczyła woskowa odbitka starego zardzewiałego zamka u drzwi. Potem dorobił klucz. Mógł teraz wchodzić i wychodzić, kiedy chciał.

Dziś wieczorem Sharon Martin i chłopiec znajdują się tutaj. Na stacji Grand Central, najbardziej ruchliwym dworcu kolejowym na świecie. To najlepsze miejsce, aby kogoś ukryć.

Roześmiał się głośno. Teraz już mógł się śmiać. Był podekscytowany. Obłazące ściany, koślawe łóżko, cieknąca woda i odrapane blaty go podniecały. Był panem sytuacji. Zorganizował wszystko, aby zdobyć pieniądze. I zamknie te oczy na zawsze. Nie będą go już prześladować.

Do jedenastej trzydzieści w srodę rano brakowało czterdziestu ośmiu godzin. Wówczas wsiądzie do samolotu odlatującego do Arizony, gdzie nikt go nie zna. W Carley nie czuł się zbyt bezpiecznie. Ale tam, z pieniędzmi... wolny od widoku tych oczu... A jeśli Sharon go kocha, zabierze ją ze sobą.

Przeniósł walizkę obok łóżka polowego i ostrożnie ułożył na podłodze. Otworzył, wyjął mały kasetowy magnetofon i aparat fotograficzny. Włożył je do lewej kieszeni brązowego płaszcza. Nóż myśliwski i rewolwer powędrowały do prawej. Głębokie, sztywne kieszenie nie zdradzały żadnych wypukłości.

Podniósł torby z zakupami i wyłożył ich zawartość na łóżko. Płaszcz, chustkę, sznurek, taśmę i rolki bandażu upchnął do żeglarskiego worka. Sięgnął po starannie zrolowane, duże fotografie.

Rozłożył je, wygładził i rozprostował załamania. Chwilę przyglądał się zdjęciom z zamyślnym uśmiechem.

Pierwsze trzy zawiesił na ścianie nad łóżkiem, a czwarte ponownie wolno zwinął.

Jeszcze nie, zdecydował.

Czas mijał. Zgasił światło, po czym ostrożnie uchylił drzwi. Nastawił ucha, ale w pobliżu wyjścia panowała cisza. Wyśliznąwszy się na zewnątrz, bezszelestnie zszedł po metalowych stopniach i mijając dudniący generator, szumiące wentylatory i rozdziawioną paszczę tunelu, pośpieszył na górę rampą wokół torów i schodami na dolny poziom stacji Grand Central. Tam wmieszał się w strumień idących ludzi - krępy mężczyzna pod czterdziestkę, o wypukłej klatce piersiowej, sztywnej sylwetce i nalanej, spierzchniętej twarzy z wydatnymi kośćmi policzkowymi, wąskimi ustami, ciężkimi powiekami i wyblakłymi oczami.

Z biletem w rękę ruszył do przejścia na górny poziom, skąd odjeżdżał pociąg do Carley w stanie Connecticut.

Neil stał na rogu ulicy, czekając na szkolny autobus. Wiedział, że pani Lufts obserwuje go przez okno. Nienawidził tego. Żadna z matek jego kolegów tak nie robiła. Można by pomyśleć, że jest maluchem z przedszkola, a nie pierwszoklasistą.

Kiedy padało, musiał czekać w domu na przyjazd autobusu. Tego też nienawidził. Próbował wytłumaczyć ojcu, że nie jest maminsynkiem, lecz tata tego nie rozumiał. Powiedział tylko, że Neil musi zachować szczególną ostrożność ze względu na astmę.

Sandy Parker chodził do czwartej klasy. Mieszkał przy następnej ulicy, ale wsiadał do autobusu na tym samym przystanku co Neil. Zawsze chciał siedzieć obok Petersona, a Neil tego nie lubił. Sandy zawsze mówił o sprawach, o których Neil nie chciał dyskutować.

Gdy tylko autobus wyjechał z rogu, pojawił się zasapany Sandy z książkami, lecącymi mu z rąk. Neil ruszył do tyłu przejściem pośrodku autobusu, ale kolega zawołał:

- Tutaj, Neil! Tu są dwa miejsca.

W autobusie panował harmider, dzieciaki przekrzykiwały się nawzajem.

Sandy był wyraźnie podekscytowany. Ledwo usiedli, powiedział:

- Widzieliśmy twojego ojca w dzienniku, kiedy jedliśmy śniadanie.

- Mojego ojca? - Neil potrząsnął głową. - Chyba żartujesz.

- Wcale nie. Ta pani, którą poznałem u was w domu, Sharon Martin, też tam była. Kłócili się!

- Dlaczego? - Neil wcale nie chciał o to pytać. Nie miał zaufania do Sandy'ego.

- Bo ona nie wierzy w zabijanie złych ludzi, a twój ojciec tak. Mój tata mówi, że twój tata ma rację. Powiedział, że ten facet, który zabił twoją matkę, powinien się smażyć. - Sandy z naciskiem powtórzył ostatnie słowo: smażyć.

Neil odwrócił się do okna i oparł czoło o chłodną szybę. Na zewnątrz zaczynał padać śnieg. Chłopiec chciałby, żeby już był wieczór i żeby ojciec wrócił do domu. Nie lubił zostawać z Luftsami. Obydwoje byli dla niego dobrzy, ale często się kłócili i pan Lufts wychodził potem do baru, a pani Lufts złościła się, choć próbowała tego nie okazywać.

- Nie jesteś zadowolony, że zabiją w środę Ronalda Thompsona? - naciskał Sandy.

- Nie... to znaczy... nie myślę o tym - odrzekł Neil ściszym głosem.

Nie mówił prawdy. Wiele myślał o wydarzeniach, których był świadkiem, i często mu się śniły. Bawił się wtedy kolejką w swoim pokoju na górze. Mamusia była w kuchni, rozpakowywała zakupy. Na zewnątrz zapadał zmrok. Jeden z wagoników wypadł z torów, więc Neil wyłączył prąd.

Wtedy właśnie usłyszał ten dziwny dźwięk, jakby krzyk, ale niezbyt głośny. Zbiegł na dół. W salonie było prawie ciemno, ale zobaczył mamę, która próbowała kogoś odepchnąć. Wydawała okropne, zdławione dźwięki. Ten mężczyzna okręcał coś wokół jej szyi.

Chłopiec stał na podeście schodów. Chciał biec na pomoc, ale nie mógł się poruszyć. Chciał krzyknąć, lecz nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Zaczął oddychać tak jak mama. Wydawał śmieszne, gulgoczące dźwięki, a potem nogi zrobiły mu się miękkie jak z waty. Mężczyzna usłyszał go, odwrócił się i puścił mamę. Upadła.

Neil też upadł. Czuł, jak osuwa się na podłogę. Potem w pokoju zrobiło się jaśniej. Mama leżała na dywanie, język wystawał jej z ust, twarz była sina, a oczy patrzyły nieruchomo. Mężczyzna klęczał

przy niej, dotykał rękami jej gardła. Spojrzał na Neila i zerwał się do ucieczki, ale chłopiec zdołał dostrzec jego twarz. Była mokra od potu i przerażona.

Neil musiał opowiedzieć o tym wszystkim policjantowi i wskazać w sądzie tego mężczyznę. Potem tatuś mówił: „Postaraj się o tym zapomnieć, Neil. Myśl tylko o szczęśliwych chwilach”, chłopiec jednak nie mógł zapomnieć. Wciąż to wszystko wracało do niego we śnie i budził się z atakami astmy.

Może tata ma zamiar ożenić się z Sharon? Sandy powiedział mu, że wszyscy uważają, że tata z pewnością ożeni się ponownie. Sandy powiedział również, że nikt nie chce dzieci innej kobiety, szczególnie dzieci, które są chore.

Pan i pani Lufts wspominali, że chcą się przenieść na Florydę. Neil zastanawiał się, czy tatuś odda go Luftsom, jeśli ożeni się z Sharon. Miał nadzieję, że nie.

Gapił się przez okno, tak pogrążony w rozmyślaniach, że Sandy musiał go szturchnąć, kiedy autobus zajechał przed szkołą.

Taksówka zatrzymała się z piskiem opon przed budynkiem News-Dispatch. Sharon poszperała w torebce, wyjęła portfel i zapłaciła kierowcy.

Zadymka na chwilę ustała, ale temperatura wciąż spadała, a chodnik był śliski.

Poszła prosto do pokoju redakcyjnego. Na jej biurku leżała kartka z wiadomością, aby natychmiast skontaktowała się z redaktorem działu miejskiego.

Zaniepokojona przeszła szybko przez gwarny pokój. Redaktor siedział sam w swoim małym, zagraconym gabinecie.

- Wejdz i zamknij drzwi. - Wskazał jej krzesło. - Masz felieton na dzisiaj?

- Tak.

- Jest tam coś o próbie skontaktowania się z gubernator Greene w sprawie Thompsona?

- Oczywiście. Myślałam o tym i zmienię początek. To, że gubernator powiedziała, iż nie odroczy egzekucji, może okazać się punktem przełomowym. Może pobudzić do działania więcej ludzi. Wciąż jeszcze mamy czterdzieści osiem godzin.

- Zapomnij o tym.

Sharon patrzyła na niego osłupiała.

- Co to znaczy, zapomnij o tym? Cały czas byłeś po mojej stronie.

- Powiedziałem: zapomnij o tym. Po swoim oświadczeniu gubernator osobiście zadzwoniła do starego i go ochrzaniła. Stwierdziła, że celowo wywołujemy atmosferę sensacji, aby sprzedawać więcej egzemplarzy naszej gazety. Powiedziała, że też nie wierzy w słuszność kary śmierci, lecz nie ma prawa podawać w wątpliwość wyroku sądu, nie mając nowych dowodów. Jeśli chcemy prowadzić kampanię w sprawie wprowadzenia poprawki do konstytucji, to mamy do tego prawo i ona od początku do końca będzie nam pomagać, ale wywieranie nacisku, aby interweniowała w konkretnym przypadku, sprawia wrażenie, jakby próbowano wybiórczo stosować prawo. Stary w końcu się z nią zgodził.

Sharon poczuła gwałtowny ból w żołądku. Przez moment bała się, że zwymiotuje. Zaciśnęła usta, próbując pokonać nagły skurcz w gardle. Redaktor spojrział na nią uważnie.

- Dobrze się czujesz, Sharon? Jesteś bardzo blada.

- Wszystko w porządku - wykrztusiła.

- Mogę wysłać kogoś innego na to jutrzejsze zebranie. Ty lepiej weź kilka dni wolnego.

- Nie - zaprotestowała. Chciała tam pójść, gdyż władze ustawodawcze Massachusetts miały debatować nad zniesieniem kary śmierci w tym stanie.

- Niech ci będzie. Zostaw felieton i idź do domu. - W jego głosie brzmiało współczucie. - Przykro mi, Sharon. Wprowadzenie poprawki konstytucyjnej może trwać całe lata. Myślałem, że jeśli uda nam się nakłonić gubernator Greene, aby złagodziła wyrok śmierci, to takie samo podejście może się przyjąć w innych przypadkach w całym kraju, ale rozumiem jej stanowisko.

- Ja też rozumiem, że nie należy już protestować przeciw zalegalizowanemu morderstwu, chyba że abstrakcyjnie.

Nie czekając na jego reakcję, poderwała się z krzesła i wyszła. Idąc do swego pokoju, sięgnęła do torby i wyjęła złożone kartki maszynopisu z artykułem, nad którym pracowała niemal całą noc.

Starannie przedarła je na pół, potem na ćwiartki, wreszcie na ósemki. Patrzyła, jak wpadają do wypchanego kosza na śmieci. Wkręciła do maszyny czysty arkusz papieru i zaczęła pisać: „Społeczeństwo ponownie ma możliwość skorzystania z niedawno odzyskanego przywileju - prawa do zabijania. Prawie czterysta lat temu francuski filozof Montaigne napisał: «Zbrodnia, jaką popełnia jeden człowiek, zabijając drugiego, każe mi lękać się zbrodni zabicia go».

Jeśli zgadzasz się z tym, że kara śmierci powinna być zniesiona przez konstytucję...”

Pracowała nad tekstem bez przerwy przez dwie godziny, wykreślając, wstawiając i zmieniając zdania. Kiedy skończyła, przepisała go szybko, oddała, wyszła z budynku i złapała taksówkę. Jadąc do domu, patrzyła ze smutkiem, jak płatki śniegu osiadają na trawniku. Jeśli się utrzymają, jutro dzieci będą mogły jeździć na sankach.

Miesiąc temu Steve przyniósł łyżwy i wybrali się na ślizgawkę. Neil miał pójść z nimi. Sharon planowała, że potem pójdą do zoo, a następnie zjedzą obiad w Tawernie na Błoniu. W ostatniej chwili chłopiec oświadczył, że nie czuje się dobrze i został w domu. Nie lubił jej, to oczywiste.

- Jesteśmy, proszę pani - odezwał się taksówkarz.

- Co? Ach tak, przepraszam. - Właśnie wjeżdżali w Dziewięćdziesiątą Piątą. - Trzeci dom po lewej.

Mieszkała na parterze w odrestaurowanej kamienicy.

Taksówka zatrzymała się przed domem. Kierowca, szczupły siwiejący mężczyzna, spojrzał na nią życzliwie.

- Chyba nie jest aż tak źle, proszę pani - powiedział. - Wygląda pani na bardzo zmartwioną.

Próbowała się uśmiechnąć.

- Chyba mam zły dzień. - Rzuciła okiem na licznik i sięgnęła do kieszeni po pieniądze, zaokrąglając sumę o suty napiwek.

Taksówkarz otworzył jej drzwi.

- O rety, przez tę pogodę mnóstwo ludzi w godzinie szczytu utknie w korkach. Jak się na dobre rozpada... Lepiej niech pani już dziś nie wychodzi z domu.

- Muszę później jechać do Connecticut.

- Dobrze, że to pani, a nie ja. Dzięki.

Angie, sprzątająca u Sharon dwa razy w tygodniu, musiała dopiero co wyjść. W powietrzu unosił się zapach cytrynowej emulsji do mebli, kominek był wyczyszczony, a kwiaty oskubane z zeschniętych liści i podlane. Jak zwykle mieszkanie przywitało właścicielkę obietnicą wypoczynku. Stary, wschodni dywan, należący kiedyś do jej babki, wyblakł do łagodnych odcieni czerwieni i błękitu, ale pasował do niebieskich obić krzesel i kanapy. Urządzała swoje mieszkanie bardzo starannie i choć zabrało jej to cztery weekendy, była zadowolona z rezultatu. Obrazy i grafiki, wiszące na ścianach i nad kominkiem, kupowała w małych antykwariatach, na aukcjach, a także przywoziła z zagranicznych podróży. Steve uwielbiał ten pokój. Zawsze zauważał nawet najmniejszą zmianę.

- Masz jakiś specjalny dar tworzenia domu - powiedział jej kiedyś.

Przeszła do sypialni i zaczęła się rozbierać. Weźmie prysznic, przebierze się, zaparzy herbatę i postara trochę się zdrzemnąć. W tej chwili nie potrafiła nawet logicznie myśleć.

Było już prawie południe, gdy położyła się do łóżka i nastawiła budzik na wpół do czwartej. Długo nie mogła zasnąć. Ronald Thompson. Była pewna, że gubernator odroczy egzekucję. Nie ulegało wątpliwości, iż chłopak jest winny. Ale poza jednym wykroczeniem, gdy miał piętnaście lat, jego akta były czyste. Jest taki młody.

Steve. To tacy ludzie jak Steve kształtowali opinię publiczną. Reputacja Petersona, jego uczciwość i postępowanie zgodnie z zasadami sprawiały, że ludzie go słuchali.

Czy kochała Steve'a?

Tak.

Bardzo?

Bardzo, bardzo.

Czy chciała za niego wyjść za mąż?

Będą musieli dziś wieczorem o tym porozmawiać. Wiedziała, że to dlatego Steve chciał, żeby dziś u niego została. Tak bardzo pragnął, aby Neil ją zaakceptował. Niewiele jednak z tego wychodziło, nie można wymusić czyjejś sympatii. Neil odnosił się do Sharon z dużą rezerwą. Czy dlatego, że jej nie lubił? Czy reagowałby w ten sam sposób na każdą inną kobietę, która odciągnęłaby od niego uwagę ojca? Nie wiedziała.

Czy chciałaby zamieszkać w Carley? Bardzo lubiła Nowy Jork. Kochała to miasto przez siedem dni w tygodniu.

Zaczynała odnosić sukcesy jako pisarka. Jej książka miała już piąty dodruk. Wprawdzie została wydana w miękkich okładkach i nie zainteresował się nią żaden renomowany wydawca, ale recenzje były niezłe i sprzedawała się nadspodziewanie dobrze.

Czy to właściwy moment, aby wiązać się z kimkolwiek? I to z człowiekiem, którego syn jej nie lubi? Zresztą Steve nigdy nie zgodzi się przenieść z Neilem do miasta.

Steve. Bezwiednie przesunęła ręką po twarzy, przypominając sobie dotyk jego dużych, delikatnych dłoni, gdy żegnali się dziś rano. Tak bardzo pragnęli się nawzajem...

Ale jak mogłaby pogodzić się z tą jego bezkompromisowością i uporem, gdy powziął już jakąś decyzję?

Zasnęła i prawie natychmiast zaczęła śnić. Pisała felieton. Musiała go skończyć. To było bardzo ważne. Szaleńczo uderzała w klawisze maszyny, ale czcionki nie zostawiały żadnego śladu, potem do pokoju wszedł Steve. Ciągnął za ramię młodego mężczyznę. Ona wciąż usiłowała przelać słowa na papier. Steve zmusił tamtego, aby usiadł.

- Bardzo mi przykro - powtarzał - ale to konieczne. Musisz zrozumieć, że to konieczne.

A potem, gdy Sharon próbowała krzyczeć, przypiął klamrami ręce i nogi chłopca i sięgnął do przełącznika.

Obudził ją chrapliwy krzyk, jej własny.

- Nie!... Nie!... Nie!...

W zimny, śnieżny wieczór ulicami Carley w stanie Connecticut przemykali tylko nieliczni przechodnie.

Mężczyzna, stojący przy końcu parkingu restauracji Cabin, był zupełnie niewidoczny. Mimo sypiącego mu prosto w twarz śniegu bezustannie wypatrywał czegoś w ciemności. Czekał tu już od prawie dwudziestu minut i stopy zaczynały mu marznąć. Poruszył się niecierpliwie i końcem buta dotknął leżącej na ziemi płóciennej torby. Namacał broń w kieszeni płaszcza i zadowolony pokiwał głową.

Luftsowie powinni być tu lada moment. Zadzwoił do restauracji i upewnił się, że zarezerwowali stolik na szóstą. Planowali zjeść kolację, a potem pójść do kina, aby obejrzeć oryginalną wersję „Przeminęło z wiatrem”. Kino znajdowało się niedaleko, po drugiej stronie ulicy. Teraz trwał seans rozpoczynający się o czwartej. Oni wybierali się na ten późniejszy, o wpół do ósmej. Nadjechał jakiś samochód i skręcił na parking. Mężczyzna skulił się za rzędem świerków. To było ich kombi. Obserwował, jak parkują obok wejścia do restauracji i wysiadają. Kierowca pomagał żonie, gramolącej się nieporadnie na śliski chodnik. Trzymając się pod rękę i pochylając pod naporem wiatru, szli niezdarnie w stronę drzwi restauracji.

Odczekał, aż zniknęli wewnątrz, schylił się i podniósł torbę. Wciąż ukryty za krzewami, szybko okrążył parking, przeszedł przez ulicę i minął budynek kina. Na parkingu stało około pięćdziesięciu samochodów. Skierował się do ciemnobrązowego sedana. Szybko poradził sobie z zamkiem u drzwi. Wśliznął się na siedzenie, włożył kluczyk w stacyjkę i przekręcił. Silnik zaskoczył z cichym warkotem. Mężczyzna raz jeszcze rozejrzał się wokół i ruszył. Nie włączył świateł, mijając kino.

Cztery minuty później ciemnobrązowy sedan wjechał na kolisty podjazd domu Petersonów przy Driftwood Lane i zaparkował za małą czerwoną vega.

Jazda z Manhattanu do Carley trwała zwykle mniej niż godzinę, lecz zła prognoza pogody skłoniła dojeżdżających do wcześniejszego opuszczenia centrum. Wzmógł się ruch i lód na drogach sprawiły, że podróż do domu Steve'a trwała godzinę i dwadzieścia minut, ale tym razem Sharon prawie nie zwróciła na to uwagi. Przez całą drogę powtarzała sobie, co powie Steve'owi.

- Nic z tego nie będzie... Nie myślimy podobnie... Neil nigdy mnie nie zaakceptuje... Lepiej, jeśli nie będziemy się już spotykać...

Dom Steve'a, biały budynek z czarnymi okiennicami, trochę przygnębiał Sharon. Światło na ganku było zbyt ostre, a krzewy w pobliżu wejścia wyrosły za wysoko. Wiedziała, że Steve i Nina zamieszkali tutaj zaledwie kilka tygodni przed jej śmiercią i nie zdążyli wprowadzić żadnej z tych poprawek, jakie planowali, kupując dom.

Zaparkowała tuż za schodami ganku i podświadomie nastawiła się na gorące powitanie pani Lufts i chłód Neila.

Kiedy wysiadła z auta, drzwi wejściowe były już otwarte, a pani Lufts wyraźnie jej oczekiwała.

- Panno Martin, jak miło panią widzieć - powiedziała z radością. Miała drobną, wiewiórczą twarz i bystre, świdrujące oczy. Ubrana w ciężki płaszcz w czerwoną kratę i kalosze, wypełniała sobą wejście do domu.

- Jak się pani miewa, pani Lufts? - Sharon minęła ją z trudem i weszła do środka.

- To bardzo miło, że pani przyjechała - odrzekła pani Lufts. - Wezmę od pani pelerynę. Uwielbiam peleryny. Wygląda się w nich tak słodko i kobieco, nie uważa pani?

Sharon położyła książkę i torbę z rzeczami w holu. Zdjęła rękawiczki.

- Chyba tak. Tak naprawdę, nigdy się nad tym nie zastanawiałam. - Zerknęła do pokoju. - Och...

Neil siedział po turecku na dywanie, otoczony rozsypanymi czasopismami, z parą tępo zakończonych nożyczek w ręku. Jasne włosy, tego samego koloru co włosy Steve'a, opadały mu na czoło, odsłaniając szczupłą szyję. Kościste ramiona sterczały pod flanelową koszulą. Twarzyczkę miał pociągłą i bladą, czerwone obwódki otaczały duże ciemnobrązowe oczy, wypełnione teraz łzami.

- Neil, przywitaj się z Sharon - powiedziała pani Lufts.

Apatycznie podniósł głowę.

- Cześć, Sharon. - Głos miał niski i drżący. Był taki mały, drobny i żalony. Sharon miała wielką ochotę przytulić go, ale wiedziała, że jeśli to zrobi, on ją odepchnie.

- Chyba zostanę świętą, jeśli zgadnę, o co chodzi - odezwała się pani Lufts. - Zaczął płakać kilka minut temu i nie chce powiedzieć dlaczego. Nigdy nie wiadomo, co się dzieje w tej małej główce. No cóż, może pani albo jego tata wyciągniecie to z niego. Bili!... - zawołała nagle i Sharon aż podskoczyła. Szybko weszła do pokoju i stanęła przed Neilem.

- Co masz zamiar wyciąć? - spytała.

- Jakies głupie zdjęcia ze zwierzętami - odpowiedział. Nie patrzył na nią, Wiedziała, że jest zmieszany, ponieważ przed chwilą widziała go płaczącego.

- Przyniosę sobie sherry i pomogę ci. Chcesz colę lub coś innego?

- Nie. - Neil zawahał się i dodał: - Dziękuję.

- Proszę się rozgościć. - Znów usłyszała głos pani Lufts. - Niech się pani czuje jak u siebie w domu. Kupiłam to, co było na liście zostawionej przez pana Petersona: steki, przyprawę do sałaty, szparagi i lody. Wszystko jest w lodówce. Przepraszam, muszę już iść. Chcemy zjeść kolację przed kinem. Bili!...

- Idę już, Doro. - Bili Lufts ukazał się na schodach prowadzących do piwnicy. - Chciałem tylko sprawdzić okna. Upewnić się, czy są zamknięte. Dzień dobry, panno Martin.

- Jak się pan ma, panie Lufts?

Był niskim, krępy męczyzną po sześćdziesiątce, z wodnistymi niebieskimi oczami. Małe popękane żyłki na nosie i policzkach potwierdzały to, czym martwił się Steve: nadmierny pociąg do alkoholu.

- Bili, pośpiesz się. - W głosie jego żony brzmiało zniecierpliwienie. - Wiesz, jak nie znoszę połykać jedzenia w pośpiechu, a jest już późno. Wydaje mi się, że skoro zabierasz mnie gdziekolwiek jedynie w naszą rocznicę ślubu, to mógłbyś się pośpieszyć...

- Dobrze, dobrze. - Bili westchnął ciężko i skinął głową. - Do zobaczenia później, panno Martin.

- Przyjemnej zabawy. - Sharon odprowadziła ich do holu. - No i wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy ślubu.

- Weź kapelusz, Bili. Zaziębisz się... Co? O, dziękuję, dziękuję, panno Martin. Dopiero gdy usiądę, odpocznę i dostanę coś do jedzenia, poczuję, że to rocznica. Ale teraz, w tym pośpiechu...

- Doro, to ty chcesz obejrzeć film.

- Tak, tak. Już idę. Bawcie się dobrze, wy dwoje. Neil, pokaż Sharon dzienniczek. Jest naprawdę bystrym chłopcem, nie sprawia kłopotów, prawda, Neil? Dałam mu coś do przegryzienia, żeby wytrzymał do kolacji, ale prawie tego nie tknął. Je mniej niż ptaszek. Dobrze już, dobrze, Bili.

Wreszcie wyszli z domu. Sharon zadrżała, gdy zimny podmuch wtargnął do holu, zanim udało jej się zamknąć za nimi drzwi. Wróciła do kuchni, otworzyła lodówkę i sięgnęła po butelkę sherry. Wyjęła też karton z mlekiem. Neil mógł sobie mówić, że nic nie chce, ale miała zamiar zrobić mu gorące kakao.

Czekając, aż mleko się zagotuje, sączyła sherry i rozglądała się wokół. Pani Lufts starała się, jak mogła, ale nie była dobrą gospodynią i kuchnia wyglądała trochę niechlujnie. Wokół stojącego na stole opiekacza do grzanek rozsypane były okruchy, pokrywa piecyka wymagała solidnego szorowania. Tak naprawdę cały dom wymagał remontu.

Posesja Steve'a znajdowała się w pobliżu zatoki Long Island. Wycięłabym te wszystkie drzewa, które zasłaniają widok, pomyślała Sharon. Włączyłabym tylną werandę do salonu, powiększając go w ten sposób, wyburzyłabym większość ścian i urządziła miejsce do jedzenia posiłków...

Ostro przywołała się do porządku. To nie jej sprawa. Pomyślała o tym tylko dlatego, że dom i Neil, a nawet Steve sprawiali wrażenie opuszczonych. Ale nie ona będzie to zmieniać. Myśl, że nie zobaczy już więcej Steve'a, nie będzie czekać na jego telefon, nie poczuje uścisku jego silnych ramion, wypełniała ją poczuciem beznadziejności i samotności. A więc tak czuje się człowiek, który wie, że musi kogoś porzucić, pomyślała. A jak czuje się pani Thompson, wiedząc, że jej jedyne dziecko umrze pojutrze?

Znała numer telefonu matki skazanego, przeprowadzała z nią wywiad. Kilka razy w czasie ostatniej podróży próbowała się do niej dodzwonić, aby podzielić się wiadomościami o tym, jak wielu ważnych ludzi obiecało porozmawiać z gubernator Greene i starać się nakłonić ją do skorzystania z prawa łaski. Nigdy jednak nie zastała pani Thompson w domu.

Biedna kobieta. Wydawała się tak pełna nadziei, gdy po raz pierwszy się spotkały. Lecz gdy zdała sobie sprawę, że Sharon nie wierzy w niewinność jej syna, była ogromnie zawiedziona. Ale

która matka mogłaby uwierzyć, że jej syn mógł okazać się zdolny do morderstwa? Może pani Thompson jest teraz w domu? Może pomogłaby jej chociaż rozmowa z kimś, kto walczył o uratowanie Ronalda.

Sharon zmniejszyła ogień pod garnkiem z mlekiem, podeszła do wiszącego na ścianie telefonu i wykręciła numer. Słuchawkę podniesiono już po pierwszym sygnale.

- Słucham. - Głos pani Thompson był nadszpiewaniem spokojny.

- Pani Thompson? Tu Sharon Martin. Musiałam zadzwonić, aby pani powiedzieć, jak bardzo mi przykro, i spytać, czy mogę coś dla pani zrobić...

- Dostyc pani zrobiła, panno Martin. - Gorycz w głosie kobiety zaskoczyła Sharon. - Jeśli mój chłopiec umrze w środę, chcę, aby pani wiedziała, że to pani będzie za to odpowiedzialna. Błagałam, aby trzymała się pani od niego z daleka.

- Pani Thompson... Nie wiem, co pani ma na myśli...

- To, że we wszystkich swoich felietonach pisała pani w kółko, iż nie ma wątpliwości co do winy Ronalda, ale nie o to chodzi. Właśnie o to chodzi, panno Martin! - Głos kobiety brzmiał teraz ostro. - O to chodzi! Jest wielu ludzi, którzy znają mojego syna i wiedzą, że nie byłby zdolny kogokolwiek skrzywdzić, i robili wszystko, aby uzyskać jego ułaskawienie. A pani... To przez panią gubernator nie odroczyła egzekucji i nie zarządziła ponownego zbadania sprawy... My do ostatniej chwili będziemy się o to starać i wierzę, że Bóg mnie wysłucha. Jeśli jednak mój syn umrze, nie wiem, co mogłabym pani zrobić, i myślę, że nie będę odpowiadać...

Połączenie zostało przerwane. Sharon niemal ogłuszona odwiesiła słuchawkę.

Mleko w garnku na kuchence prawie się gotowało. Automatycznym ruchem sięgnęła do szafki po kakao, wsypała do kubka kopiastrą łyżeczkę, wlała mleko i zamieszała. Garnek wstawiła do zlewu. Wciąż pod wrażeniem tego, co usłyszała, skierowała się w stronę salonu.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

Neil pobiegł otworzyć, zanim zdołała go powstrzymać.

- Może to tata! - zawołał.

Nie chce zostać ze mną sam, pomyślała Sharon. Słyszała, jak chłopiec otwiera podwójny zamek i nagle tknęło ją jakieś dziwne przeczucie.

- Neil, poczekaj! - krzyknęła. - Spytaj kto to. Tata miałby klucz.

Szybko postawiła kubek i kieliszek na stole obok kominka i pobiegła do holu.

Neil trzymał już rękę na klamce, ale posłuchał jej rady.

- Kto tam? - zapytał.

- Czy jest Bili Lufts? - odpowiedział pytaniem jakiś głos. - Przyniosłem prądnicę, którą zamówił do łodzi pana Petersona.

Neil odwrócił się do Sharon.

- W porządku. Pan Lufts czekał na to.

Nacisnął klamkę. Już chciał otworzyć, ale nagle drzwi zostały gwałtownie pchnięte i przycisnęły go do ściany. Zaskoczona Sharon widziała, jak obcy mężczyzna wchodzi do holu i błyskawicznym ruchem zamyka za sobą drzwi.

Neil osunął się na podłogę. Ciężko dyszał.

Sharon podbiegła do chłopca, pomogła mu wstać i obejmując go ramieniem, odwróciła się, aby spojrzeć na intruza.

Zobaczyła dziwny blask w oczach nieznajomego i rewolwer z długą lufą, wymierzony w swoją głowę.

Zebranie w pokoju konferencyjnym magazynu „Wydarzenia” skończyło się wieczorem, dziesięć minut po siódmej. Głównym tematem dyskusji był raport Nielsona, według którego dwie trzecie ankietowanych absolwentów wyższych uczelni w wieku od dwudziestu pięciu do czterdziestu lat wolało „Wydarzenia” od „Time’a” i „Newsweeka”. Poza tym nakład magazynu zwiększył się o piętnaście procent w stosunku do ubiegłego roku, a nowe sposoby reklamy w terenie też dawały niezłe rezultaty.

Pod koniec zebrania wydawca, Bradley Robertson, powiedział:

- Myślę, że możemy wszyscy być dumni z tego, co usłyszeliśmy. Pracujemy ciężko od trzech lat i mamy efekty naszych wysiłków. Nie jest dziś łatwo wprowadzić na rynek nowe czasopismo. Według mnie twórcze kierownictwo Steve’a Petersona było czynnikiem decydującym o naszym sukcesie.

Po zebraniu Steve zjeżdżał windą w towarzystwie Robertsona.

- Jeszcze raz dziękuję, Brad - powiedział. - To było bardzo miłe z twojej strony.

Starszy mężczyzna wzruszył ramionami.

- Po prostu uczciwe. Wiem, że to nie jest dla ciebie łatwe. Ale udało nam się, Steve. Wkrótce będziemy mogli zacząć zarabiać godziwe pieniądze. Chyba już najwyższy czas.

Steve wykrzywił usta w niewesołym uśmiechu.

- Tak. Masz rację. To nie było łatwe.

Drzwi windy otworzyły się w głównym holu.

- Dobranoc, Brad. Bardzo się spieszę, chciałbym zdążyć na pociąg o wpół do ósmej.

- Poczekaj moment, Steve. Widziałem cię dziś rano w dzienniku. Uważam, że byłeś doskonały, Sharon również. Osobiście przyznaję, że podzielam jej zdanie.

- Jak wielu ludzi.

- Lubię ją, Steve. Jest bardzo inteligentna. I cholernie atrakcyjna. To prawdziwa dama.

- Zgadzam się z tobą.

- Steve, wiem, jak wiele przeszedłeś w ciągu ostatnich dwóch lat. Nie chcę się wtrącać, ale Sharon byłaby dobra dla ciebie i Neila. Nie pozwól, żeby jakieś sprawy, choćby nie wiem jak istotne, was rozdzieliły.

- Modlę się, aby do tego nie doszło - odrzekł spokojnie Peterson. - Teraz przynajmniej będę mógł zaferować Sharon coś więcej niż ubogiego faceta z dzieckiem.

- Będzie szczęściarą, dostając was obu, ciebie i Neila. Chodź, mam tu samochód, podrzucę cię do Grand Central.

- Świetnie. Sharon jest u mnie i chcę jak najszybciej być w domu.

Limuzyna Bradleya czekała przy wyjściu. Gdy tylko wsiedli, kierowca zaczął sprawnie manewrować w śródmiejskim ruchu.

- Wyglądasz na zmęczonego, Steve. Ta egzekucja Thompsona musi kosztować cię wiele nerwów - odezwał się Bradley.

- O, tak. Przypomina mi o tragedii. Każda gazeta w Connecticut opisuje... śmierć Niny. Wiem, że dzieci rozmawiają o tym w szkole. Martwię się, jaki to może mieć wpływ na Neila. Ogromnie mi żal

matki Thompsona... Jego zresztą też.

- Czemu nie zabierzesz syna i nie wyjedziesz na parę dni, aż będzie po wszystkim?

Steve się zastanowił.

- Mógłbym tak zrobić. Niezły pomysł.

Limuzyna podjechała do Grand Central. Bradley potrząsnął głową i powiedział:

- Jesteś za młody, aby to pamiętać, Steve, ale w latach trzydziestych ten dworzec był centrum transportu kolejowego. Pamiętam nawet reklamę radiową... - Przymknął oczy: - „Stacja Grand Central, skrzyżowanie miliona ludzkich losów”, tak chyba brzmiała.

Steve się roześmiał.

- A potem nastąpiła era odrzutowców - podsumował, wysiadając z samochodu. - Dzięki za podwiezienie.

Miał pięć minut do odjazdu pociągu. Postanowił zadzwonić do domu, aby powiedzieć Sharon, że zdążył na ten o wpół do ósmej. Wzruszył ramionami. Nie oszukuj się, upomniał w myśli sam siebie. Chcesz po prostu z nią porozmawiać, upewnić się, że nie zmieniła zdania i przyjechała.

Wszedł do budki telefonicznej. Nie miał wystarczającej ilości drobnych, więc zamówił rozmowę na koszt abonenta. Słyszał, jak telefon zadzwonił raz... drugi... trzeci.

Włączyła się operatorka.

- Numer nie odpowiada.

- Tam ktoś musi być. Proszę próbować dalej.

- Oczywiście, proszę pana.

Ostry dźwięk się powtórzył. Po piątym sygnale telefonistka znowu się odezwała:

- Nie ma odpowiedzi, proszę pana. Może zadzwoni pan za chwilę?

- Czy mogłaby pani sprawdzić ten numer? Czy na pewno dzwoniemy pod 203-565-1313?

- Wykręcę jeszcze raz.

Steve wpatrywał się w słuchawkę. Gdzie oni mogą być? Jeśli Sharon nie przyjechała, Luftsowie mogli poprosić Perrych, aby zaopiekowali się Neilem.

Nie. Sharon zadzwoniłaby, gdyby zmieniła zdanie. Przypuśćmy, że Neil miał atak astmy i odwieziono go do szpitala... Nie byłoby to zaskoczeniem, jeśli chłopiec usłyszał w szkole o egzekucji Thompsona. Neil ostatnio częściej miewał nocne koszmary.

Była siódma dwadzieścia dziewięć, pociąg odjeżdżał za minutę. Jeśli spróbuje zadzwonić do lekarza albo do Perrych, spóźni się i będzie musiał czekać czterdzieści pięć minut na następny. Może są jakieś problemy z połączeniem z powodu burzy?

Steve już zaczął wykręcać numer telefonu Perrych, lecz się rozmyślił. Odwiesił słuchawkę i pobiegł na peron. Drzwi pociągu już się zamykały, ale zdążył jeszcze do niego wskoczyć.

W tym samym momencie obok budki telefonicznej, którą właśnie opuścił, przeszedł mężczyzna, prowadząc pod rękę kobietę. Miała na sobie długi, szary płaszcz i niebieską chustkę na głowie. Nieznajomy niósł ciężki, płócienny worek żeglarski.

Sharon wpatrywała się to w silną dłoń trzymającą pistolet, to w oczy omiatające ściany korytarza, pokój gościnny, schody prowadzące na piętro, a także ją samą.

- Czego chcesz? - wyszeptła. Pod zgiętym w łokciu ramieniem wyczuwała drżące ciało Neila. Objęła go silniej, przytulając do siebie.

- Ty jesteś Sharon Martin. - To było stwierdzenie. Głos brzmiał monotonicznie i beznamiętnie.

Sharon poczuła pulsującą grudę w gardle. Spróbowała ją przełknąć.

- Czego chcesz? - ponowiła pytanie. Usłyszała ciche, przeciągłe świszczanie w oddechu Neila, zapewne przerażenie wywołało kolejny atak astmy. Postanowiła nie stawiać oporu.

- Mam około dziewięćdziesięciu dolarów w portfelu...

- Zamknij się!

Każde jednostajnie wypowiedziane słowo przeszywało ją dreszczem. Nieznajomy rzucił na podłogę worek - duży, płócienny, taki, jakich używają marynarze. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej kłębek mocnego sznurka i zwinięty szeroki bandaż. Rzucił to w jej kierunku.

- Zasłoń oczy chłopakowi i zwiąż go - rozkazał.

- Nie! Nie zrobię tego.

- Radzę ci!

Sharon spojrzała na Neila. Wpatrywał się w mężczyznę szeroko otwartymi, zamglonymi oczyma. Wiedziała, że chłopiec od śmierci matki jest w głębokim szoku.

- Neil... - W jaki sposób może mu pomóc, jak go uspokoić?

- Siadaj.

Krótkie polecenie skierowane było do Neila. Chłopiec zerknął błagalnie na Sharon, a potem posłusznie usiadł na najniższym schodku. Przyklękła przy nim.

- Neil, nie bój się, jestem przy tobie.

Drżącymi rękami niezdarnie rozwinęła bandaż i owinąwszy go wokół oczu chłopca, związała z tyłu jego głowy.

Podniosła oczy. Intruz wpatrywał się w Neila. Pistolet wycelowany był w chłopca, usłyszała trzask. Przyciągnęła synka Steve'a do siebie i zasłoniła własnym ciałem.

- Nie, proszę, nie!

Mężczyzna spojrzał na nią i powoli opuścił broń. Mógł zabić chłopca, pomyślała. Był gotowy go zabić.

- Zwiąż chłopca, Sharon. - W jego głosie zabrzmiała poufałość.

Posłuchała i drżącymi dłońmi, zmagając się ze sznurkiem, związała nadgarstki Neila, uważając, by nie zrobić tego zbyt mocno. Potem uścisnęła dłonie chłopca.

Nieznajomy wyciągnął nóż i obciął koniec sznurka.

- Dalej, teraz nogi!

Wyczuła determinację w jego głosie i pośpiesznie wykonała polecenie. Kolana chłopca dygotały tak bardzo, że sznurek kilka razy wymykał jej się z rąk. W końcu jednak udało jej się skrępować kostki Neila.

- Zaknebluj go!

- Udusi się. Ma astmę...

Słowa sprzeciwu zamarty jej na ustach. Twarz mężczyzny zmieniła się nagle, stała się bledsza, bardziej napięta. Sharon była bliska paniki.

Przerażona, zatkała chłopcu usta, zostawiając odrobinę luzu. Żeby tylko Neil nie zaczął się szamotać...

Silna dłoń odepchnęła ją od dziecka i Sharon upadła na podłogę. Mężczyzna pochylił się, kolanem przycisnął jej plecy i wykręcił do tyłu ręce. Poczowała sznurek wrzynający się w nadgarstki. Chciała zaprotestować, lecz w tej samej chwili napastnik wetknął jej w usta kłęb szmat i przewiązał je bandażem.

Nie mogła oddychać. Proszę... proszę, nie... Duże dłonie przesuwają się powoli po jej udach, wreszcie mocny węzeł unieruchomił ściśnięte kostki.

Podniósł ją gwałtownie, aż głowa opadła jej w tył. Co teraz z nią zrobi?

Przez otwarte drzwi frontowe wpadła fala chłodnego, wilgotnego powietrza. Mimo że Sharon ważyła prawie pięćdziesiąt pięć kilogramów, napastnik bez najmniejszego trudu znosił ją po śliskich schodkach. Było bardzo ciemno. Widocznie wyłączył światła przed domem.

Jej ramię zderzyło się z chłodną, metalową powierzchnią. Samochód. Spróbowała zaczerpnąć świeżego powietrza przez nos. Oczy powoli przyzwyczajają się do ciemności. Czas przestać panikować i zacząć logicznie myśleć.

Usłyszała zgrzyt zamka i otwieranych drzwi. Wepchnięta do środka, uderzyła głową o otwartą popielniczkę. Sznurek na kostkach i nadgarstkach boleśnie wpijał jej się w skórę, gdy Sharon upadła na cuchnącą podłogę. Leżała w tylnej części samochodu.

Dotarły do niej zgrzytliwe odgłosy oddalających się kroków. Mężczyzna najwyraźniej kierował się w stronę domu. Neil! Co chciał zrobić z chłopcem? Przerażona Sharon spróbowała uwolnić ręce, lecz ból przeszył jej ramię. Więzy uniemożliwiały najmniejszy ruch. Przypomniła sobie, w jaki sposób intruz patrzył na Neila, gdy odbezpieczał broń.

Minuty mijały. „Proszę... dobry Boże... proszę”. Dźwięk otwieranych drzwi. Znowu chrzęst kroków zbliżających się do samochodu. Otworzyły się przednie drzwiczki auta. Oczy Sharon przywykły już do mroku. Dostrzegła w ciemności sylwetkę porywacza. Dźwigał coś dużego... ogromny żeglarski worek.

Boże, w środku był Neil, nie miała wątpliwości.

Mężczyzna zajrzał do samochodu, położył torbę na siedzeniu, a potem zsunął ją na podłogę. Usłyszała głuchy odgłos. Wyrządzi krzywdę Neilowi. Zrobi mu coś złego. Drzwi zatrzasnęły się, a pośpieszne kroki okrążyły samochód. Po chwili zgrzytnęły drzwi od strony kierowcy. Cień zniknął jej z oczu i usłyszała chrapliwy oddech. Mężczyzna pochylił się nad nią i poczuła na twarzy coś szorstkiego, jakiś koc czy płaszcz. Pokręciła głową, chcąc uwolnić się od duszącego, kwaśnego zapachu potu.

Silnik zawarczał i samochód ruszył.

Nie stracić orientacji. Zapamiętać każdy szczegół. Policja będzie o to wszystko pytać. Samochód skręcił w lewo na szosę. Było zimno, bardzo zimno. Sharon poruszyła się, przez co natychmiast zacisnęły się węzły na rękach i nogach, powodując nowy ból. To była nauczka. Nie ruszać się! Spokojnie. Nie wpadać w panikę.

Śnieg. Jeżeli nadal pada śnieg, to na jakiś czas zostaną ślady. Ale nie, teraz padał deszcz. Słyszała bębnienie kropli o szybę. Dokąd jadą?

Knebel. Zaczęło jej brakować powietrza. Oddychać powoli przez nos. Neil. Czy może oddychać tak szczelnie zamknięty? Chyba się nie udusi!?

Samochód nabierał szybkości. Dokąd ich wiózł?

Roger Perry stał przy oknie salonu w swoim domu przy Driftwood Lane, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w ciemność. Noc była paskudna i cieszył się, że jest teraz w domu. Nagle uzmysłowił sobie, że śnieg pada coraz gęściej.

Ciekawe, wszystkie spostrzeżenia tego dnia go rozdrażniały. Glenda od kilku tygodni nie wyglądała najlepiej. O to chodziło. Zawsze przekomarzał się z nią, mówiąc, że jest jedną z tych szczęśliwych kobiet, które z każdym rokiem wyglądają korzystniej. Włosy, teraz już całkiem srebrne, wspaniale podkreślały chabrowy błękit oczu i cudowną cerę.

Kiedy chłopcy byli mali, była dobrze zbudowana, ale dziesięć lat temu zeszczupiała. „Po prostu chcę dobrze wyglądać w swoich ostatnich latach” - żartowała. Tego ranka jednak, gdy Roger przyniósł jej kawę do łóżka, spostrzegł, że twarz Glendy jest śmiertelnie blada i chorobliwie szczupła. Z biura zadzwonił do lekarza, który potwierdził jego podejrzenia, że to wynik owej tragicznej środy. Zeznanie Glendy przyczyniło się do skazania Thompsona.

Roger pokręcił głową. Straszna sprawa. Okropna dla tego nieszczęsnego chłopca i wszystkich, którzy byli w nią zamieszani. Steve... mały Neil... matka chłopca... no i Glenda. To był dla niej zbyt duży ciężar. Zeznawanie w procesie przyplącała chorobą serca. Roger starał się oddalić myśl, że następny atak mógłby ją zabić. Glenda miała tylko pięćdziesiąt osiem lat. Teraz, kiedy chłopcy stali się już samodzielni, oni dwoje mogli zająć się wyłącznie sobą. Bez niej wszystko straciłoby sens.

Cieszył się, kiedy żona zgodziła się przyjąć pomoc domową. Pani Vogler będzie przychodziła codziennie o dziewiątej i pracowała do pierwszej po południu. Dzięki temu Glenda odpocznie, nie martwiąc się o dom.

Odwrócił się, słysząc, że żona weszła do pokoju.

- Właśnie miałem do ciebie zajrzeć - powiedział z łagodnym wyrzutem.

- Nie szkodzi. Wydaje mi się, że to ci się przyda. - Wręczyła mu szklaneczkę burbona i stanęła razem z Rogerem przy oknie.

- Rzeczywiście, potrzebuję tego. Dziękuję, kochanie. - Zauważył, że sama popijała colę.

Jeśli Glenda zrezygnowała z tradycyjnego drinka przed kolacją, mogło to oznaczać tylko jedno.

- Bolało cię dzisiaj? - Właściwie nie było to pytanie.

- Trochę...

- Dużo nitrogliceryny wzięłaś?

- Tylko kilka tabletek. Nie denerwuj się, czuję się dobrze. O, popatrz! To ciekawe.

- Co takiego?

- Dom Steve'a. Światło przed wejściem się nie pali.

- To dlatego wydało mi się, że na zewnątrz jest ciemno. - Roger zastanawiał się przez chwilę. - Jestem pewien, że było zapalone, kiedy wróciłem do domu.

- Ciekawe, kto i dlaczego je wyłączył. - W głosie Glendy pojawiła się troska. - Dora Lufts jest taka nerwowa. Może przeszedłbyś się tam...

- Och, nie ma potrzeby, kochanie. Jestem pewien, że nic się nie stało.

Westchnęła.

- Mam nadzieję. Tylko że... Ostatnio tyle się wydarzyło... Jeszcze nie mogę się otrząsnąć.

- Wiem. - Objął ją troskliwie, czując, jak cała drży. - A teraz usiądź i odpręż się...

- Czekaj, Roger, spójrz! - Pochyliła się do przodu. - Jakiś samochód rusza sprzed domu Steve'a.

Ma wyłączone światła. Kto to może być?

- Nie myśl o tym teraz. - Jego głos stał się stanowczy. - Usiądź, przyniosę trochę sera.

- Brie leży na stole.

Nie zważając na delikatny nacisk, z jakim mąż chwycił jej łokieć, Glenda sięgnęła do kieszeni spódnicy i wyciągnęła okulary. Włożyła je i jeszcze raz wychyliła się do przodu, wpatrując się w ciemność. Jednak samochód, który zauważyła na podjeździe Petersonów, zniknął już z pola widzenia, rozplywając się w wirującym, gęstym śniegu.

„Poza tym jutro też jest dzień”. - Siedząc na schodach, Scarlett O’Hara z nutą nadziei w głosie wypowiedziała finałową kwestię, po czym ekran wypełnił odległy plan Tary.

Marian Vogler westchnęła, kiedy ostatnie dźwięki muzyki ucichły i na sali rozbłyły światła. Teraz już nie robi się takich filmów, pomyślała. Absolutnie nie miała ochoty oglądać dalszego ciągu „Przeminęło z wiatrem”. Z pewnością byłoby to rozczarowanie.

Wstała z ociąganiem. Czas zejść na ziemię. Na miłą, obsypaną piegami twarz pani Vogler powróciło zwykłe zatroskanie, gdy tylko ruszyła po pokrytej dywanami posadzce ku wyjściu z kina.

Każde z dzieci potrzebowało nowego ubrania. Nic dziwnego, że Jim bez wahania zgodził się, aby przyjęła posadę gospodyni domowej.

Zorganizował sobie dojazd do fabryki tak, że mogła używać samochodu. Dzieci będą w szkole, więc wystarczy jej czasu na uporządkowanie domu, zanim pojedzie do Perrych. Od jutra zaczyna swoje zajęcia. Trochę się denerwowała, bo nie pracowała od dwunastu lat, to znaczy od urodzenia małego Jima. Wiedziała jednak, że jeśli cokolwiek potrafi, to właśnie utrzymać dom w czystości.

Wyszła z przytulnego holu kina na ostry chłód marcowego wieczoru. Dygocząc z zimna, skręciła w prawo i pośpiesznie ruszyła naprzód. Zacinał ostry deszcz zmieszany ze śniegiem, wtuliła więc twarz w futrzany kołnierz znoszonego palta.

Zostawiła samochód na parkingu oddalonym od kina. Dzięki Bogu, że zdecydowali się wydać pieniądze na remont auta. Miało osiem lat, ale karoseria nadal prezentowała się nieźle i, jak mawiał Jim, lepiej odzależować czterysta dolarów na własne, sprawdzone cztery kółka niż kupować innego grata.

Marian szła tak szybko, że zostawiła daleko w tyle tłum, który razem z nią opuścił kino. Spieszno jej było do domu, gdzie Jim obiecał czekać na nią z kolacją. Zdażyła już zgłodnieć.

Dobrze jej zrobiła odrobina rozrywki. Mąż wyczuł jej przygnębienie i namówił Marian na to kino.

- Trzy dolary ani nas nie zrujnują, ani nie zbawią. Zajmę się dziećmi, a ty baw się dobrze, kochanie, i nie myśl o rachunkach.

Echo tych słów dźwięczało jej jeszcze w uszach, gdy zwolniła nagle i rozejrzała się zaskoczona. Była pewna, że zaparkowała właśnie w tym miejscu. Dokładnie naprzeciwko reklamy w oknie banku, która krzyczała: „Chcemy powiedzieć «tak» twojemu kredytowi”. Wielka sprawa, pomyślała. „Tak”, jeśli go nie potrzebujesz, „nie”, kiedy wypruwasz sobie flaki, żeby go dostać.

Na pewno tu stał, była o tym przekonana. Zauważyła wtedy okno banku z rozświetloną reklamą, widoczną nawet mimo gęsto padającego śniegu.

Dziesięć minut później rozmawiała z Jimem przez telefon z posterunku policji. Dusząc w sobie gniew i przelękając łzy, szlochała do słuchawki:

- Jim... Jim... nie... nic mi się nie stało, ale... Jim, jakiś drań ukradł nasz samochód.

Jadąc wśród gęsto proszącego śniegu, spoglądał na tarczę zegarka. W tej chwili tamta kobieta zauważyła pewnie brak samochodu. Przez jakiś czas będzie krążyć po parkingach, sprawdzając, czy się nie pomyliła, potem wezwie policję albo zadzwoni do domu. Zanim poinformują przez radio wszystkie patrole krążące po mieście, on znajdzie się już daleko od wężących glin z Connecticut. Nikt nie będzie się zabijał, żeby odzyskać starego grata. Gliny tylko wzruszają ramionami, kiedy słyszą komunikat o kradzieży samochodu wartego kilka stów.

Mieć dla siebie Sharon Martin! Na myśl o tym skóra zwilgotniała mu od potu. Przypomnił sobie falę gorąca, jaka go ogarnęła, kiedy ją związywał. Była może trochę za chuda, ale uda i biodra miała okrągłe i miękkie, wyczuł to nawet przez grubą, wełnianą spódnicę. Kiedy niósł związaną kobietę do samochodu, wydawała się przestraszona, a zarazem agresywna, ale na pewno wkrótce będzie po jego stronie.

Przejechał odcinek autostrady międzystanowej, następnie skręcił z miejskiej drogi przelotowej na lokalną i znów wjechał na przelotową. Czuł się bezpieczniej na zatłoczonych trasach. Już wtedy kiedy wyjeżdżał na szosę prowadzącą na Manhattan, był spóźniony, o ile rzeczywiście wszczęto poszukiwania.

Pozostali kierowcy poruszali się w ślimaczym tempie. Głupcy, boją się ślizgawicy, boją się ryzykować, tylko go wstrzymują, utrudniają mu jazdę! Poczul pulsowanie mięśnia na policzku. Gdy drganie stawało się coraz trudniejsze do zniesienia, przyłożył palec do bolącego miejsca. Miał zamiar opuścić tę drogę przed siódmą, zanim minie godzina szczytu, gdyż potem łatwiej będzie go zauważyć.

Gdy wjechał na ulicę Czterdziestą Siódmą, było dziesięć po siódmej. Po chwili zrobił ostry skręt w prawo i znalazł się na krętej ulicy za domem towarowym. Zatrzymał samochód i wyłączył światła. Gdy otworzył drzwi, uderzył go w twarz drobny śnieg niesiony przez wiatr. Poczul piekący ból i musiał przymknąć oczy. Zimno jak diabli.

Próbował się skupić i spenetrował wzrokiem pograżony w mroku parking. Zadowolony otworzył tylne drzwi samochodu i podniósł płaszcz, który wcześniej zarzucił na Sharon. Niemal poczul na sobie przeszywający wzrok kobiety. Zaśmiał się cichutko i zrobił jej zdjęcie kieszonkowym aparatem fotograficznym. Sharon gwałtownie zamrugła powiekami, kiedy oślepił ją błysk. Z zewnętrznej kieszeni wyciągnął cienką jak ołówek elektryczną latarkę i z rozmysłem posłał wąski promień światła prosto w oczy uwięzionej, wolno przesuwając go tam i z powrotem, aż Sharon zacisnęła powieki i spróbowała odwrócić głowę.

Przyjemnie było drażnić ją w ten sposób. Wydał z siebie urywany, prawie bezgłośny chichot, schwycił swą ofiarę za ramiona i zmusił ją, by leżała płasko na brzuchu. Szybкими pociągnięciami noża przeciął więzy. Poruszyła się gwałtownie, usłyszał westchnienie stłumione przez knebel.

- Niezłe uczucie, co, Sharon? - wyszeptał. - Zaraz ściągnę knebel, ale piśniesz raz i chłopak nie żyje, rozumiano?

Nie czekając, aż przytaknie, przeciął zawiązany na supeł gałgan z tyłu jej głowy. Sharon odkrztusiła i wypluła ślinę, która zebrała jej się w ustach. Nadludzkiem wysiłkiem powstrzymała się od krzyku.

- Neil, proszę... - Jej szept był prawie niesłyszalny. - On się udusi...

- To zależy od ciebie.

Nieznajomy poderwał ją do góry i postawił przy samochodzie. Sharon poczuła na twarzy płatki śniegu. Nie panowała nad zdrętwiałymi nogami i rękami. Zatoczyła się, lecz została natychmiast podtrzymana.

- Włóż to. - Ton jego głosu się zmienił. - Szybko!

Wyciągnęła ręce i dotknęła szorstkiego materiału. To musiał być płaszcz, którym była wcześniej przykryta. Podniosła ramię. Mężczyzna zarzucił na nią płaszcz i pośpiesznie naciągnął rękaw na jej drugie ramię.

- Zawiąż chustkę!

Sharon spróbowała złożyć na dwoje wielką wełnianą chustę, która wydawała się bardzo brudna. W końcu jakimś cudem zdołała zamotać supeł pod brodą.

- Wracaj do samochodu. Im szybciej ruszymy, tym szybciej rozwiążę chłopaka. - Brutalnie wepchnął ją na przednie siedzenie.

Zobaczyła płócienny worek na podłodze. Zahaczyła o niego i próbowała ominąć. Pochyliła się i przesunęła dłońmi po żaglowym płótnie. Wyczuła zarys głowy. Zorientowała się, że supeł nie jest za bardzo zaciśnięty, chłopiec miał przynajmniej dostęp do powietrza.

- Neil, jestem tutaj, Wszystko będzie dobrze, Neil...

Czy rzeczywiście wyczuła jego ruchy? Boże, żeby tylko się nie udusił.

Prześladowca biegiem okrążył samochód, wskoczył do środka i przekręcił kluczyk w stacyjce. Ruszyli powoli. Jesteśmy w centrum miasta! Ta myśl wstrząsnęła nią i pomogła zebrać myśli. Musiała zachować spokój, musiała zrobić wszystko, co każe jej ten człowiek. Samochód zbliżał się do Broadwayu, zobaczyła zegar na Times Square. Siódma dwadzieścia... Była dopiero siódma dwadzieścia.

Dokładnie o tej samej porze wczoraj wróciła z Waszyngtonu. Wzięła prysznic, potem smażyła mięso, popijając wino. Była zmęczona i próbowała się odprężyć przed napisaniem artykułu. Myślała o Stevie, o tym, że bardzo się za nim stęskniła przez ostatnie trzy tygodnie.

Gdy zadzwonił, jego głos wzbudził w niej przedziwną mieszaninę radości i zdenerwowania. Tymczasem on starał się, by rozmowa była jak najkrótsza i jak najbardziej zdawkowa.

- Cześć, chciałem tylko sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku. Brzydka pogoda przyjechała za tobą z Waszyngtonu. Zobaczymy się jutro w pracowni. - Przerwał i dodał po chwili: - Brakowało mi ciebie. Pamiętaj, że jutrzejszy wieczór spędzasz z nami.

Odwiesiła słuchawkę. Po tej rozmowie jeszcze bardziej zapragnęła go zobaczyć, choć jednocześnie w jakiś sposób czuła się zawiedziona i zaniepokojona. O co jej właściwie chodziło?

Co on sobie pomyśli, kiedy przyjedzie do domu i zobaczy, że ich nie ma? Och, Steve!

Zatrzymali się na czerwonym świetle na Szóstej Alei. Tuż obok nich stanął radiowóz. Sharon widziała, jak młody kierowca odsunął mundurową czapkę na tył głowy. Wyjrzała przez okno i napotkała jego wzrok. Zorientowała się, że samochód rusza. Wpatrywała się w policjanta, pragnąc, by ten nadal jej się przyglądał, by pojął, że coś jest nie w porządku.

Nagle poczuła ukłucie w bok i pochyliła głowę. Nieznajomy trzymał nóż.

- Jeśli pojedzie za nami, zginiesz - oświadczył. - Zostanie mi jeszcze dość czasu na chłopaka. - Lodowaty ton jego głosu nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

Radiowóz znajdował się teraz bezpośrednio za nimi, zapaliło się ostrzegawcze światło i zawyła syrena.

- Nie, proszę, nie...

Samochód minął ich w pędzie i po chwili zniknął między budynkami.

Skręcili w lewo i znaleźli się na Czterdziestej Czwartej.

Dokąd ich zabiera? Czterdziesta Czwarta jest przecież ślepą ulicą. Na jej końcu znajdowała się stacja Grand Central. Czy porywacz tego nie wiedział?

Mężczyzna podjechał do skrzyżowania Vanderbilt Avenue. Zaparkował niedaleko wejścia do hotelu Biltmore, dokładnie naprzeciw stacji.

- Wsiadamy - powiedział niskim głosem. - Idziemy na dworzec. Ruszaj za mną i nie próbuj żadnych sztuczek. Będę niósł worek i jeśli tylko ktoś zwróci na nas uwagę, chłopak dostanie nożem. - Spojrzał na Sharon, jego oczy załśniły, znów pulsował mu mięsień na policzku. - Zrozumiałaś?

Skinęła głową. Czy Neil go usłyszał?

- Czekaj chwilę. - Przyjrzał się jej i sięgnął do schowka na rękawiczki, z którego wyciągnął ciemne okulary. - Włóż je.

Otworzył drzwi, rozejrzał się wokoło i pośpiesznie wysiadł. Ulica była zupełnie pusta, w pobliżu stał tylko rząd zaparkowanych taksówek. Nikt ich nie widział, nikogo nie obchodzili...

Chce nas zabrać do pociągu, pomyślała Sharon, będziemy daleko stąd, zanim ktoś zechce nas poszukać! Poczowała piekący ból w lewej dłoni. Pierścione! Stary pierścionek z kamieniem księżycowym, gwiazdkowy prezent od Steve'a. Musiał się przekręcić, kiedy była związana, i misterna złota oprawa kamienia skaleczyła ją w palec. Prawie nie myśląc, zsunęła pierścionek z palca. Miała akurat tyle czasu, by wcisnąć go w tapicerkę siedzenia, gdy samochód się zatrzymał.

Wysiadła i ruszyła niepewnie po śliskim chodniku. Mężczyzna boleśnie ścisnął jej łokieć i rozejrzał się badawczo po wnętrzu samochodu. Szybko pochylił się, zebrał z podłogi kawałki pociętego sznura i podniósł szmatę, którą przedtem zakneblował Sharon. Dziewczyna wstrzymała oddech, lecz porywacz nie zauważył pierścionka. Kucnął, podniósł worek, mocniej zaciągnął sznur i związał go na końcach. Neil udusi się w tym zamknięciu, pomyślała.

Stacja była tak jaskrawo oświetlona, że Sharon, mimo ciemnych okularów, musiała zmrużyć oczy. Stali teraz na pomoście, prowadzącym do głównego budynku, kilka metrów od kiosku z gazetami. Sprzedawca spoglądał na nich obojętnie. Zeszli parę stopni. Uwagę Sharon przyciągnęła wielka tablica reklamowa Kodaka: „Chwytaj piękno w locie!”.

Z trudem zdusiła wybuch histerycznego śmiechu, chwytaj? chwytaj? Zauważyła zegar, słynny zegar dokładnie nad okienkiem informacji w samym środku dworca. Stąd trudniej było dostrzec, że przed dworcem znajduje się budka policyjna. Sharon przeczytała gdzieś, że kiedy pali się sześć czerwonych świateł, oznacza to alarm dla policji kolejowej na Grand Central. Gdyby wiedzieli, co się tutaj dzieje...

Była siódma dwadzieścia dziewięć. Steve miał jechać pociągiem o siódmej trzydzieści. Był gdzieś teraz tutaj... na tej stacji... w pociągu, który za minutę zabierze go stąd. „Steve!” - miała ochotę krzyknąć na cały głos... Steve...

Stalowe palce ścisnęły jej ramię.

- Na dół.

Popchnął ją na schody prowadzące na niższy poziom dworca. Godzina odjazdu minęła. W hali głównej zostało niewielu ludzi, jeszcze mniej szło na dół. Może powinna się potknąć, zwrócić na siebie uwagę przechodniów... Nie, nie wolno ryzykować, gdy mężczyzna trzyma worek i nóż wymierzony w Neila.

Znaleźli się na niższym poziomie. Minęli wejście do baru Ostryga z prawej strony. Sharon umówiła się tu ze Steve'em w zeszłym miesiącu na lunch. Usiedli wtedy przy kontuarze i zamówili

specjalność zakładu...

Steve, znajdź nas, uratuj...

Została popchnięta w lewo.

- Tędy... nie za szybko.

Linia numer 112. Na tablicy informacyjnej był jeszcze napis: „Mount Vernon - 8.10”. Pociąg musiał właśnie odjechać. Po co tu przyszli?

Po lewej stronie pochyła rampa biegła wzdłuż torów. Sharon ujrzała obdartą, starą kobietę, niosącą torbę na zakupy. Opatulona była w męską marynarkę, spod której wystawała obszarpana wełniana spódnica, na nogach miała opadające bawełniane pończochy. Kobieta przyglądała im się z ciekawością.

- Nie zatrzymuj się...

Przeszli wzdłuż rampy na peron. Ich kroki odbiły się metalicznym echem. Gwar rozmów ucichł, a ciepło, które panowało w hali głównej, ustąpiło fali zimnego i wilgotnego powietrza.

Peron był pusty.

- Teraz tutaj.

Przynaglającym ruchem skierował ją ku miejscu, gdzie koniec peronu przechodził w kolejną rampę. Gdzieś w pobliżu kapąła woda, ciemne okulary utrudniały Sharon widzenie. Usłyszała rytmiczny warkot silnika... Jakaś pompa... pewnie pneumatyczna. Porywacz prowadzi ich na najniższy poziom dworca, głęboko pod ziemię. Co z nimi zrobi?

Obok głucho zadudnił pociąg, w pobliżu musiał być tunel.

Betonowa powierzchnia, po której szli, wciąż się obniżała. Korytarz robił się coraz szerszy. Znaleźli się w zamkniętej przestrzeni wielkości połowy boiska do futbolu. Na lewo, w odległości mniej więcej czterech metrów, zauważyła wąskie schodki.

- Tędy... szybciej. - Zaczęło brakować mu tchu. Oddychał ciężko i chrapliwie.

Sharon wspinała się po schodkach, uważnie licząc stopnie: dziesięć... jedenaście... dwanaście. Znalazła się na wąskiej platformie, naprzeciw metalowych drzwi.

- Przesuń się.

Poczuła za sobą jego ciężki oddech i odsunęła się na bok. Położył worek i obrzucił ją krótkim spojrzeniem. W przyćmionym świetle dostrzegła kropelki potu na jego czole. Wyjął klucz i włożył do zamka, przekręcił i drzwi ustąpiły ze zgrzytem. Wepchnął Sharon do środka. Kiedy podnosił torbę z podłogi, zakaszłał. Drzwi zamknęły się za nimi. W ciemności usłyszała trzask przełącznika, w ułamek sekundy później nad ich głowami zabłyśły zakurzone lampy. Sharon zobaczyła zapuszczone, wilgotne ściany, zardzewiałe zlewy, zabity deskami otwór wentylacyjny, zapadnięte łóżko, odwróconą skrzynkę po pomarańczach i starą, czarną walizkę leżącą na podłodze.

- Gdzie jesteśmy? Co chcesz z nami zrobić? - Mówiła niemal szeptem, ale i tak jej głos odbijał się echem w tym przypominającym piwnicę pomieszczeniu.

Nie odpowiadając, porywacz zbliżył się do łóżka. Położył na nim worek i rozprostował ramiona. Sharon gorączkowo szarpała sznurek. Zsunęła sztywne płótno, wyciągnęła ze środka skrępowanego chłopca. Oswobodziła jego głowę i w pośpiechu wyjęła knebel.

Chłopiec zachłysnął się, łapczywie chwyając powietrze. Jego oddech był urywany i chrapliwy. Słyszała świst wydobywający mu się z oskrzeli. Podtrzymując głowę Neila, próbowała ściągnąć mu bandaż z oczu.

- Zostaw to! - Polecenie zabrzmiało ostro i bezwzględnie.

- Proszę! - krzyknęła. - On jest chory... Ma atak astmy. Pomóż mu.

Popatrzyła do góry i zacisnęła usta, powstrzymując krzyk. Na ścianie ponad poręczą łóżka

wisiały trzy ogromne zdjęcia. Młoda kobieta, biegnąca z szeroko rozpostartymi ramionami, spoglądała z przerażeniem za siebie... Jej usta wykrzywione były w niemym krzyku. Kobieta o jasnych włosach leżała z podkulonymi pod siebie nogami obok samochodu... Ciemnowłosa nastolatka jedną ręką trzymała się za gardło. Jej oczy wyrażały zdumienie i niedowierzenie.

Dawno temu Lally była nauczycielką w Nebrasce. Po przejściu na emeryturę wybrała się na samotną wycieczkę do Nowego Jorku. Nigdy już nie wróciła do domu.

Owa noc, kiedy przyjechała na dworzec Grand Central, okazała się punktem zwrotnym w jej życiu. Onieśmielona i przestraszona, niosła swoją jedyną walizkę przez kłębowisko ludzi, rozglądała się i wreszcie stanęła. Była jedną z niewielu osób, które dostrzegły, że niebo rozpościerające się na wielkim sklepieniu zostało namalowane odwrotnie. Wschodnie gwiazdy znalazły się tu po zachodniej stronie.

Roześmiała się w głos i otworzyła usta, ukazując zęby. Ludzie na moment zatrzymywali na niej oczy i zaraz pędzili dalej. Ich zachowanie ją zachwyciło. W Nebrasce, jeśli Lally zdarzało się unosić głowę i śmiać do siebie, następnego dnia wiedziało już o tym całe miasteczko.

Zostawiła bagaż w przechowalni i umyła się w damskiej toalecie. Wygładziła powyciąganą wełnianą spódnicę i zapięła cienki sweter. Wreszcie przyczesła siwe włosy i ułożyła je starannie wokół szerokiej, nalanej twarzy.

Przez następne sześć godzin Lally zwiedzała dworzec, wpadając co chwilę w dziecięcy zachwyty, gdy błądziła wśród kłębiącego się, pędzącego tłumu.

Zjadła coś na stojąco w tanim barze szybkiej obsługi, obejrzała wystawy sklepów w hotelowych pasażach i w końcu usiadła w głównej poczekalni.

Zafascynowana wpatrywała się w młodą matkę, karmiącą piersią niecierpliwe niemowlę, gapiała się na parę obejmujących się młodych ludzi, śledziła grę w karty, którą czterech mężczyzn próbowało zabić czas.

Tłum podróżnych na przemian gęstniał i rzedł. Około północy uwagę Lally przyciągnęło sześciu mężczyzn i mała kobieta o ptasiej twarzy. Wszyscy oni stali blisko siebie, prowadząc ożywioną, poufałą rozmowę starych znajomych.

Kobieta wyczuła badawczy wzrok Lally i po chwili podeszła do niej.

- Jesteś tu nowa? - spytała szorstkim, choć na swój sposób życzliwym tonem.

Lally przypomniała sobie, że wcześniej widziała ją wygrzebującą gazetę z kosza na śmieci.

- Tak.

- Masz gdzie się podziać?

Mimo że miała zarezerwowane miejsce w schronisku turystycznym, coś podkusiło ją do kłamstwa.

- Nie.

- Od dawna tutaj jesteś?

- Nie.

- Masz pieniądze?

- Niedużo. - Znów skłamała.

- Nie martw się, pokażemy ci wszystko. Jesteśmy tu stałymi bywalcami. - Wskazała na przyjaciół.

- Mieszkasz gdzieś w pobliżu? - zapytała Lally. Kobieta zmrużyła oczy i odsłoniła w uśmiechu zepsute zęby.

- Nie, mieszkam tutaj. Nazywam się Rosie Bidwell.

W całym swym nudnym i smutnym sześćdziesięciodwuletnim życiu Lally nie miała bliskiej przyjaciółki i Rosie Bidwell w jednej chwili zajęła honorowe miejsce w jej sercu.

Została natychmiast uznana i zaaprobowana przez innych mieszkańców dworca. Wkrótce pozbyła się walizki i tak jak Rosie cały swój dobytek nosiła w torbach na zakupy. Nauczyła się wysiadywać nad tanimi daniami w barze szybkiej obsługi, co jakiś czas brać prysznic w publicznej łaźni w Greenwich Village, sypiać w ruderach, najgorszych schroniskach lub w ośrodku Armii Zbawienia. Albo... w swoim własnym pokoju na Grand Central.

To był jedyny sekret, jakiego nie wyjawiała Rosie. Niestrudzenie przemierzając cały budynek, wnet poznała każdy centymetr jego powierzchni. Wspinała się po schodach, ukrytych za pomalowanymi na pomarańczowo drzwiami na peronach, i spacerowała po mrocznej, przypominającej jaskinię przestrzeni pod sufitem gmachu. Odkryła schody łączące dwie damskie toalety i kiedy tę z nich, która była położona niżej, zamknięto z powodu remontu, Lally do niej schodziła. Spędzała tam spokojnie samotne noce. Zdarzało jej się nawet spacerować wzdłuż torów w tunelu pod Park Avenue. Przyciskała się do ściany, gdy z hukiem przejeżdżał pociąg i dzieliła się odpadkami z kotami zamieszkującymi podziemie.

Szczególnie jednak pociągały ją najgłębiej położone przestrzenie, zwane przez dworcowych strażników Sing-Singiem. Znajdowały się tam wyjące i trzeszczące pompy, wentylatory oraz inne tajemnicze urządzenia. Wyobrażała sobie, że to one są sercem stacji. Najbardziej w Sing-Singu ciekawiły Lally nieoznaczone drzwi u szczytu wąskich schodów. Pewnego razu mimochodem wspomniała o nich w rozmowie ze strażnikiem Rustym, który stał się jej dobrym znajomym. Przypomniał sobie, że pomieszczenie za drzwiami należało kiedyś do baru Ostryga, zmywano tam naczynia. Strażnik odradził jej zaglądnąć do takich miejsc, ale wytrwała staruszka wierciła mu dziurę w brzuchu tak długo, aż zgodził się ją tam zaprowadzić.

Lally była zachwycona tym miejscem i nie przejmowała się wcale odłóżką farbą i wilgotnymi ścianami. Przestronne pomieszczenie z oświetleniem i bieżącą wodą, a nawet maleńką klitką, gdzie znajdowała się ubikacja - wiedziała od pierwszej chwili, że pozwoli ono zaspokajać od czasu do czasu jedyną potrzebę, jaka jej pozostała. Potrzebę całkowitej, niczym niezakłóconej intymności.

- Prawdziwy pokój z łazienką - błagała. - Rusty, pozwól mi tu zostać.

Strażnik jednak wyglądał na przerażonego.

- Wykluczone, mogę stracić pracę!

Urabiała go tak długo, aż wreszcie pozwolił jej tam spędzić jedną noc. Później Lally udało się pożyczyć klucz na kilka godzin i zrobiła duplikat. W końcu Rusty odszedł na emeryturę i stała się niepodzielną władczynią owego apartamentu.

Po trochu gromadziła potrzebne sprzęty: podniszczone wojskowe łóżko polowe, poprzecierany materac, skrzynkę po pomarańczach.

Zaczęła bywać tam regularnie. Były to najszcześniejsze chwile: zstępowała do głębin ciemnej i tajemniczej jak matczyne łono, by słuchać wszystkich odgłosów stacji, które stawały się coraz cichsze w środku nocy, a potem nagle przemieniały się w szaleńczy zgiełk poranka.

Czasem, przebywając w owym królestwie, wyobrażała sobie, że opowiada uczniom o „Upiorze w operze”: „Pod pięknym, rozświetlonym gmachem znajduje się inny świat - mówiła - ciemny i tajemniczy, świat przesmyków i kanałów, wilgoci i mroku, miejsce, gdzie można się bezpiecznie ukryć przed ludźmi”.

Jedyną ciemną chmurą na horyzoncie był lęk przed tymi, którzy mogli zburzyć stację. W czasie demonstracji Komitetu Obrony Grand Central stała cicho z boku, lecz głośno klaskała, gdy znakomitości pokroju Jackie Onassis stwierdzały, że dworzec Grand Central, zajmujący ważne

miejsce w historii Nowego Jorku, nie może ulec zniszczeniu. Mimo że obiekt został uznany za zabytek, Lally wiedziała, że wielu ludzi wciąż pragnie zagłady jej miejsca na ziemi.

W zimie nie mieszkała w swoim pokoju - było tam za zimno i za wilgotno, lecz między majem a wrześniem bywała tam przeciętnie dwa razy w tygodniu, niezbyt często, by nie dać się złapać policji i nie zaniepokoić Rosie.

Minęło sześć lat, najlepszych w całym życiu Lally. Znała wszystkich strażników, sprzedawców gazet, kasjerów. Poznała twarze codziennych pasażerów, wiedziała, kiedy i gdzie podróżują. Rozpoznawała też pijaków, biegnących chwiejnym krokiem do nocnych pociągów.

W ten poniedziałek Lally spotkała się z Rosie w głównej hali dworca. W zimie nabawiła się dokuczliwego artretyzmu i tylko to powstrzymywało ją przed zejściem do swojego azylu. Minęło już jednak całe sześć miesięcy i nie mogła dłużej czekać. Zejdę tam tylko i zobaczę, co się dzieje, myślała. Może, jeśli nie będzie za zimno, nawet się tam zdrzemnę, ale nie jest to zbyt prawdopodobne. Stąpając mozolnie, zeszła po schodach do niższej części dworca. Nie było tam zbyt wielu ludzi. Ostrożnie zezowała na boki, wypatrując policjantów. Nie może sobie pozwolić na to, żeby ktoś zauważył ją w drodze do kryjówki. Nie pozwolą jej tam mieszkać, nawet najsympatyczniejsi z nich.

Zobaczyła przyjemnie wyglądającą rodzinę z trojgiem dzieci. Lubiała dzieci i była dobrą nauczycielką. Gdy tylko uczniowie przestawali się naśmiewać z jej brzydoty, przeważnie wszystko układało się jak najlepiej. Co nie znaczy, że chciałyby, żeby tamte czasy wróciły. Nie, za żadne skarby.

Właśnie zbliżała się do przejścia, gdy zwróciła uwagę na poszarpaną, purpurową lamówkę, którą obszyty był dół zniszczonego, szarego płaszcza.

Lally знаła ten płaszc, przymierzała go tydzień temu w sklepie z używaną odzieżą przy Drugiej Alei. Nie mogło być dwóch takich samych, z takim samym obszyciem. Jej ciekawość sięgnęła zenitu. Wnikliwie przyjrzała się twarzy kobiety w płaszczu i zdziwiło ją, jak młoda i piękna była mimo ciemnych okularów i chustki na głowie. A mężczyzna, z którym szła, był... był kimś, kogo Lally ostatnio widywała w okolicach dworca. Staruszka zwróciła uwagę na drogie, skórzane obuwie kobiety. Buty, jakie noszą ludzie podróżujący do Connecticut. Zabawne zestawienie, pomyślała, znoszony płaszc i te buty. Teraz, umierając już z ciekawości, przyglądała się, jak owa para przemierzała dworzec. Worek, który niósł mężczyzna, wydawał się dość ciężki. Gdy Lally zauważyła, że tamci kierują się w stronę peronu do Mount Vernon, poczuła się zaskoczona. Przecież w ciągu najbliższych trzydziestu minut nie odchodził stamtąd żaden pociąg. Dziwne, pomyślała. Po co w takim razie czekać na peronie? Jest zimno i wilgotno.

Wzruszyła ramionami. To zmieniało postać rzeczy. Nie może pójść do swojego pokoju, gdyż ci ludzie ją zapamiętają. Musi poczekać do jutra. Próbując zachować spokój, Lally skierowała się do hali głównej w poszukiwaniu Rosie.

- Mów, Ron, mów, do cholery.

Ciemnowłosy adwokat wcisnął guzik nagrywania. Magnetofon stał na stoliku pomiędzy dwoma siedzącymi na krzesłach młodymi mężczyznami.

- Nie. - Ron Thompson wstał, przeszedł nerwowo przez wąską celę i wyjrzał przez zakratowane okno. - Nawet śnieg jest tu brudny - powiedział. - Brudny, szary i zimny. Czy chce pan to nagrać?

- Nie, nie chcę. - Teraz Bob Kurner wstał i położył dłonie na ramionach chłopaka. - Proszę cię, Ron.

- Co ja z tego będę miał? Co będę miał? - Usta osiemnastolatka nerwowo zadrgały. Po chwili przygryzł wargi i przetarł oczy. - Wiem, że zrobił pan wszystko, co było można. Wiem, że pan się starał. Lecz w tej sprawie nikt nie potrafi mi pomóc.

- Możesz dać pani gubernator powód do skorzystania z prawa łaski albo chociaż do odroczenia wyroku.

- Ale przecież pan próbował... I ta pisarka, Sharon Martin. Jeśli ona nic nie wskórała zebranych przez siebie podpisami znanych osób...

- Niech diabli wezmą tę Sharon Martin! - Bob Kurner kurczowo zacisnął pięści. - Niech diabli wezmą te ich niedźwiedzie przysługi! Przygotujemy petycję, prawdziwą, podpisaną przez ludzi, którzy cię znają i wiedzą, że nie skrzywdziłbyś nikogo... I nagle wyskakuje ona i drze się na cały kraj, że oczywiście jesteś winny, ale nie powinieneś umierać. Ona po prostu uniemożliwiła gubernator uchylenie wyroku. Uniemożliwiła!

- Więc czemu pan traci czas? Skoro nie ma już szans, nie ma nadziei? Nie chcę już o tym rozmawiać.

- Musisz ze mną rozmawiać.

Bob zniżył głos i popatrzył chłopcu w oczy. Była w nich bezgraniczna szczerłość i uczciwość. Przypomniawszy sobie siebie w wieku osiemnastu lat. Dziesięć lat temu był studentem drugiego roku w Villanova. Ron też miał zamiar iść do college'u... A zamiast tego pójdzie na krzesło elektryczne. Nawet dwa lata w więzieniu nie osłabiło jego mięśni. Wciąż trenował w swojej celi. Był taki zdyscyplinowany. Stracił jednak dziesięć kilogramów, a twarz miał białą jak kreda.

- Czekaj - mruknął Bob. - Na pewno jest coś, co przeoczyłem...

- Niczego pan nie przeoczył.

- Słuchaj, Ron, broniłem cię, ale zostałeś skazany, mimo że nie zabiłeś Niny Peterson. Musimy znaleźć chociaż ślad dowodu, jaki moglibyśmy przedstawić pani gubernator, jeden powód, by mogła odroczyć egzekucję. Mamy czterdzieści dwie godziny, tylko czterdzieści dwie.

- Ale przecież właśnie pan powiedział, że ona nie uchyla mojego wyroku.

Kurner pochylił się i wyłączył magnetofon.

- Ron, może nie powinienem ci tego mówić. Bóg wie, czy robię dobrze, ale słuchaj. Gdy posadzono cię o zabójstwo Niny Peterson, wiele osób myślało, że jesteś winny popełnienia dwóch innych niewyjaśnionych morderstw, wiesz przecież o tym?

- Zadali mi dość pytań na ten temat.

- Chodziłeś do szkoły z tą małą Carfolli, a pani Weiss najmowała cię do odgarniania śniegu.

Musieli więc o to pytać. To normalny sposób postępowania. Od chwili kiedy cię aresztowano, nie było już więcej morderstw, aż do teraz. Ron, w ciągu ostatniego miesiąca w okręgu Fairfield zamordowano dwie młode kobiety. Gdyby nam się udało zmusić ich do zastanowienia, wywołać chociaż cień wątpliwości... Zasugerować, że coś łączy sprawę Niny Peterson z dwoma pozostałymi.

- Objął chłopca ramieniem. - Ron, wiem, jak paskudnie się czujesz, mogę sobie tylko wyobrazić, przez co teraz przechodzisz. Mówiłeś mi, ile razy przypominałeś sobie minutę po minucie tamten dzień, ale może coś jeszcze zostało, coś, co, nie wydawało ci się ważne, jakiś szczegół. Jeśli tak, mów.

Ron cofnął się, przeszedł kilka kroków i usiadł. Wcisnął guzik nagrywania i pochylił się w stronę magnetofonu. Zmarszczył brwi w skupieniu, milczał chwilę, a wreszcie zaczął mówić:

- Pracowałem tego popołudnia po szkole w sklepie pana Timberly'ego. Pani Peterson robiła zakupy. Właśnie pan Timberly powiedział mi, że mnie wyrzuca, gdyż zbyt często zwalniałem się na treningi baseballowe, i ona to usłyszała. Kiedy pomagałem jej zanieść sprawunki do samochodu, powiedziała...

Była godzina dziewiąta wieczorem, gdy pociąg z czterdziestominutowym opóźnieniem dojeżdżał do stacji w Carley. W czasie podróży Steve cały czas zastanawiał się, co mogło wydarzyć się w domu. Jeśli Neil zachorował, Sharon z pewnością zabrała go na zastrzyk. Może dlatego nikt nie podnosił słuchawki. Powinien był zadzwonić do doktora. Tego, że Sharon przyjechała, był pewien. Gdyby się rozmyśliła, dałaby mu znać.

A może to tylko telefony się popsuly.

Coś jednak było nie w porządku. Czuł to.

Może z powodu zbliżającej się egzekucji był taki roztrzęsiony i przewrażliwiony. Mój Boże, wieczorne gazety znowu wywlokły całą sprawę. Zdjęcie Niny na pierwszej stronie i nagłówek: „Nastolatek ma umrzeć za brutalne zabójstwo młodej matki z Connecticut”. Fotografia Thompsona znajdowała się obok jej zdjęcia. Miło wyglądający dzieciak. Trudno uwierzyć, że był zdolny do zabójstwa z zimną krwią.

Zdjęcie Niny. Raz po raz łapał się na tym, że się w nie wpatruje. Po morderstwie reporterzy domagali się fotografii. Przeklinał chwilę, w której pozwolił im zrobić odbitki z tej właśnie. Bardzo lubił to zdjęcie Niny. Pstryknięte, gdy wiatr rozwiewał jej ciemne loczki wokół twarzy, a mały prosty nosek zmarszczył się trochę, jak zawsze, kiedy się śmiała. Luźno zawiązana wokół szyi apaszka. Dopiero później uświadomił sobie, że właśnie tą apaszką Thompson ją udusił.

Steve wysiadł pierwszy, gdy pociąg wreszcie się zatrzymał. Zbiegł po śliskich schodach peronu na parking. Próbował zmieść śnieg z szyb samochodu, ale cienka, zlodowaciała powłoka nie ustępowała. Zniecierpliwiony otworzył bagażnik i sięgnął po odmrażacz i skrobaczkę.

Ostatni raz widział Ninę żywą, gdy odwoziła go do pociągu. Zauważył wtedy na prawym kole startą, „łysiejącą” oponę. Nina przyznała się, że któregoś wieczoru złapała gumę. Co prawda zawiozła ją do warsztatu, ale jeszcze nie odebrała.

- Nie powinnaś jeździć na łysej oponie. Do diabła, kochanie, to niedbalstwo może cię zabić! - nakrzyczał na nią zdenerwowany.

Obiecała jeszcze tego dnia odebrać oponę z reperacji. Na stacji chciał wysiąść z samochodu bez pocałowania żony na pożegnanie, ale nachyliła się, musnęła ustami jego policzek i z nutką śmiechu w głosie powiedziała:

- Miłego dnia, zrzędo. Kocham cię.

Nie odpowiedział ani się nie obejrzał, wsiadając do pociągu. Potem zastanawiał się, czy nie zadzwonić do żony z biura, ale powtarzał sobie, iż chce, aby myślała, że naprawdę jest na nią zły. Martwił się o Ninę. Była lekkomyślna w istotnych sprawach. Czasami, kiedy wracał późno do domu, zastawał ją i Neila śpiących przy niezamkniętych drzwiach.

No i nie zadzwonił. Nie pogodził się z nią. A gdy tamtego dnia o piątej trzydzieści po południu wysiadł z pociągu, Roger Perry czekał na niego na stacji. Czekał, aby zawieźć go do domu i poinformować, że Nina nie żyje.

Potem nastąpiły dwa lata beznadziejnego bólu, aż do tego ranka, sześć miesięcy temu, kiedy został przedstawiony drugiemu gościowi dziennika, Sharon Martin.

Szyba była już wystarczająco czysta, Steve wsiadł do samochodu i przekręcił kluczyk. Chciał jak

najszybciej znaleźć się w domu i przekonać, że z Neilem wszystko w porządku. Chciał objąć Sharon i trzymać ją w ramionach. Dziś wieczorem chciał słyszeć, jak się krząta w pokoju gościnnym, wiedzieć, że jest blisko. Nic nie może zniszczyć tego, co jest między nimi, postanowił.

Odcinek, który zwykle przejeżdżał w pięć minut, zabrał mu kwadrans. Na szosie była „szklanka”. Wreszcie skręcił w Driftwood Lane. Dostrzegł dom... Światła zgaszone! Zesztywniał ze strachu. Nie zważając na śliską nawierzchnię, przycisnął gaz do końca i auto wystrzeliło do przodu, mijając w pędzie zabudowania. Skręcił na podjazd i zatrzymał się przed wozem Sharon. Wyskoczył z samochodu, biegiem pokonał schody, wepchnął klucz do zamka i szarpnął drzwi.

- Sharon!... Neil!... - zawołał. - Sharon!... Neil!

Zajrzał do salonu. Na podłodze zobaczył mnóstwo gazet. Neil musiał robić wycinki. Na otwartej stronie jednej z nich leżały nożyczki i skrawki papieru. Obok kominka na małym stoliku stał kubek kakao i kieliszek sherry.

Steve podszedł i dotknął kubka. Był zimny. Wszedł do kuchni i zauważył garnek w zlewie. Pobiegł przez hol do gabinetu. Ogarniało go przerażenie. Gabinet również był pusty. Na kominku migotał ogień. Prosił Billa, aby go rozpałił, zanim wyjdzie.

Nie wiedząc, czego właściwie szuka, Steve wybiegł z powrotem do holu. Zobaczył torebkę Sharon oraz torbę z jej rzeczami. Otworzył drzwi szafy przeznaczonej dla gości. Jest jej peleryna! Co skłoniło Sharon do wyjścia bez okrycia? Neil! Neil musiał mieć jeden z tych gwałtownych ataków... tych, które nadchodziły tak nagle, że prawie go dusiły.

Steve rzucił się do telefonu wiszącego na ścianie w kuchni. Numery szpitala, policji, straży pożarnej i ich doktora były wyraźnie wypisane. Najpierw próbował skontaktować się z lekarzem w przychodni.

- Nie, panie Peterson - powiedziała pielęgniarka. - Nie mieliśmy telefonu w sprawie Neila. Czy mogę coś...

Odwiesił słuchawkę bez wyjaśnień. Zadzwoił do izby przyjęć w szpitalu.

- Nie mamy wpisu...

Gdzie oni są? Co się z nimi stało? Spojrzał na ścienny zegar. Dwadzieścia po dziewiątej. Prawie dwie godziny minęły od czasu, gdy próbował się dodzwonić do domu. Nie ma ich przynajmniej od tamtej pory. Państwo Perry! Może są u Perrych! Sharon mogła pójść tam z Neilem, jeśli źle się poczuł...

Steve znowu sięgnął po słuchawkę. Boże, proszę, niech będą u Perrych! Niech wszystko będzie z nimi dobrze!

Wtedy to zobaczył. Wiadomość na podręcznej tabliczce była napisana kredą, grubymi, nierównymi literami:

„Jeśli chcesz zobaczyć dziecko i dziewczynę żywych, czekaj na instrukcje”. Trzy następne słowa mocno podkreślono: „Nie wzywaj policji”.

Wiadomość była podpisana „Foxy”. [1]

W śródmiejskim biurze FBI na Manhattanie Hugh Taylor westchnął, zasuważąc górną szufladę biurka. O Boże, jak miło będzie znaleźć się w domu, pomyślał. Już prawie wpół do dziesiątej, więc nie powinno być korków. Chociaż burza z pewnością narobiła szkód na autostradzie, a na moście panuje teraz niezły bałagan. Wstał i przeciągnął się. Ramiona i szyję miał sztywne i zdrętwiałe. Dobijał do pięćdziesiątki, a czuł się jak siedemdziesięciolatek. Co za fatalny dzień! Kolejna próba napadu na bank... Tym razem był to Chase Bank na rogu Czterdziestej Ósmej i Madison. Kasjerowi udało się wcisnąć alarm i policjanci okrążyli napastników, ale wcześniej został postrzelony strażnik. Biedny chłopak, jest w krytycznym stanie i chyba z tego nie wyjdzie.

Twarz Hugh stężała. Osobnicy zdolni do czegoś takiego powinni być zamykani na zawsze.

Ale nie zabijani. Hugh sięgnął po płaszcz. To była jedna z przyczyn jego dzisiejszego przygnębienia. Dzieciak Thompsonów. Nie mógł przestać myśleć o nim i o sprawie Petersona sprzed dwóch lat. Hugh prowadził wówczas śledztwo. Wraz ze swoim oddziałem śledził Thompsona aż do motelu w Wirginii, gdzie go wreszcie dopadli.

Ten dzieciak uparcie zaprzeczał faktom. Nawet wtedy, gdy wiedział, że jedyną szansą, aby ratować skórę, jest zdanie się na litość sądu, nadal wypierał się popełnienia morderstwa.

Hugh wzruszył ramionami. Nic nie mógł na to poradzić, tego był pewien. Pojutrze Ronald Thompson zostanie stracony na krześle elektrycznym. Hugh przeszedł przez hol i wcisnął guzik windy. Był naprawdę śmiertelnie zmęczony.

Pół minuty później winda zatrzymała się na jego piętrze. Drzwi się rozsunęły. Wszedł i nacisnął guzik parteru.

Usłyszał, że ktoś woła jego imię. Odruchowo wyciągnął rękę i przytrzymał drzwi, aby się nie zamknęły. Hank Lamont, jeden z młodszych agentów, dobiegł do windy i chwycił go za rękę.

- Hugh! - Brakowało mu oddechu. - Dzwoni Steve Peterson... Wiesz... Mąż Niny Peterson...

- Wiem, kto to - przerwał Hugh. - Czego chce?

- Chodzi o jego syna... Mówi, że jego syn i ta pisarka, Sharon Martin, zostali porwani.

- Kto zrobił te zdjęcia? - Głos Sharon drżał ze strachu.

Mężczyzna zacisnął mocno wargi, nerwowy tik wykrzywił mu policzek. Sharon zdała sobie sprawę, że popełniła błąd, zadając mu to pytanie.

- Chciałam powiedzieć... że są takie realistyczne - dodała i odniosła wrażenie, jakby wyraz jego twarzy nieco złagodniał.

- Może je znalazłem - odpowiedział wymijająco. Przypomniała sobie błysk flesza, który oślepił ją w samochodzie.

- A może tyje zrobiłeś? - W jej głosie była nuta uznania.

- Może...

Czuła, jak dłonią dotyka jej włosów. Nie okazuj, że się boisz, pomyślała bliska hysterii. Wciąż podtrzymywała ramieniem głowę Neila. Łkanie dziecka załamywało się z ostrym, astmatycznym świstem.

- Neil, nie płacz - błagała. - Udusisz się. - Popatrzyła na prześladowcę. - Jest taki wystraszony. Niech pan go rozwiąże.

- Będziesz mnie lubiła, jeśli to zrobię? - spytał, klękając na łóżku i wciskając kolano w jej bok.

- Oczywiście, że będę cię lubiła... Ale proszę... - Odgarnęła palcami wilgotne, jasne kędziory z czoła Neila.

- Nie ruszaj opaski! - warknął i mocnym chwytem odciągnął jej dłoń od twarzy chłopca.

- Dobrze - zgodziła się potulnie.

- W porządku. Na chwilę. Tylko ręce. Ale najpierw... Ty się połóż.

- Dlaczego? - Zesztywniała.

- Nie możecie być oboje rozwiązani. Odsuń się od chłopca.

Jedyne, co mogła zrobić, to usłuchać. Tym razem mężczyzna związał jej nogi od kolan do kostek, a potem pociągnął na łóżku do pozycji siedzącej.

- Nie związę ci rąk, dopóki nie będę gotów do wyjścia, Sharon. - To było z jego strony ustępstwo. Przeciągał samogłoski, wymawiając jej imię.

Gotów do wyjścia? Miał zamiar ich tu zostawić?

Nachylił się nad Neilem i przeciął więzy na nadgarstkach. Chłopiec rozłożył ramiona i zatrzepotał nimi w powietrzu. Oddech miał urywany, świst w płucach osiągał coraz wyższe tony.

Sharon wzięła go na kolana i przytuliła do siebie. Wciąż miała na sobie ten obrzydliwy szary płaszcz. Okryła nim chłopca, ale próbował wyswobodzić się z jej uścisku.

- Neil, przestań! Uspokój się! - powiedziała stanowczo. - Pamiętasz, co tatuś kazał ci robić, kiedy masz atak astmy? Siedź spokojnie i oddychaj bardzo wolno. - Podniosła wzrok. - Proszę... niech mu pan poda szklanekę wody.

Skinął głową i podszedł do zardzewiałego zlewu. Ciekący kran prychnął nierównym bulgotem. Mężczyzna stał tyłem do nich, napełniając kubek, i wtedy Sharon spojrzała znów na zdjęcia. Dwie z tych kobiet były martwe albo umierające, trzecia próbowała uciekać przed kimś lub przed czymś. Czy on to zrobił? Czy jest szaleńcem? Dlaczego porwał ją i Neila? Wiele ryzykował, przechodząc z nimi przez dworzec. Ten człowiek starannie wszystko zaplanował. Dlaczego?

Neil zakrztusił się i zaczął kaszleć. Porywacz odwrócił się od zlewu. Sharon zauważyła, że gdy zbliżył się i podawał jej kubek z wodą, drżały mu ręce. Głośny kaszel musiał go zaniepokoić.

- Zrób coś, żeby przestał - nakazał.

Sharon przytrzymała kubek przy ustach chłopca.

- Neil, napij się - powiedziała łagodnie. - Nie... powoli, Neil... A teraz oprzyj się.

Mały dopił resztę wody i westchnął. Czuła, że jego drobne ciało trochę się rozluźnia.

Porywacz pochylił się nad nią.

- Jesteś bardzo wrażliwa, Sharon - powiedział. - To dlatego się w tobie zakochałem. Bo ty się mnie nie boisz, prawda?

- Nie... Oczywiście, że nie. Wiem, że nie chcesz nas skrzywdzić. - Ton jej głosu był swobodny jak w zwykłej rozmowie. - Ale dlaczego nas tu przyprowadziłeś?

Nie odpowiadając, podszedł do czarnej walizki, uniósł ją ostrożnie i postawił niedaleko drzwi. Stojąc nad nią okrakiem, otworzył wieko.

- Co w niej jest? - spytała Sharon.

- Coś, co muszę uruchomić, zanim wyjdę.

- Gdzie masz zamiar pójść?

- Nie zadawaj tylu pytań, Sharon - upomniał ją.

Patrzyła, jak przebiera palcami w zawartości walizki. Te palce żyły teraz własnym życiem, ze znanstwem radząc sobie z przewodami i materiałem wybuchowym.

- Nie mogę rozmawiać, kiedy się tym zajmuję. Z nitrogliceryną trzeba uważać... Nawet ja muszę uważać - dodał po chwili.

Sharon mocniej objęła Neila. Ten nienormalny człowiek manipulował środkami wybuchowymi kilka kroków od nich! Jeśli popełni jakiś błąd... jeśli coś popłacze! Przypomniała sobie kamienicę w Greenwich Village, która wyleciała wtedy w powietrze. Sharon była tego dnia w Nowym Jorku, korzystając z przerwy szkolnej, i robiła zakupy kilka przecznic dalej, gdy dobiegł ją ogłuszający huk. Przypomniała sobie masę gruzu, stosy potłuczonego kamienia i potrzaskanego drewna. Tamci ludzie też myśleli, że potrafią się obchodzić z materiałami wybuchowymi. Zdrętwiała i spocona ze strachu, modląc się w duchu, patrzyła na pracującego przestępcę. Wreszcie skończył, wyprostował się i z zadowoleniem spojrzął na Sharon.

- Co masz zamiar z tym zrobić? - zapytała.

- To wasza niańka.

- Co masz na myśli?

- Muszę was tu zostawić do rana, a nie mogę ryzykować, że was stracę, no nie?

- Jak możesz nas stracić, skoro jesteśmy tu sami, związani?

- Raz na milion... raz na dziesięć milionów... ktoś spróbuje wejść do tego pokoju, kiedy mnie tu nie będzie.

- Jak długo zamierzasz nas tu trzymać?

- Do środy, Sharon, i nie zadawaj więcej pytań. Powiem ci to, co będę chciał, żebyś wiedziała.

- Przepraszam. To dlatego, że nic nie rozumiem.

- Nie mogę pozwolić, aby ktoś was znalazł. A muszę teraz iść gdzie indziej. Więc jeśli drzwi będą podłączone i ktoś będzie próbował wejść...

Przestała rozumieć, o czym mówił. To nie może być prawda!

- O nic się nie martw, Sharon. Jutro wieczorem Steve Peterson da mi osiemdziesiąt dwa tysiące dolarów i będzie po wszystkim.

- Osiemdziesiąt dwa tysiące dolarów... - powtórzyła automatycznie.

- Tak. A potem, w środę rano, ty i ja wyjedziemy. Zostawię wiadomość, gdzie mogą znaleźć chłopca. - Przeszedł przez pokój. - Przykro mi, Sharon. - Nagłym ruchem wyrwał Neila z jej ramion i rzucił na łóżko. Zanim zdążyła się poruszyć, ściągnął jej ręce do tyłu i związał nadgarstki. Płaszcz zsunął jej się z ramion. Mężczyzna odwrócił się do Neila.

- Nie knebluj go, proszę - powiedziała błagalnie. - Jeśli się udusi... możesz nie dostać pieniędzy. Może będziesz musiał dowieść, że jest żywy. Proszę... Ja... cię lubię. Bo jesteś taki mądry.

Słuchał uważnie i bacznie ją obserwował.

- Znasz moje imię, ale nawet mi nie powiedziałeś, jak się nazywasz. Chciałabym myśleć o tobie...
- mówiła Sharon.

Nachylił się i dotknął jej twarzy. Miał szorstkie dłonie. Trudno było uwierzyć, że tak sprawnie obchodziły się z delikatnymi kablami. Sharon poczuła nieświeży, gorący oddech. Musiała znieść wilgotne i odrażające pocałunki, którymi mężczyzna pokrywał jej usta, policzek i ucho.

- Nazywam się Foxy - powiedział zduszonym głosem. - Wymów moje imię, Sharon.

Starając się, by jej głos brzmiał łagodnie, Sharon spełniła polecenie.

Przed wyjściem Foxy związał nadgarstki Neila i ułożył go obok niej na wąskim łóżku. Ręce Sharon były przyciśnięte do szorstkiej, betonowej ściany. Foxy przykrył ich oboje płaszczem. Spojrzał na windę kuchenną i doszedł do wniosku, że ktoś mógłby usłyszeć ich wołania. Nie mógł ryzykować. Musiał założyć im kneble. Sharon nie ośmieliła się już protestować. Widziała, że znowu narasta w nim napięcie. Po chwili zorientowała się, dlaczego. Wolno, z niesłychaną ostrożnością, mocował cienki drut do czegoś w walizce i przeciągał go od walizki do drzwi. Jeśli ktokolwiek tu wejdzie, bomba zostanie zdetonowana.

Usłyszała trzask kontaktu i pokryte kurzem lampy przygasły. Drzwi otworzyły się i zamknęły bezszelestnie. Przez moment sylwetka porywacza mignęła w mroku.

Pokój był teraz pogrążony w ciemności, a ciszę przerywał jedynie ciężki oddech Neila i od czasu do czasu stłumiony łoskot pociągu wjeżdżającego do tunelu.

Roger i Glenda Perry zdecydowali się obejrzeć wieczorne wiadomości o jedenastej. Glenda była już po kąpieli i zaproponowała, że przyrządzi szklaneczkę grogu, podczas gdy Roger będzie brał prysznic.

- Brzmi zachęcająco, ale nie zaczynaj się znowu krzątać po domu – powiedział.

Sprawdził zamek u drzwi kuchennych i poszedł na górę. Woda była gorąca, kłuła tysiącami igiełek i cudownie odprężała. Po kąpieli Roger włożył niebieską, pasiastą piżamę, rozścielił ciężką kołdrę na olbrzymim łóżku i włączył nocne lampki.

Tuż przed wejściem do łóżka podszedł do okna. Nawet przy takiej pogodzie oboje lubili powiew świeżego, nocnego powietrza w pokoju. Odruchowo spojrzął na oświetlony dom Petersona. Przez gęsty śnieg widać było samochody zaparkowane na podjeździe.

Glenda weszła do sypialni, niosąc filiżankę.

- Roger, na co tak patrzysz? - zapytała. Odwrócił się z niepewną miną.

- Na nic. Ale nie musisz się już martwić o wyłączone światła u Steve'a. Jego dom błyszczy teraz jak choinka.

- Pewnie mają gości. Dzięki Bogu, że my dziś wieczorem nigdzie nie wychodzimy. - Postawiła filiżankę na jego nocnym stoliku i zdjęła szlafrok. - Och, jestem zmęczona. - Położyła się i zastygła w bezruchu.

- Boli? - spytał zaniepokojony Roger.

- Tak.

- Leż spokojnie. Podam ci pigułkę.

Próbując powstrzymać drżenie palców, sięgnął po stojącą zawsze pod ręką buteleczkę z tabletkami nitrogliceryny i podał ją Glendzie. Patrzył, jak żona wkłada jedną pod język. Po chwili westchnęła z ulgą i powiedziała:

- Naprawdę bardzo bolało. Ale już wszystko w porządku.

Zadzwoił telefon. Roger ze złością sięgnął po słuchawkę.

- Jeśli to do ciebie, powiem, że śpisz - wymruczał. - Niektórzy ludzie... - Podniósł słuchawkę. Jego „tak” było oschłe.

Nagle głos mu się zmienił.

- Steve... Czy coś się stało? Nie. Nie, nic. Oczywiście. O mój Boże! Zaraz tam będę.

Odłożył słuchawkę i widząc pytające spojrzenie Glendy, ujął jej dłonie.

- Coś się stało u Petersonów - powiedział ostrożnie. - Nie ma Neila... ani Sharon. Idę tam, ale wrócę najszybciej, jak będę mógł.

- Roger...

- Proszę cię, Glendo, zrób to dla mnie, nie denerwuj się. Proszę cię!

Włożył gruby sweter i spodnie na piżamę, stopy wsunął w mokasyny. Zamykając drzwi wejściowe, usłyszał, że telefon znów dzwoni. Wiedząc, że Glenda go odbierze, wybiegł z domu. Przeciął na ukos trawnik i wbiegł na podjazd sąsiadów.

Prawie nie zdawał sobie sprawy z zimna, które szczypało go w gołe kostki i sprawiało, że oddech stawał się chrapliwy i nierówny.

Gdy wbiegał na schody, dyszał ciężko, a serce mu waliło. Drzwi otworzył mężczyzna o wyrazistych rysach i siwiejących włosach.

- Pan Perry? Jestem Hugh Taylor z FBI. Spotkaliśmy się dwa lata temu.

- Tak, pamiętam. - Roger przypomniał sobie dzień, w którym Glenda, wchodząc do tego domu, została przewrócona przez wybiegającego Ronalda Thompsona. Kiedy się podniosła i weszła do pokoju, na podłodze znalazła ciało Niny.

Roger, kiwając głową, wszedł do salonu. Steve stał z zaciśniętymi dłońmi obok kominka. Dora Lufts, popłakując, siedziała na kanapie. Obok niej kulił się bezradnie Bill. Roger podszedł prosto do Steve'a i objął go za ramiona.

- Steve, mój Boże, nie wiem, co powiedzieć.

- Roger... Dziękuję, że przyszedłeś tak szybko.

- Od jak dawna ich nie ma?

- Nie wiemy dokładnie. To się stało wieczorem, gdzieś między szóstą a wpół do ósmej.

- Czy Sharon i Neil byli tu sami?

- Tak. Oni... - Głos mu się załamał. Szybko jednak odzyskał równowagę. - Byli sami.

- Panie Perry - przerwał Hugh Taylor. - Czy zauważył pan jakichś obcych w sąsiedztwie, obce samochody lub ciężarówki?... Cokolwiek? Czy przypomina pan sobie coś szczególnego?

Roger usiadł i zamyślił się. Było coś. Co to było?

- Światło przed domem - powiedział nagle.

Steve odwrócił się w jego stronę.

- Bili jest pewien, że paliły się, kiedy on i Dora wychodzili z domu. Gdy wróciłem do domu, były wyłączone. Co zauważyłeś? - zapytał.

Roger dokładnie zaczął sobie przypominać swój rozkład dnia. Wyszedł z biura dziesięć po piątej, do garażu wjechał za dwadzieścia szósta.

- Światła musiały się palić, kiedy wróciłem do domu około piątej czterdzieści - powiedział. - Inaczej bym to zauważył. Glenda przygotowała koktajl. Nie minęło więcej niż piętnaście minut, jak wyjrzelśmy przez okno i ona spostrzegła, że u ciebie jest ciemno. - Zmarszczył brwi. - Zegar bił tuż przedtem, więc musiało być około pięć po szóstej. - Przerwał na chwilę. - Glenda mówiła coś o samochodzie wyjeżdżającym z twojego podjazdu.

- Samochód? Jaki samochód? - zainteresował się Hugh Taylor.

- Nie wiem. Glenda mi o nim powiedziała. Ja byłem odwrócony plecami do okna.

- Jest pan pewien, że dobrze pamięta godzinę? - Roger popatrzył na agenta FBI.

- Jestem pewien.

Czyżby Glenda widziała samochód odjeżdżający z Neilem i Sharon w środku? Neil i Sharon zostali porwani! Czemu jakiś instynkt nie ostrzegł go wtedy, że coś jest nie w porządku? Przypomniał sobie uczucie niepokoju, którego doznała Glenda, stojąc przy oknie. Chciała, aby tu przyszedł. A on zbył ją, mówiąc, że jest przewrażliwiona.

- Glenda!

Spojrzał na Hugh Taylora.

- Moja żona bardzo się zdenerwuje - powiedział.

- Rozumiem. - Agent skinął głową. - Pan Peterson wie, że można jej zaufać i wyjawić prawdę. Zachowanie dyskrecji jest absolutnie niezbędne. Nie chcemy wystraszyć porywacza czy porywaczy... Musicie wszyscy zachowywać się tak, jak gdyby nic się nie stało. Dwa życia zależą od tego.

- Dwa życia... - Dora Lufts wybuchnęła suchym, rozziewającym szlochem. - Mój mały Neil... I ta śliczna dziewczyna! Nie mogę w to uwierzyć... Nie po tym, jak pani Peterson...

- Doro, uspokój się. - Głos Billa Lufts'a brzmiał jednak płacząco.

Twarz Steve'a wykrzywił spazm bólu.

- Panie Perry, czy zna pan panią Martin? - zapytał Hugh Taylor.

- Tak. Spotkałem Sharon kilka razy. Do nas również przychodziła. Czy mógłbym teraz wrócić do żony?

- Oczywiście. Chcemy z nią porozmawiać o tym samochodzie, który widziała. Może pójdzie z panem nasz człowiek?

- Nie. Wolałbym sam. Glenda nie czuje się dobrze, a Neil bardzo wiele dla niej znaczy.

Prowadzę normalną rozmowę, pomyślał ze zdziwieniem Roger. Nie mogę w to wszystko uwierzyć. Spojrzał ze współczuciem na przyjaciela. Steve na pozór wydawał się spokojny, jedynie wyraz cierpienia, który od kilku miesięcy zaczął ustępować, pojawił się znowu na jego twarzy. Niezdrowa bladość, pogłębione bruzdy na czole, ostre zmarszczki wokół ust.

- Może napijesz się kawy albo czegoś mocniejszego, Steve? - zaproponował. - Jesteś roztrzęsiony.

- Może kawy...

Dora poderwała się z kanapy.

- Ja przygotuję... I coś do jedzenia. O mój Boże, kiedy pomyślę... Neil... Czemu musieliśmy akurat dziś wieczorem wyjść z domu. Jeśli cokolwiek zdarzy się temu chłopcu, ja tego nie zniosę. Nie zniosę!

Bili Lufts zakrył dłonią usta żony.

- Choć ten jeden raz w życiu zamknij się! - warknął z wściekłością.

Roger zauważył, że Hugh Taylor uważnie obserwuje tę parę.

Luftsowie? Czy mógłby ich podejrzewać? Nie. Nigdy. To niemożliwe.

Perry był już w holu, gdy natarczywie odezwał się dzwonek u drzwi. Wszyscy podskoczyli. Jeden z agentów szybko pokonał długość holu, wyprzedził Rogera i otworzył drzwi.

Na progu stała Glenda, twarz i włosy miała mokre od śniegu. Na gołe nogi włożyła satynowe pantofle, a różowa, wełniana podomka stanowiła jedyne jej okrycie. Była przeraźliwie blada, w dłoni trzymała kawałek papieru. Drżała.

Perry podbiegł do niej i chwycił w ramiona.

- Roger, telefon, zadzwonił telefon. - Pochlipywała. - Kazał mi to zapisać. Potem kazał mi odczytać. Powiedział, że mam uważnie zapisać albo... albo... Neil...

Hugh wyrwał jej kartkę z ręki i odczytał na głos:

- „Powiedz Steve'owi Petersonowi, że jeśli chce odzyskać syna i dziewczynę, ma być w budce telefonicznej przy stacji Exxon przy dwudziestym drugim wyjeździe z autostrady Merritt jutro rano o ósmej. Otrzyma tam instrukcję w sprawie okupu”. - Hugh zmarszczył brwi. Ostatnie słowo było nieczytelne. - Jakie to słowo, pani Perry? - zapytał.

- Kazał mi przeczytać... Ledwo nadążałam pisać... Był taki niecierpliwy... To... Foxy. Tak. Powtórzył to. - Głos Glendy stał się nagle piskliwy, a twarz wykrzywił ból. Oderwała się od męża, przyciskając ręce do piersi.

- On... on próbował zmienić głos... Ale kiedy powtórzył to imię... Roger! Słyszałam już ten głos! To ktoś, kogo znam!

Przed opuszczeniem więzienia stanowego Bob Kurner zadzwonił do Kathy Moore i poprosił, aby spotkała się z nim w swoim gabinecie. Kathy była asystentką w biurze prokuratora w Bridgeport, działającego przy sądzie dla nieletnich. Poznali się, gdy pracował tam jako obrońca publiczny.

Spotykali się od trzech miesięcy i Kathy mocno zaangażowała się w walkę Boba o uratowanie Rona Thompsona.

Oczekiwała go wraz z maszynistką, Marge Evans, o którą prosił.

- Marge powiedziała, że zostanie na całą noc, jeśli będzie trzeba. Co zdobyłeś?

- Całkiem sporo - odrzekł Bob. - Zmusiłem go, żeby czterokrotnie powtórzył całą tę historię. Będzie tego dobre dwie godziny.

Marge Evans wyciągnęła rękę.

- Dajcie mi to - odezwała się oficjalnym tonem. Ustawiła magnetofon na biurku, wsunęła do niego kasetę i przewinęła ją.

Głos Rona Thompsona był niski i urywany, gdy zaczął mówić: „Tego popołudnia po szkole pracowałem w sklepie pana Timberly’ego...”.

- W porządku. - Marge wyłączyła magnetofon. - Wy dwoje bierzcie się do czegoś innego. Tym ja się zajmę.

- Dziękuję, Marge. - Bob zwrócił się do Kathy. - Zdobyłaś te akta?

- Tak, są w moim gabinecie.

Kurner wszedł za nią do małego, zatłoczonego sprzętami pokoju. Biurko było puste, nie licząc czterech brązowych, kartonowych teczek, oznaczonych napisami: „Carfolli”, „Weiss”, „Ambrose” i „Callahan”.

- Raporty policyjne są na samym wierzchu. Les Brooks nie byłby tym zachwycony, Bob. Tak naprawdę to by mnie chyba wylał, gdyby się o tym dowiedział.

Kurner usiadł przy biurku i sięgnął po pierwszą teczkę. Zanim ją otworzył, spojrzął na kobietę. Miała na sobie farmerki i gruby sweter, ciemne włosy były ściągnięte gumką. Wyglądała bardziej na osiemnastoletniego podlotka niż dwudziestopięcioletniego oskarżyciela. Ale od pierwszego starcia z nią w sali sądowej Bob nigdy nie popełnił już błędu niedoceniaiania Kathy. Była dobrym prawnikiem o bystrym, analitycznym umyśle.

- Wiem, jakie ryzyko podejmujesz. Ale gdybyśmy tylko mogli znaleźć jakąś nitkę łączącą te morderstwa z morderstwem Niny Peterson... Jediną nadzieją dla Rona są nowe dowody.

Przysunęła krzesło z drugiej strony biurka i sięgnęła po dwie teczki.

- No cóż. Bóg świadkiem, że gdybyśmy mogli znaleźć jakiś związek między tymi dwoma przypadkami, Les wybaczyłby to, że wbrew regulaminowi przeglądałeś akta. Dziennikarze depczą mu po piętach. Dzisiejsze poranne gazety nazywają dwa ostatnie morderstwa „morderstwami CB”.

- Dlaczego?

- Dwa lata temu zarówno córka Callahanów, jak i pani Ambrose jechały samotnie. Miały odbiorniki CB i prosiły o pomoc. Pani Ambrose zmyliła drogę i kończyła jej się benzyna, a Callahan złapała gumę. Pani Weiss i Jean Carfolli zostały zamordowane na pustej drodze.

- Ale to nie świadczy o żadnym związku. Wprawdzie w gazetach zaczęto pisać o „człowieku

z autostrady”, ale to tylko dziennikarskie hasła.

- A co ty myślisz?

- Nie wiem, co myśleć. Po aresztowaniu Rona Thompsona za zabójstwo pani Peterson nie było już kolejnego morderstwa dokonanego na kobiecie, aż do zeszłego miesiąca. Teraz znów mamy dwa. I znów z CB-radiem. Wspaniale mieć takie radio, ale szalenie niebezpiecznie, jeśli kobieta ogłasza, że jest sama na pustej drodze i zepsuł jej się samochód. To zaproszenie dla każdego ciemnego typu w okolicy. Mój Boże, w zeszłym roku na Long Island mieli przypadek piętnastoletniego dzieciaka, który podsłuchiwał na kanale policyjnym. W końcu go dostali, gdy zasztyletował kobietę, która zadzwoniła po pomoc. - Bob przerwał, a po chwili dodał z jakąś ogromną pewnością: - Nadal twierdzę, że istnieje związek pomiędzy tymi czterema sprawami, a przypadek Niny Peterson w jakiś sposób jest z nimi połączony. Nazwij to przecuciem. Albo chwytnością brzojki. Nazwij, jak chcesz, tylko pomóż mi.

- W porządku - odpowiedziała Kathy. - Zacniemy od danych: miejsce, czas, przyczyna śmierci, użyte narzędzie, warunki atmosferyczne, rodzaj samochodu, powiązania rodzinne, zeznania świadków, dokąd zmierzały ofiary, gdzie były tamtego wieczoru. W dwóch ostatnich przypadkach zmierzmy czas między nadaniem wiadomości przez CB-radio a znalezieniem ciała. Kiedy skończymy, porównamy wszystko z okolicznościami śmierci pani Peterson. Jeśli nic z tego nie wyniknie, trzeba będzie się zastanowić, co dalej.

Zaczęli o ósmej dziesiątej. O północy weszła Marge, niosąc cztery komplety przepisanych zeznań.

- Skończone - powiedziała. - Przepisałam z potrójnym odstępem, żeby łatwiej było wychwycić rozbieżności między wersjami. Wiecie co, słuchając tego chłopca, człowiekowi pęka serce. Jestem stenografką sądową od dwudziestu lat i wiele słyszałam, ale rozpoznaję, jak brzmi prawda, a ten dzieciak mówi prawdę.

Bob uśmiechnął się gorzko.

- Chciałbym, abyś to ty była gubernatorem - powiedział. - Bardzo ci dziękuję.

- A wam jak leci?

- Nic. Absolutnie nic. - Kathy potrząsnęła głową.

- No cóż, może tu się coś znajdzie. Przynieść wam kawę? Założę się, że nie jedliście kolacji...

Kiedy wróciła po dziesięciu minutach, Bob i Kathy siedzieli pochyleni nad maszynopisami. Kurner czytał na głos. Linijka po linijce porównywali zeznania.

Marge postawiła filiżanki i wyszła bez słowa. Było już bardzo późno, gdy strażnik wypuścił ją z budynku. Idąc przez ośnieżony parking i wtulając się w obszerny, nieprzemakalny płaszcz, Marge zdała sobie sprawę, że się modli:

„Boże, proszę, jeśli jest tam coś, co może pomóc temu chłopcu, niech to znajdą”.

Bob i Kathy pracowali do świtu. Wreszcie Kathy powiedziała:

- Trzeba dać sobie z tym teraz spokój. Muszę iść do domu, wziąć prysznic i przebrać się. Mam być w sądzie o ósmej rano. Nie chcę, aby ktoś cię tu zobaczył.

Bob przytaknął. Słowa, które czytał, zlewały mu się i niczego już nie rozumiał. W kółko porównywali te cztery wersje zeznań Rona na temat jego zajęć w dniu morderstwa. Skoncentrowali się na czasie pomiędzy momentem, gdy Nina rozmawiała z Ronem w sklepie, a momentem jego panicznej ucieczki z jej domu. Nie było żadnej znaczącej rozbieżności, której mogliby się uchwycić

- Musi coś być - powtórzył z uporem. - Zabiorę te akta ze sobą do domu... I daj mi dane dotyczące tych pozostałych czterech morderstw.

- Nie mogę ci pozwolić na zabranie akt - sprzeciwiła się Kathy.

- Wiem. Ale może coś pominęliśmy, porównując te zbrodnie.

- Nie pominęliśmy. - Głos Kathy był łagodny, ale stanowczy.

- Pójdę prosto do biura i przejrzę od początku - powiedział Bob, wstając i zbierając papiery. -

Porównam to z zapisem z procesu. - Kathy pomogła mu spakować materiały do aktówki.

- Nie zapomnij magnetofonu i kaset - przypomniała.

- Nie zapomnę. - Wyciągnął rękę i objął dziewczynę. Na moment przytuliła się do niego. -

Kocham cię - szepnął.

- I ja cię kocham.

- Gdybyśmy tylko mieli więcej czasu... Ta przeklęta kara śmierci! Jak, do diabła, dwanaście osób może przyjść i powiedzieć, że taki dzieciak ma umrzeć? Kiedy znajdą prawdziwego zabójcę, jeśli w ogóle go dostaną, będzie już za późno dla Rona.

Kathy potarła czoło.

- Gdy przywrócono karę śmierci, z początku byłam zadowolona - powiedziała. - Żał mi ofiar, o wiele bardziej żał mi ich niż przestępców. Ale wczoraj mieliśmy dzieciaka w sądzie dla nieletnich. Ma czternaście lat, a wygląda na jedenaście. Chudy, mały chłopiec. Jego rodzice są nałogowymi alkoholikami. Kiedy miał siedem lat, napisali oświadczenie, że sprawia trudności wychowawcze i nie mogą sobie z nim poradzić. Od tego czasu chłopiec tuła się po domach dziecka. Wciąż ucieka. Tym razem matka podpisała oświadczenie, a ojciec się sprzeciwia. Żyją w separacji i on chce, aby dzieciak zamieszkał z nim.

- I co się stało?

- Wygrałam... Jeśli można to tak nazwać. Nalegałam, aby został odesłany do domu dziecka i sędzia się zgodził. Ojciec jest tak ogłupiały z przepicia, że właściwie tylko wegetuje jak roślina. Chłopak próbował uciec z sali sądowej, więc policjant musiał założyć mu kajdanki. Kiedy wpadł w histerię, krzyczał: „Nienawidzę wszystkich. Czemu nie mogę mieć domu jak inne dzieci?”. Z psychologicznego punktu widzenia jest tak wykolejony, że prawdopodobnie już za późno, aby go uratować. Jeśli za pięć lub sześć lat kogoś zabije, czy pošlemy go na krzesło elektryczne? Czy mamy prawo? - W jej oczach zalśniły łzy.

- Wiem, Kathy. Po co siliśmy na prawo? - Bob zadał retoryczne pytanie. - Od tego wszystkiego flaki się w człowieku przewracają. - Pochylił się i cmoknął ją w czoło. - Do zobaczenia później.

Gdy znalazł się już w swoim biurze, od razu zaparzył kawę. Cztery filiżanki neski, mocnej i czarnej, rozjaśniły przyćmiony umysł. Ochlapał twarz zimną wodą i usiadł przy długim stole. Porządnie ułożył maszynopisy i rzucił okiem na zegar nad biurkiem. Była siódma trzydzieści. Zostało dokładnie dwadzieścia osiem godzin do egzekucji. Serce tłuło mu się w piersi, gardło miał ściśnięte. Musiał się spieszyć. Oprócz poczucia braku czasu męczyło go wrażenie, że jakaś istotna rzecz umknęła ich uwadze. Musi być coś, co przeoczyliśmy, myślał wręcz obsesyjnie. Tym razem nie było to przecucie. To była pewność.

Steve i Hugh Taylor siedzieli przy stole w jadalni jeszcze długo po tym, gdy państwo Perry udali się do domu, a Luftsowie poszli spać.

Pozostali agenci cicho i sprawnie badali dom w poszukiwaniu odcisków palców. Przeszukiwali całe otoczenie, chcąc znaleźć ślady potwierdzające porwanie. Ale nabazgrana wiadomość była jedynym dowodem.

- Odciski na kieliszku i kubku przypuszczalnie będą się zgadzać z tymi na torebce Sharon Martin - powiedział Hugh.

Steve kiwnął głową. W ustach czuł niesmak. Cztery filiżanki kawy i papieros za papierosem. Rzucił palenie, gdy skończył trzydzieści lat. A potem, kiedy Nina umarła, zaczął znowu. To Hugh Taylor dał mu wtedy pierwszego papierosa. Gdy przypomniał to sobie, lekki, ponury uśmiech uniósł kąciki jego ust.

- Przez pana wróciłem do tych wodorostów - odezwał się, zapalając kolejnego papierosa.

Hugh przytaknął. Jeśli wtedy ktoś potrzebował papierosa, z całą pewnością był to Steve Peterson. Taylor pamiętał, jak wówczas siedzieli przy stole i jakiś tajemniczy maniak zadzwonił, aby powiedzieć, że Nina ma dla niego wiadomość. Wiadomość brzmiała: „Powiedz mojemu mężowi, aby uważał. Mój syn jest w niebezpieczeństwie”. Było to rano w dniu pogrzebu Niny.

Hugh wzdrygnął się, przypomniawszy sobie ów incydent. Aby odpędzić przykre wspomnienia, zaczął metodycznie studiować swoje notatki.

- Na stacji Exxon jest automat telefoniczny w budce na zewnątrz - powiedział. - Zakładamy w niej podsłuch, tak jak w tym domu i u Perrych. Musi pan pamiętać, kiedy będzie pan rozmawiać z Foxy, aby jak najdłużej trzymać go przy telefonie. To da nam szansę nagrania. Może pani Perry zdoła sobie przypomnieć, kto to, gdy powtórnie usłyszy jego głos.

- Naprawdę myśli pan, że to możliwe, by znała głos porywacza? Może tylko tak jej się wydaje. Widział pan, jaka była zdenerwowana.

- Wszystko jest możliwe. Ale ona wygląda na zrównoważoną kobietę. Tak czy owak, niech pan współdziała z nami. Proszę zażądać od Foxy'ego dowodu, że Sharon i Neil są żywi i cali. Może to być kasetka lub taśma z wiadomością od nich. Obojętnie, ile Foxy zażąda pieniędzy, niech pan mu je obieca, ale proszę się upierać, że zapłaci dopiero wtedy, gdy otrzyma dowód.

- Czy to go nie rozżołości? - Steve zdumiał się, że potrafi mówić tak beznamiętnie.

- Nie. To da nam pewność, że nie wpadł w panikę... - Hugh nagle zacisnął usta. Zorientował się, że Peterson wyczuł, co ma na myśli. Szybko otworzył notatnik. - Zaczniemy jeszcze raz - zaproponował. - Ile osób znało dzisiejszy rozkład zajęć w tym domu... Wiedziało, że Luftsowie planują wyjście, że przyjeżdża Sharon?

- Nie wiem.

- Państwo Perry?

- Nie. Nie rozmawiałem z nimi w ostatnim tygodniu, poza pomachaniem ręką z daleka na dzień dobry.

- A więc tylko Luftsowie, Sharon Martin i pan...

- I Neil...-dodał Steve.

- Zgadza się. Czy jest możliwe, aby Neil rozmawiał z kimś o przyjeździe Sharon... Z kolegami albo z nauczycielami w szkole?

- Tak, mógł o tym wspomnieć.

- Jak poważna jest pańska przyjaźń z Sharon? Przepraszam, ale muszę o to zapytać.

- Bardzo poważna. Mam zamiar poprosić ją, aby za mnie wyszła.

- Wiem, że pan i pani Martin występowaliście dziś rano w dzienniku. Ostro się spieraliście na temat kary śmierci. Ona była bardzo przejęta egzekucją Thompsona.

- Szybko pan pracuje - zauważył oschle Steve.

Muszę, panie Peterson. Do jakiego stopnia ta różnica zdań wpływa na wasze osobiste kontakty?

- Co to ma znaczyć?

- Jak pan wie, Sharon Martin rozpaczliwie stara się uratować życie Ronaldowi Thompsonowi. Była w domu Perrych i mogła zanotować sobie numer ich telefonu. Niech pan nie zapomina, że to numer zastrzeżony. Czy myśli pan, że istnieje możliwość, że porwanie jest mistyfikacją... że pani Martin ma nadzieję opóźnić w ten sposób egzekucję?

- Nie... nie... nie! Rozumiem, że musi pan patrzeć na to od każdej strony, ale, na litość boską, proszę, niech pan nie traci czasu. Każdy, kto przychodził do mojego domu, mógł zapisać sobie numer Perrych. Jest umieszczony w widocznym miejscu obok numeru doktora. Sharon nie byłaby zdolna do czegoś takiego, na pewno.

Hugh nie wyglądał na całkowicie przekonanego.

- Panie Peterson, w ciągu ostatnich dziesięciu lat mieliśmy kilku ludzi, którzy złamali prawo w imię wyższych racji. Podsunąłem panu jedynie myśl, że jeśli to Sharon Martin wszystkim kieruje, pańskie dziecko jest bezpieczne.

W oczach Steve'a zajaśniał maleńki płomyk nadziei. Tego ranka Sharon powiedziała mu: „Jak możesz być taki przekonany... taki pewny... taki nieubłagany”. Jeśli tak o nim myślała, czy mogłaby...? Nadzieja zgasła.

- Nie - odrzekł zdecydowanym głosem. - To niemożliwe.

- No dobrze, zostawmy to. Co z pańską pocztą? Były jakieś pogróżki, listy z wyrazami nienawiści, cokolwiek?

- Całkiem sporo wrogich listów z powodu mojego oficjalnego stanowiska w sprawie kary śmierci, zwłaszcza teraz, gdy egzekucja Thompsona jest tak bliska... Ale to zrozumiałe.

- Nie otrzymał pan bezpośrednich pogrózek?

- Nie. - Steve zmarszczył brwi.

- O czym pan myśli? - spytał cicho Hugh.

- O tym, że matka Thompsona zatrzymała mnie w zeszłym tygodniu. Jeżdżę z Neilem na zastrzyk do szpitala w każdą sobotę rano. Ona była na przyszpitalnym parkingu. Poprosiła mnie, bym błagał panią gubernator o ułaskawienie Ronalda.

- Co pan jej odpowiedział?

- Że nie mogę nic zrobić. Poza tym nie chciałem, aby Neil wiedział, co ma się wydarzyć w środę. Starłem się wsadzić go szybko do samochodu, żeby nie słyszał, o czym rozmawiamy. Dlatego odwróciłem się do niej plecami. Ale ona chyba pomyślała, że ją lekceważę. Powiedziała coś w rodzaju: „Jakby się pan czuł, gdyby to chodziło o pańskiego jedynego syna... Jakby się pan czuł?”. I odeszła.

- Sprawdzimy ją. - Hugh zapisał coś w notatniku. Wstał i rozprostował ramiona, przypominając sobie, iż parę godzin temu marzył o pójściu do łóżka. - Panie Peterson - odezwał się łagodnie - niech pan próbuje trzymać się myśli, że nasze wyniki w odnajdywaniu ofiar porwań są bardzo dobre i że

zrobimy wszystko, co tylko możliwe. Teraz proponuję, aby pan się trochę przespał.

- Przespał? - Steve spojrział na niego z niedowierzaniem.

- No to wypoczął. Niech pan idzie do swojego pokoju i się położy. My tutaj będziemy siedzieć i zawołamy pana w razie potrzeby. Jeśli zadzwoni telefon, pan go odbierze. Jest już założony podsłuch. Ale nie sądzę, aby dziś jeszcze porywacz się odezwał.

Steve wyszedł z jadalni. Zatrzymał się w kuchni, aby wziąć szklanek wody, i pożałował, że to zrobił. Kubek kakao i kieliszek sherry, wysmarowane teraz daktyloskopijną substancją, stały na kuchennym stole.

Sharon. Zaledwie kilka godzin temu była tu, w jego domu, z Neilem. Aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo pragnął, aby Neil zaufał Sharon i ją polubił.

Cicho opuścił kuchnię, przeszedł przez hol, a potem schodami w górę oraz korytarzem obok pokoju Neila i gościnnego doszedł do sypialni. Nad głową słyszał odgłosy stąpania. Luftsowie krzatali się po swoim pokoju na drugim piętrze. Widocznie też nie mogli spać.

Zapalił światło i stanął w drzwiach, rozglądając się po pokoju. Po śmierci żony wymienił tu meble. Nie chciał być otoczony tymi białymi antykami, które Nina tak lubiła. Wymienił podwójne łóżko na szerokie, metalowe łóżko, ale mimo to pokój wydawał się pusty i bezosobowy jak w motelu. Cały dom był taki. Kupili go, bo chcieli mieć posiadłość nad wodą. Nina powiedziała: „Ten dom stwarza wielkie możliwości. Tylko poczekaj, a zobaczysz. Daj mi pół roku”. Miała dwa tygodnie...

Ostatnim razem, gdy był w mieszkaniu Sharon, marzył o przerobieniu tego pokoju i tego domu. Chciał, by ona mu pomogła. Sharon wiedziała, jak sprawić, aby dom stał się uroczy, wygodny i przytulny.

Zdjął buty i zwałił się w poprzek łóżka. W pokoju było zimno. Sięgnął po zrolowane nakrycie i naciągnął je na siebie. Dotknął wyłącznika górnego światła.

Pokój pograżył się w ciemności. Wiatr uderzał w ściany domu gałęziami drzew. Śnieg z szelestem ocierał się o szyby okien. Steve zapadł w płytki, niespokojny sen. Zaczął śnić o Sharon i Neilu... Chcieli, aby im pomógł. Biegł przez gęstą mgłę... Biegł długim korytarzem. Na końcu był jakiś pokój. Musiał dostać się do niego. Dobiegł tam i otworzył drzwi. Mgła się rozwiła. A Neil i Sharon leżeli na podłodze z chustami obwiązanymi wokół szyi. Fluoryzująca kredowa linia znaczyła obrys ich ciała.

Samotne opuszczenie peronu późnym wieczorem było stanowczo zbyt niebezpieczne, bo strażnicy z dolnej poczekalni mieli oko na tego rodzaju pasażerów. Dlatego Foxy zostawił Sharon i chłopca dwie minuty przed jedenastą, gdyż dokładnie o jedenastej pociąg wtoczył się na stację i wtedy porywacz mógł pójść w górę rampą i schodami z ośmioma lub dziewięcioma osobami, które z niego wysiadły. Dla każdego obserwatora był jednym z tej grupy. Po pewnym czasie skręcił w prawo, spojrzął w ulicę i przystanął. Stała tam policyjna ciężarówka. Mocowano brzęczące łańcuchy do niechlujnego, brązowego chevroleta.

Wielce rozbawiony, ruszył w stronę przedmieścia. Chciał zadzwonić z budki przed magazynem Bloomingdale. Marsz przez piętnaście przecznic uspokoi go i osłabi trochę pulsującą żądzę, którą poczuł, całując Sharon.

Ona pragnęła go równie mocno. Czuł to.

Mógłby kochać się z Sharon, gdyby nie chłopiec. Mimo opaski te oczy wciąż tam były. Może chłopiec widział przez opaskę? Zadrżał na tę myśl.

Śnieżyca trochę się uspokoiła, ale niebo nadal było ciemne i zachmurzone.

Planował zadzwonić do Perrych, a gdyby nie zastał ich w domu, zatelefonować bezpośrednio do domu Petersona. To jednak mogło być ryzykowne.

Miał szczęście, pani Perry podniosła słuchawkę już po pierwszym sygnale. Przekazał jej wiadomość niskim, oschłym tonem, który wyćwiczył wcześniej. Jedynie wówczas, gdy nie mogła zrozumieć imienia, wybuchnął i podniósł głos. To była nieostrożność z jego strony! Głupota! Ale prawdopodobnie kobieta była zbyt zdenerwowana, żeby coś zauważyć.

Uśmiechnął się, odkładając słuchawkę. Jeśli zostało zawiadomione FBI, założą podsłuch w telefonie na stacji Exxon. Dlatego, dzwoniąc rano do Petersona, powie mu, aby poszedł do budki przy następnej stacji benzynowej. Nie będą mieli czasu ustawić tam radaru.

Opuścił budkę telefoniczną, rozbawiony własną przebiegłością. Jakaś dziewczyna stała przy drzwiach sklepiku z ubraniami. Mimo chłodu miała na sobie spódniczkę mini. Białe długie botki i biała futrzana kurtka dopełniały stroju, który uznała pewnie za bardzo atrakcyjny. Uśmiechnęła się do Foxy'ego. Gęste, kręcone włosy okalały jej twarz. Była młoda, miała nie więcej niż osiemnaście lat i on się jej spodobał. Wyczuł to. Zaczął iść w jej kierunku, lecz nagle się zatrzymał. Bez wątplenia była prostytutką i chociaż naprawdę jej się spodobał, to co by było, gdyby obserwowała ich policja i aresztowała oboje. Rozejrzał się przestraszony. Czytał o wspianych planach zniweczonych przez drobny błąd. Ze stoickim spokojem minął dziewczynę, pozwalając sobie tylko na krótki, ledwo widoczny uśmiech, i pośpieszył do hotelu Biltmore.

Gdy odbierał klucz od tego samego nocnego recepcjonisty, uświadomił sobie, że nie jadł kolacji i jest bardzo głodny. Zamówił dwa hamburgery, szarlotkę i trzy butelki piwa. Zawsze mniej więcej o tej porze nabierał na nie ochoty.

Czekając na kelnera, wykapał się, włożył nową piżamę i z uwagą obejrzał garnitur w obawie, że mógł się zabrudzić w tamtej zatechłej norze na stacji. Wszystko było w porządku. Do drzwi ktoś delikatnie zapukał. Foxy odebrał zamówioną kolację, obdarzając kelnera hojnym napiwkami. Pierwszą butelkę piwa wychylił jednym haustem. Drugą popijał hamburgery. Trzecią sączył,

słuchając nocnych wiadomości. Podano informację o tym Thompsonie. „Ostatnia szansa ocalenia RONALDA THOMPSONA minęła wczoraj. Egzekucja ma się odbyć jutro o jedenastej trzydzieści, zgodnie z wcześniejszym ustaleniem...”. I ani słowa o Neilu czy Sharon. Rozgłos był jedyną rzeczą, jakiej Foxy się obawiał. Bo ktoś mógłby zacząć kojarzyć fakty...

Te dziewczyny w zeszłym miesiącu to była pomyłka. Potem nigdy już nie włączył się w poszukiwaniu okazji. To zbyt niebezpieczne. Wtedy usłyszał je przez CB-radio... Coś go zmusiło, aby do nich pojechać.

Wspomnienie o dziewczynach poruszyło go. Wyłączył radio. Naprawdę nie powinien... Mogłoby go to podniecić...

Musiał.

Z kieszeni płaszcza wyciągnął drogi miniaturowy magnetofon i kasety, które zawsze nosił przy sobie. Wybrał jedną, wsunął do magnetofonu, położył się do łóżka i zgasił światło. Rozkoszował się czystym, szeleszczącym prześcieradłem, ciepłym kocem i narzutą. On i Sharon będą mieszkać razem w takich hotelach.

Włożył słuchawkę do ucha i delikatnie wcisnął guzik odtwarzania. Przez parę minut słychać było tylko odgłos pracującego silnika samochodowego, potem słaby pisk hamulców, dźwięk otwieranych drzwi i jego własny głos, gdy wysiadł z volkswagena, przyjaźnie oferując pomoc.

Najlepszą część taśmy puszczał kilka razy. Wreszcie wyłączył magnetofon, wyjął z ucha słuchawkę i zapadł w głęboki sen, słysząc wciąż dzwoniący mu w uszach płaczliwy krzyk Jean Carfolli... „Nie!... Proszę, nie...”.

Marian i Jim Voglerowie rozmawiali długo w nocy. Mimo wysiłków, jakie czynił Jim, aby pocieszyć żonę, Marian była w rozpacz.

- Czterysta dolarów! Jeśli ktoś musiał ukraść nam samochód, czemu tego nie zrobił w zeszłym tygodniu, zanim go naprawiliśmy? Tak dobrze jeździł! Arty wyremontował go wspaniale! Jak ja się teraz dostanę do Perrych? Stracę tę posadę! - lamentowała.

- Kotku, nie będziesz musiała rezygnować z pracy. Znajdę kogoś, kto mi pożyczy parę setek, i rozejrzę się jutro za jakimś innym gratem - uspokajał ją.

- Och, Jim, naprawdę? - Marian wiedziała, że Jim nienawidzi pożyczania pieniędzy, ale gdyby tak raz to zrobił...

Było zbyt ciemno, aby Jim mógł dostrzec wyraz twarzy żony, lecz wyczuł lekkie rozluźnienie jej ciała.

- Kotku - szepnął - pewnego dnia będziemy się śmiać z tych cholernych rachunków. Wykaraskamy się, zanim się obejrzysz.

- Też tak myślę - zgodziła się Marian. Nagle poczuła się straszliwie zmęczona. Oczy zaczęły jej się kleić.

Zapadali już w sen, gdy zadzwonił telefon. Marian uniosła się na łokciu, a Jim po omacku sięgnął do lampy na nocnym stoliku i podniósł słuchawkę.

- Halo. Tak, tu Jim... James Vogler. Dziś wieczorem. Tak jest. Och, to wspaniale! Gdzie? Kiedy mogę go odebrać? Żartuje pan!? Ale numer! W porządku... Zachodnia Trzydziesta Szósta, obok doku. Wiem. Dobrze. Dziękuję. - Odłożył słuchawkę.

- Samochód! - wykrzyknęła Marian. - Znaleźli nasz samochód!

- Tak, w centrum Nowego Jorku. Był nieprawidłowo zaparkowany i gliniarze go odholowali. Możemy go rano odebrać. Gliniarz powiedział, że prawdopodobnie został podwędzony przez jakieś głupie dzieciaki na przejażdżkę dla zabawy.

- Och, Jim, to cudownie!

- Jest pewien problem.

- Co takiego?

Jim Vogler zmrużył oczy. Usta wykrzywił mu nerwowy tik

- Kotku, czy możesz w to uwierzyć... Jesteśmy uziemieni dwudziestopięciodolarowym mandatem za nieprawidłowe parkowanie i pięćdziesięcioma dolarami opłaty za holowanie.

- To mój zarobek za pierwszy tydzień! - westchnęła Marian.

Rano Jim pojechał pociągiem o szóstej piętnaście do Nowego Jorku i wrócił samochodem za pięć dziewięć.

Marian była gotowa do wyjścia. Punktualnie o dziewiątej skręciła w Driftwood Lane. Samochód nie ucierpiał od anonimowego amatora wycieczki do Nowego Jorku, wręcz przeciwnie. Marian była wdzięczna młodzieńcowi za nowe opony śniegowe. Były niezbędne przy takiej pogodzie.

Na podjeździe Perrych stał zaparkowany merkur. Wyglądał jak ten, który zauważyła przed domem po przeciwnej stronie ulicy, gdy przyjechała w zeszłym tygodniu na wstępną rozmowę o pracy. Niepewnie zatrzymała się obok tamtego samochodu, pilnując, aby jej Chevrolet nie

zablokował dostęp do garażu. Chwilę ociągała się z otwarciem drzwi. Była trochę zdenerwowana. To zamieszanie z powodu auta, akurat kiedy rozpoczynała pracę... No dobrze, po prostu weź się w garść, pomyślała. Pamiętaj o plusach. Samochód odzyskany. Dłonią w rękawicze z czułością poklepała siedzenie obok.

Nagle dłoń jej znieruchomiała. Dotknęła czegoś twardego. Marian dwoma palcami wyciągnęła ostrożnie błyszczący przedmiot, który tkwił zaklinowany między poduszką siedzenia a oparciem.

No cóż, pewne było, że się o to nie upomną. Jeśli o nią chodzi, uważa ten pierścionek za swój. Wyrównał siedemdziesiąt pięć dolarów za mandat i holowanie. Ściągnęła rękawiczkę i wsunęła pierścionek na palec. Pasował doskonale.

To był dobry znak. Niech tylko Jim się dowie!

Podniesiona na duchu Marian otworzyła drzwi samochodu, wysiadła na zaśnieżony podjazd i rażno zaczęła iść w stronę kuchennych drzwi domu Perrych.

Telefon w budce na stacji Exxon zadzwonił dokładnie o ósmej. Przewyciężając nagłą suchość w ustach, Steve podniósł słuchawkę.

- Peterson? - zapytał ktoś niskim, chrapliwym głosem.

- Tak.

- Za dziesięć minut zadzwonię do ciebie do automatu na stacji obsługi samochodów tuż za wejściem dwudziestym pierwszym.

- Proszę poczekać... proszę poczekać...

W słuchawce rozległ się tylko trzask, Steve rozpaczliwie rozejrzał się dookoła. Hugh wjechał na stację kilka minut przed nim, wysiadł z samochodu i rozmawiał z mechanikiem. Steve wiedział, że Taylor go obserwuje. Potrząsając głową, wsiadł do swojego auta i zygzakiem dojechał do autostrady. Zanim włączył się do ruchu, kątem oka dostrzegł, jak agent wskakuje do swojego samochodu.

Sznur aut sunął ostrożnie śliską jezdnią. Steve mocno trzymał kierownicę. Nie ma cudów, aby zdążył do następnej stacji za dziesięć minut.

Ten głos. Ledwo mógł go usłyszeć. FBI nie będzie miało czego się ucześcić.

Tym razem postara się zatrzymać porywacza dłużej przy telefonie. Może to był głos, który i on mógłby rozpoznać. Dotknął notesu w kieszeni. Musi zapisać wszystko, co powie Foxy. W górnym lusterku widział za sobą zielony samochód Hugh.

Było jedenaście po ósmej, gdy wjechał na następną stację obsługi. Telefon w budce dzwonił natarczywie. Steve wyskoczył z wozu i chwycił słuchawkę.

Tym razem rozmówca mówił tak cicho, że Peterson musiał zatkać sobie drugie ucho, by stłumić odgłosy z autostrady.

- Chcę osiemdziesiąt dwa tysiące dolarów w dziesiątkach, dwudziestkach i pięćdziesiątkach. Żadnych nowych banknotów. Jutro o drugiej bądź przy automacie telefonicznym na rogu Pięćdziesiątej Dziewiątej i Lexington na Manhattanie. Przyjedź swoim samochodem. Bądź sam. Zostaniesz powiadomiony, gdzie zostawić pieniądze.

- Osiemdziesiąt dwa tysiące dolarów... - Steve zaczął powtarzać instrukcje. Ten głos, myślał gorączkowo. Wsłuchaj się w intonację... Spróbuj zapamiętać... Bądź gotów go naśladować.

- Pośpiesz się, Peterson.

- Chcę to zapisać. Zdobędę pieniądze. Będę tam. Ale skąd mogę wiedzieć, czy mój syn i Sharon jeszcze żyją? Skąd mogę wiedzieć, że ty ich masz? Muszę mieć dowód.

- Dowód? Jaki dowód? - W szepcie pobrzmiwała teraz złość.

- Taśmę... lub kasetę... Coś, żeby słyszał, jak mówią.

- Kasetę?!

Czy ten zduszony dźwięk to śmiech? Czy ten człowiek się śmiał?

- Muszę coś mieć! - upierał się Steve.

- Dostaniesz swoją kasetę, Peterson. - Słuchawka po drugiej stronie została odłożona z trzaskiem.

- Proszę poczekać! zawołał. Poczekać!

Cisza. Sygnał przerwanej linii. Steve wolno odwiesił słuchawkę.

Tak jak się umówili, pojechał wprost do Perrych i czekał na Hugh. Był zbyt zdenerwowany, by siedzieć w samochodzie. Wsiadł i stał na podjeździe. Lodowaty wiatr przyprawiał o dreszcze. O Boże, czy to się działo naprawdę?

Nadjechał Hugh. Zatrzymał samochód, wysiadł i podszedł do Petersona.

- Co powiedział? - spytał.

Steve wyjął notatnik i odczytał instrukcje.

- Co z głosem? - zapytał Hugh.

- Sądzę, że umyślnie zmieniony... bardzo niski. Nie wydaje mi się, aby ktoś go mógł zidentyfikować, nawet gdyby udało wam się nagrać ten drugi telefon. - Steve patrzył niewidzącym wzrokiem przed siebie. - Obiecał kasetę. To znaczy, że prawdopodobnie wciąż żyją - - Jestem tego pewien. - Hugh nie okazał niepokoju, chociaż uważał, że jest praktycznie niemożliwe, aby kasetę dotarła do rąk Steve'a, zanim zapłaci okup. Tamten nie miał dość czasu, aby ją przesłać, nawet specjalną przesyłką, a skorzystanie z usług posłańca byłoby zbyt łatwe do wyśledzenia. Porywacz nie chciał, aby wiadomość o porwaniu dostała się do środków masowego przekazu, więc raczej nie zostawi kasety w redakcji gazety czy rozgłośni radiowej. - Co z okupem? - zapytał. - Czy może pan mieć dzisiaj osiemdziesiąt dwa tysiące dolarów?

- Nie mógłbym sam zebrać nawet pięciu centów - odparł Steve. - Zainwestowałem tyle w czasopismo, że jestem kompletnie splukany. Ale dzięki Ninie mogę mieć tę sumę,

- Dzięki Ninie? - zdziwił się Hugh.

- Tuż przed śmiercią odziedziczyła po babce siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Przeznaczyłem je na wykształcenie Neila i wpłaciłem na konto. Są w banku w Nowym Jorku. Razem z procentami będzie tego akurat trochę ponad osiemdziesiąt dwa tysiące.

- Akurat osiemdziesiąt dwa tysiące - powtórzył Hugh. - Panie Peterson, ile osób wiedziało o tym funduszu?

- Nie wiem. Nikt oprócz mojego prawnika i księgowego... Nie rozpowiada się takich rzeczy.

- A Sharon Martin?

- Nie pamiętam, abym jej o tym wspomniał.

- Ale jest możliwe, że pan jej powiedział.

- Nie sądzę, abym to zrobił.

- Panie Peterson - powiedział z namysłem Hugh, wchodząc po schodach na ganek. - Musi pan jeszcze raz wszystko przemyśleć i przypomnieć sobie, kto mógł wiedzieć o tych pieniądzach. To oraz możliwość, że pani Perry potrafi zidentyfikować głos porywacza, są naszą jedyną nadzieją.

Nacisnęli dzwonek przy frontowych drzwiach i natychmiast pojawił się w nich Roger. Gdy weszli, położył palec na ustach. Twarz miał bladą i napiętą, ramiona opuszczone.

- Lekarz właśnie wyszedł. Dał Glendzie środek uspokajający. Ona odmawia pójścia do szpitala, a on uważa, że jest na granicy następnego ataku.

- Przykro mi, panie Perry, ale musimy poprosić, aby posłuchała pierwszej rozmowy z porywaczem, którą nagraliśmy dziś rano.

- Ona nie może! Nie teraz! To ją dobije! - Roger zacisnął pięści i przełknął ślinę. - Steve, przepraszam... Co się stało?

Steve beznamyślnie zrelacjonował mu wszystko. Wciąż miał wrażenie, że jest obserwatorem, który ogląda rozgrywającą się tragedię bez możliwości wpłynięcia na bieg wydarzeń.

- Glenda nie zgodziła się pójść do szpitala, bo chciała przesłuchać taśmę. Wiedziała, że ją o to poprosisz - powiedział wolno Roger. - Ale teraz powinna trochę się przespać. Możecie przynieść tę taśmę później?

- Oczywiście - odparł Hugh. Odgłos dzwonka wdarł się jak intruz.

- To przy drzwiach od podwórza - odezwał się Roger. - Kto, do diabła... O mój Boże!... To ta nowa gosposia. Zapomniałem o niej.

- Jak długo tu będzie? - zapytał szybko Hugh.

- Cztery godziny.

- Niedobrze. Mogłaby coś podsłuchać. Proszę mnie przedstawić jako lekarza. Kiedy wyjdziemy, proszę odesłać ją do domu. Proszę powiedzieć, że zadzwoni pan do niej za dzień lub dwa. A w ogóle skąd ona jest?

- Z Carley.

Dzwonek zabrzmiał powtórnie.

- Była już kiedyś w tym domu? - dopytywał się Hugh.

- W zeszłym tygodniu.

- Może będzie trzeba ją sprawdzić.

Roger poszedł do drzwi i wrócił, prowadząc Marian. Hugh uważnie przyjrzał się sympatycznie wyglądającej kobiecie.

- Powiedziałem pani Vogler, że moja żona jest chora - wyjaśnił. - Pani Vogler ... To mój sąsiad, pan Peterson i... hm... doktor Taylor.

- Dzień dobry. - Głos miała ciepły, trochę nieśmiały. - Panie Peterson, czy ten merkurcy to pana samochód?

- Tak - odpowiedział Steve.

- W takim razie to musiał być pana synek. Kochane dziecko! Był na trawniku przed domem, kiedy przyjechałam tu w zeszłym tygodniu, i wskazał mi, który to dom. Był taki grzeczny. Musi pan być z niego bardzo dumny. - Marian ściągnęła rękawiczkę i wyciągnęła rękę do Steve'a.

- Jestem dumny z Neila - odrzekł i gwałtownie odwrócił się do niej plecami, sięgając do klamki drzwi wejściowych. Łzy stanęły mu nagle w oczach.

Hugh szybko pochwycił rękę Marian, uważając, by nie zgnieść niezwykłego pierścionka, który miała na palcu. Oryginalny pomysł, nosić takie cacko do prac domowych, pomyślał.

- To dobrze, że pani Vogler jest tutaj, panie Perry - powiedział, kierując się za Steve'em do drzwi. - Wie pan, jak pańska żona przejmuje się domem. Powinna pani rozpocząć pracę dzisiaj, tak jak było zaplanowane.

- Aha... tak... świetnie. - Roger spojrział na Hugh i domyślił się powodu jego decyzji. Czy Taylor uważał, że ta kobieta może mieć jakiś związek ze zniknięciem Neila?

Zaskoczona sytuacją Marian patrzyła, jak Peterson otwiera frontowe drzwi. Pewnie pomyślał, że jest zbyt bezpośrednia, gdy chciała ucisnąć mu rękę. Może należało go przeprosić. Powinna pamiętać, że jest tu tylko gosposią. Zamierzała już dotknąć jego ramienia, ale zrezygnowała i bez słowa przytrzymała otwarte drzwi. Gdy Taylor wyszedł i dogonił Steve'a, cicho zamknęła je za nimi. Pierścionek z kamieniem księżycowym uderzył o klamkę i lekko zadźwięczał.

Nie chciał być mazgajem. Bardzo się starał nie płakać, ale to nie było wcale takie łatwe. Czuł w gardle kluchy, zaczynało mu cieknąć z nosa i całą twarz miał mokrą od łez. Często płakał w szkole. Wiedział, że inne dzieci uważają go za beksę, nauczycielka również.

Płakał z byle powodu, ponieważ tkwiły w nim strach i przerażenie od dnia, gdy mamusia została zabita. Dawniej często bawił się swoimi pociągami, ale od tamtej pory nigdy już tego nie robił.

Wspomnienie przeszłości przyśpieszyło mu oddech, na twarzy miał szmatę, która uniemożliwiała oddychanie ustami. Próbował przełknąć ślinę i kawałek szmaty dostał mu się do ust. Czuł ją na języku. Była twarda i szorstka. Gdy próbował powiedzieć, że nie może oddychać, kłęb utkwiał mu głębiej w ustach. Dławił się. Zbierało mu się na płacz...

- Neil, przestań. - Głos Sharon brzmiał dziwnie.

Musiała też mieć czymś obwiązane usta. Jej twarz znajdowała się tuż przy jego twarzy i przez materiał czuł, jak się poruszyła. Gdzie jesteście? Tak tu zimno i coś cuchnie. Jestem chyba przykryty jakimś śmierdzącym kocem.

Ten człowiek otworzył drzwi i przewrócił go. Związał ich i wyniósł Sharon. A potem wrócił i Neil poczuł, że sam został podniesiony i wciśnięty do jakiegoś worka. Od tamtej chwili nic nie pamiętał. Aż do momentu, gdy Sharon go stamtąd wyciągała. Zastanawiał się, dlaczego nic nie pamiętał... Zupełnie tak samo jak wtedy, gdy mamusia upadła.

Nie chciał o tym myśleć. Sharon mówiła:

- Oddychaj powoli, Neil... Nie płacz, Neil, jesteś dzielny.

Pewnie też sądziła, że jest mazgajem. Dzisiaj płakał, kiedy przyszła. To dlatego, że gdy nie zjadł podwieczorku, pani Lufts powiedziała: „Wygląda na to, że będziemy musieli zabrać cię ze sobą na Florydę, Neil. Musimy cię trochę podtuczyć”.

No tak. To był dowód. Jeśli tatuś ożeni się z Sharon, będzie tak, jak przepowiadał Sandy. Nikt nie chce chorych dzieci, więc każą mu wyjechać z Luftsami.

Znowu się rozpłakał.

Sharon jednak nie gniewała się widocznie na niego za to, że jest chory. Wciąż mówiła takim dziwnym głosem.

- Wdech... Wydech... Powoli... Oddychaj... przez... nos... - Starał się wypełniać jej polecenia. - Jesteś dzielny, Neil, pomyśl o chwili, gdy będziesz to wszystko opowiadał kolegom.

Czasem Sandy pytał go o ten dzień, kiedy mama umarła. „Gdyby ktoś spróbował robić krzywdę mojej matce, to bym go powstrzymał” - mówił.

Może powinien wtedy powstrzymać tego człowieka? Chciał spytać o to tatusia, ale nigdy tego nie zrobił. Tata zawsze mu powtarzał, żeby nie myślał już o tamtym dniu.

Ale czasami nie mógł się powstrzymać.

Wdech... Wydech... Czuł na policzku włosy Sharon. Chyba jej nie przeszkadza, że był przyciśnięty do niej całym ciałem. Dlaczego ten człowiek ich tu przywiózł? Neil zna go, wie, kto to. Widział go kilka tygodni temu, gdy z panem Luftsem był w warsztacie, gdzie ten mężczyzna pracował. Od tego czasu często śniły mu się koszmary. Któregoś dnia zaczął nawet opowiadać o nich tatusiowi, ale weszła pani Lufts i chłopiec zawstydził się, i umilkł. Pani Lufts zawsze zadawała tyle głupich

pytań: „Czy myślisz zęby? Używałaś serwetki przy lunchu? Dobrze się czujesz? Dobrze spałeś? Zjadłeś cały lunch? Zamoczyłeś nogi? Powiesiłeś ubranie?”. I nigdy nie zostawiała mu czasu na odpowiedź, tylko zaraz wszystko sama sprawdzała.

Zupełnie inaczej wyglądało życie z mamą. Pani Lufts przychodziła wtedy tylko raz w tygodniu, żeby posprzątać. Po tym, jak mama umarła, Luftsowie wprowadzili się na górę, i odtąd wszystko się zmieniło.

Te rozmyślenia i wykonywanie poleceń Sharon sprawiły, że lży same obeschły.

- Neil... - Sharon pocierała policzkiem o jego policzek. - Staraj się myśleć o tym, jak będzie, kiedy się stąd wydostaniemy. Twój tatuś będzie się cieszył, widząc nas znowu. Założę się, że on nas tu znajdzie. Wiesz co, chciałabym wybrać się z tobą na łyżwy. Nie poszedłeś z nami wtedy, gdy twój tata przyjechał do Nowego Jorku. Mieliśmy zamiar zabrać cię do zoo obok ślizgawki.

Słowa Sharon brzmiały szczerze. Chciał wtedy pojechać, ale kiedy powiedział to Sandy'emu, ten orzekł, że Sharon wcale Neila nie lubi, tylko stara się zrobić przyjemność jego ojcu.

- Twój tatuś mówi, że od przyszłej jesieni będzie chodził z tobą na mecze futbolowe w Princeton. - Głos Sharon wyrwał Neila ze wspomnień. - Ja także chodziłam na mecze przez cały okres nauki w college'u. Szkoła znajdowała się zaledwie dwie godziny drogi od Dartmouth i w niektóre weekendy jeździliśmy tam całą paczką, zwłaszcza w sezonie futbolowym. Co roku grali z Princeton, ale wtedy twój tata był już po studiach. - Tata jest z ciebie dumny - kontynuowała. - Podobno jesteś bardzo dzielny, gdy dostajesz zastrzyki przeciw astmie. Powiedział, że większość dzieci użalałaby się nad sobą w takiej sytuacji, a ty nigdy nie narzekasz i nie płaczesz. To bardzo dzielne...

Mówienie sprawiało jej trudność. Próbowwała przełknąć ślinę.

- Neil, myśl teraz o swoich planach. Ja zawsze tak robię, kiedy się boję albo jestem chora. Planuję coś miłego lub zabawnego. Zeszłego roku, gdy byłam w Libanie - to kraj oddalony o jakieś osiem tysięcy kilometrów stąd - pisałam reportaż o toczącej się tam wojnie... Mieszkałam w tym okropnym miejscu... Pewnej nocy fatalnie się czułam. Miałam grypę z wysoką gorączką, byłam zupełnie sama i wszystko mnie bolało... Ręce i nogi... Całkiem jak teraz. Zmuszałam się do myślenia o czymś przyjemnym, o czymś, co lubię i co zrobię, gdy wrócę do domu. Przypomniałam sobie obraz, który bardzo mi się podobał. Przedstawiał port z łodziami żaglowymi. Postanowiłam, że gdy tylko wrócę do domu, kupię go. I tak zrobiłam. - Jej głos przycichł i Neil musiał dobrze się wsłuchiwać, aby usłyszeć, co mówi. - Myślę, że powinniśmy zaplanować jakąś miłą niespodziankę dla ciebie, coś naprawdę fajnego. Wiesz, twój tatuś mówi, że Luftsowie koniecznie chcą się teraz przenieść na Florydę.

Chłopiec poczuł, że jakaś pięść zaciska mu się w piersiach.

- Spokojnie, Neil! - upomniała go Sharon. - Pamiętaj, wdech... wydech... Oddychaj powoli. Kiedy twój tata pokazał mi wasz dom i zobaczyłam pokój Luftsów, wyrzałam stamtąd przez okno. Widok był taki jak na moim obrazie. Bo można stamtąd zobaczyć cały port: łodzie, cieśninę i wyspę. Na twoim miejscu wzięłabym sobie ten pokój, gdy Luftsowie wyprowadzą się na Florydę. Wstawiłabym do niego biblioteczkę, półki na gry i biurko. Jest tam wnęka, tak duża, że mógłbyś rozstawić w niej tory swoich pociągów. Twój tatuś mówi, że bardzo lubisz kolejki. Ja też miałam nakręcane pociągi, gdy byłam mała. Mam jeszcze kilka, które należały kiedyś do mojego taty. Są takie stare! Chciałam dać je tobie.

„Kiedy Luftsowie przeniosą się na Florydę... Kiedy Luftsowie przeniosą się na Florydę...”

Więc Sharon nie chciała, aby Neil z nimi pojechał! Uważała, że mógłby zająć ich pokój!

- Boję się teraz i jest mi niewygodnie. Chciałabym się stąd wydostać, ale cieszę się, że ty jesteś ze mną. Powiem twojemu tatusiowi, jaki byłeś dzielny i jak się starałeś wolno, wolno oddychać i nie

krztusić się.

Ciężki, czarny głaz leżący od dawna na piersi Neila lekko drgnął. To słowa Sharon tak podziały.

Nagle Neil poczuł się bardzo senny. Miał związane ręce, ale mógł poruszać palcami i ześliznął się nimi wzdłuż ramienia Sharon, aż znalazł to, czego szukał - skraj jej rękawa. Ściskając w palcach materiał, zasnął.

Chrapliwy, świszczący oddech chłopca osiągnął wyrównany rytm. Sharon z niepokojem wsłuchiwała się w ten dźwięk. Czuła, jak pierś Neila unosi się z wysiłkiem. Leżąc blisko siebie, ogrzewali się nawzajem.

Która mogła być godzina? Dotarli do tego miejsca około siódmej trzydzieści. Ten człowiek, Foxy, został z nimi przynajmniej przez kilka godzin. Od jak dawna go nie ma? Musiała minąć już północ. Jest więc wtorek. Foxy powiedział, że zostaną tu do środy. Skąd Steve weźmie w ciągu jednego dnia osiemdziesiąt dwa tysiące dolarów na okup? I dlaczego akurat tę dziwną sumę? Czy spróbuje się skontaktować z jej rodzicami? Byłoby to teraz trudne, mieszkają w Iranie. Kiedy Neil się obudzi, opowie mu o pracy swego ojca, inżyniera... „W środę rano my dwoje odjeżdżamy i zostawię wiadomość, gdzie można znaleźć chłopca”. Zastanawiała się nad tą obietnicą. Będzie musiała zachowywać się tak, jakby chciała pojechać z Foxy. Gdy tylko Neil będzie bezpieczny, a ona zostanie sama z porywaczem w poczekalni, zacznie krzyczeć. Nieważne, co Foxy może jej zrobić, Sharon musi zaryzykować.

Dlaczego, na miłość boską, ich porwał? Było coś dziwnego w tym, jak przyglądał się Neilowi. Jakby go nienawidził i... bał się go. Ale to przecież niemożliwe.

Czy dlatego zostawił opaskę na oczach Neila, że bał się, iż chłopiec mógłby go rozpoznać? Może to ktoś z okolic Carley? Jeśli tak, jak mógłby pozostawić Neila przy życiu? Chłopiec widział porywacza, gdy ten wdarł się do domu. Wpatrywał się w niego. Rozpoznałby go, była o tym przekonana. On też musi sobie zdawać z tego sprawę. Czy zamierza zabić Neila, gdy tylko będzie miał pieniądze?

Na pewno.

Nawet jeśli Foxy zabierze ją z tego miejsca, może być za późno dla Neila.

Uzucie strachu i wściekłości kazało Sharon przyłgnąć mocniej do chłopca.

Jutro. W środę!

To właśnie tak musi się teraz czuć pani Thompson. Gniew, strach i bezradność, pierwotna potrzeba chronienia potomstwa. Neil jest synem Steve'a, a Steve tyle już wycierpiał. Musi teraz odchodzić od zmysłów. On i pani Thompson przechodzili jednakowe piekło.

Sharon nie miała za złe pani Thompson, że tak na nią napadła. Nie myślała tego, co mówiła, nie mogła tak myśleć. Ron był winny, to niemożliwe, aby ktokolwiek uważał inaczej. Pani Thompson nie rozumiała, że jedynym sposobem na uratowanie jej syna, było wzbudzenie masowego protestu przeciw egzekucji. Ona, Sharon, przynajmniej starała się pomóc skazanemu w ten sposób. Steve, och, Steve, zapłakała bezgłośnie. Czy teraz rozumiesz?

Próbowała potrzeć nadgarstkiem o szorstką ścianę, ale przekonała się, że przy tak mocno zaciśniętych więzach nie zdoła ich rozluźnić i tylko otarła sobie dłonie.

Gdy wróci Foxy, powie mu, że musi skorzystać z łazienki. Może wtedy jakoś...

Te zdjęcia. On zabił te kobiety. Jedynie szaleniec mógł robić zdjęcia w chwili, gdy mordował, i powiększyć je potem do takich rozmiarów.

Jej także zrobił zdjęcie.

Ładunek wybuchowy. Przypuśćmy, że ktoś zbliży się do tego pomieszczenia. Jeśli bomba

wybuchnie, ona i Neil, i ilu jeszcze? Jaką ta bomba ma moc? Sharon próbowała się modlić, ale była zdolna jedynie powtarzać w kółko: Proszę, pozwól, aby Steve odnalazł nas na czas, proszę, nie odbieraj mu syna.

Taka musi być modlitwa pani Thompson. „Oszczędź mego syna”. „Oskarżam panią, panno Martin...”.

Czas włókł się bezlitośnie. W ramionach i nogach zamiast bólu czuła odrętwienie. Neil spał, co graniczyło z cudem. Od czasu do czasu jęczał, jego oddech tracił rytm, ale po chwili chłopiec znów zapadał w spokojny sen.

Musiałoby już być blisko świtu i odgłosy pociągów stawały się coraz częstsze. O której godzinie otwierają stację? O piątej? Czyli teraz musi być piąta. O ósmej w poczekalni będzie tłum ludzi. Przypuśćmy, że wtedy wybuchnie bomba.

Neil poruszył się niespokojnie, mamrocząc coś. Nie mogła nic zrozumieć. Zaczął się budzić. Próbował otworzyć oczy, ale nie mógł. Chciał pójść do łazienki. Bolały go ręce i nogi, oddychanie sprawiało trudność. Nagle przypomniał sobie, co się wydarzyło! Pamiętał, że podbiegł do drzwi i powiedział: „Wszystko w porządku”. I otworzył je. Dlaczego tak powiedział?

I w tym momencie przypomniał sobie wszystko.

Na twarzy czuł oddech Sharon. Gdzieś z daleka dobiegał odgłos pociągu.

Odgłos pociągu!

Zbiegł na dół. Wtedy tamten mężczyzna puścił mamę i odwrócił się do niego. Widać było, że cały jest spocony i przerażony. Ten człowiek, który wdarł się do domu ostatniej nocy, który stał nad Neilem i wpatrywał się w niego, zrobił to już kiedyś wcześniej.

Podszedł do niego. Puścił mamę i podszedł do niego. Wyciągnął ręce i patrzył prosto na Neila.

I wtedy coś się stało.

Dzwonek. Dzwonek do frontowych drzwi.

Ten człowiek uciekł. Neil widział, jak uciekał.

To dlatego nie mógł przestać śnić o tamtym dniu. Z powodu tego zapomnianego szczegółu... Tego strasznego momentu, gdy mężczyzna podszedł do niego z wyciągniętymi rękami i chciał go pochwycić...

Ten człowiek...

Ten człowiek, który rozmawiał z Luftsem...

A ostatniej nocy wtargnął do domu Neila i stanął nad nim.

- Sharon, ten człowiek, ten zły człowiek, który nas związał... - Głos mu się załamał.

- Tak, kochanie... Nie bój się, zaopiekuję się tobą - uspokoiła go Sharon.

- Sharon, to jest ten człowiek, który zabił moją mamusię.

Pokój. Lally zapragnęła pójść do swojego pokoju, choćby było tam nie wiadomo jak zimno. Bardzo do niego tęskniła. Gazety włożone między dwa koce dadzą jej dość ciepła. Dom noclegowy przy Dziesiątej Alei, gdzie ona, Rosie i inni sypiali przez zimę, był zbyt zatłoczony. Lally potrzebowała samotności. Potrzebowała własnego kąta, aby pomarzyć.

W młodości zasypiała, wyobrażając sobie, że jest gwiazdą filmową przyjeżdżającą na Grand Central, gdzie czekają na nią rzesze fotografów i reporterów. Czasem w tych marzeniach, wychodząc z budynku wytwórni filmowej, miała na sobie białego lisa lub była ubrana w szytą na miarę jedwabną suknię i futro z soboli, a sekretarka niosła kasetkę z biżuterią.

Raz wyobraziła sobie, że włożyła wieczorową suknię, tę, którą nosiła Ginger Rogers w filmie „Cylinder”, i wybiera się na premierę swojego filmu na Broadwayu.

Z czasem marzenia się rozwiały i Lally przywykła do życia skromnej, samotnej nauczycielki. Ale kiedy po przyjeździe do Nowego Jorku spędzała cały czas na Grand Central, zaczęła żyć urojonymi wspomnieniami i pogrążyła się w marzeniach.

A potem, gdy Rusty dał jej klucz do pokoju i mogła tam nocować, wsłuchując się w przyciszone odgłosy pociągów, te fantazje stały się bardziej realne.

We wtorek rano, o ósmej trzydzieści, maszerowała, trzymając w ręku swoją torbę, przez poczekalnię w kierunku peronów. Zamierzała przejść wzdłuż pociągu do Mount Vernon, odjeżdżającego o ósmej pięćdziesiąt, a potem prześliznąć się do swojego pokoju.

Po drodze zatrzymała się w barze u Nedicksa i zamówiła kawę z pączkiem. Wcześniej wyłowiła z pojemnika na śmieci kilka gazet.

Mężczyzna, stojący przed nią przy ladzie, wyglądał dziwnie znajomo. No tak, to on udaremnił jej zamiary zeszłej nocy, schodząc na peron z dziewczyną w szarym płaszczu. Pełna niechęci słuchała, jak ten człowiek zamawia dwie kawy, bułki i mleko. Z wrogością w oczach patrzyła, gdy płacił rachunek i zabierał jedzenie. Zastanawiała się, czy pracuje gdzieś w pobliżu. Miała przeczucie, że nie.

Opuściwszy bar, umyślnie plątała się po poczekalni, aby znający ją policjanci nie myśleli, że robi coś innego niż zwykle. W końcu znalazła się na peronie, z którego odjeżdżały pociągi do Mount Vernon. Ludzie śpieszyli się, aby zająć miejsca. Lally zrównała się z nimi, idąc wzdłuż peronu. Gdy wsiadali do pociągu, prześliznęła się koło ostatniego wagonu i skręciła w prawo. Za moment zniknie wszystkim z oczu.

I wtedy go ujrzała. Mężczyznę, który dopiero co kupił kawę, mleko i bułki. Mężczyznę, który był tu zeszłej nocy. Zwrócony do niej plecami, zniknął właśnie w mrocznym wnętrzu dworca.

Mógł zmierzać tylko do jednego miejsca. Do jej pokoju. Znalazł go. To dlatego zszedł na peron zeszłej nocy. Nie czekał na pociąg, tylko poszedł do jej kryjówki. Z tą dziewczyną. Miał kawę, mleko i cztery bułki. A więc dziewczyna musi tam teraz być. Gorzkie łyzy rozczarowania pojawiły się w oczach Lally. Zabrał jej pokój! Lecz umiejętność radzenia sobie z kłopotami i tym razem jej nie zawiedzie. Będzie pilnie obserwować intruza i gdy stwierdzi z całą pewnością, że nie ma go w pokoju, pójdzie tam i uprzedzi dziewczynę, że policja wie o nich i przyjdzie ich aresztować. To wypłoszy dziewczynę od razu. Facet robił wrażenie mętnego typu, ale dziewczyna nie była z tych, co

włóczą się po stacjach.

Czując złośliwą satysfakcję na myśl o okłamaniu intruzów, Lally zawróciła i skierowała się do górnej poczekalni. Wyobraziła sobie, że dziewczyna leży w tej chwili na jej łóżku, czekając, aż kochanek przyniesie śniadanie. Nie układaj się zbyt wygodnie, paniusiu, pomyślała Lally. Zaraz będziesz mieć towarzystwo.

Steve, Hugh, Luftsowie i agent Hank Lamont siedzieli przy stole w jadalni. Dora Lufts przyniosła dzbanek kawy i świeżo upieczone drożdżówki. Steve patrzył na nie bez zainteresowania. Siedział, podpierając brodę rękami. Niedawno Neil powiedział mu: „Zawsze powtarzasz, że bym nie kładł łokci na stole, a sam tak siedzisz, tato”.

Zamrugnął oczami, odpędzając tę myśl, i uważnie przypatrzył się Luftsowi. Nie ulegało wątpliwości, że Bili szukał tego wieczoru pociechy w butelce. Miał zaczerwienione oczy i trzęsły mu się ręce.

Przesłuchali taśmę z pierwszą rozmową telefoniczną. Głos był stłumiony, niewyraźny, trudny do rozpoznania. Hugh puścił taśmę trzykrotnie, a następnie wyłączył magnetofon.

- W porządku. Zabierzemy to do pani Perry, gdy tylko pan Perry zadzwoni. A teraz musimy ustalić kilka spraw. - Sprawdził leżącą przed nim listę. - Po pierwsze, do czasu, aż się wszystko wyjaśni, zamieszka tu wywiadowca. Myślę, że ten facet, Foxy, jest za mądry, aby dzwonić pod ten numer albo do Perrych. Domyśli się, że mamy podsłuch. Ale zawsze istnieje szansa... Pan Peterson pojedzie do Nowego Jorku, więc jeśli telefon zadzwoni, pani Lufts musi natychmiast odebrać. Agent Lamont będzie nagrywać rozmowę z drugiej słuchawki. Nie wolno pani stracić głowy. Musi pani trzymać porywacza przy telefonie tak długo, jak tylko się da. Czy może pani to zrobić?

- Spróbuję - odrzekła Dora drżącym głosem.

- Co ze szkołą Neila? Czy zadzwoniła pani i zgłosiła, że jest chory?

- Tak. Od razu o ósmej trzydziści, tak jak pan mi kazał.

- Świetnie. - Hugh zwrócił się do Steve'a. - Skontaktował się pan ze swoim biurem, panie Peterson?

- Tak. Zostawiłem wiadomość, że wywożę Neila na parę dni i wrócę dopiero po egzekucji Thompsona.

Hugh popatrzył teraz na Billa Luftsa.

- Panie Lufts, chciałbym, aby pan pozostał przez cały czas w domu, przynajmniej dzisiaj. Czy komuś może się to wydawać dziwne?

Dora zaśmiała się z ironią.

- Tylko stałym bywalcom lokalu Millie Tavern - powiedziała.

- W porządku. Dziękuję wam obojgu. - Ton głosu Hugh sugerował, że ich obecność jest już zbędna. Wstali i poszli do kuchni, zostawiając za sobą lekko uchylone drzwi. Hugh zamknął je zdecydowanym ruchem. Uniósł brew, spoglądając na Steve'a. - Wydaje mi się, że nic, o czym się mówi w tym domu, nie uchodzi uwagi Luftsów, panie Peterson - dodał.

Steve wzruszył ramionami.

- Wiem. Ale od kiedy Bili na początku roku przeszedł na emeryturę, siedzą tu tylko ze względu na mnie. Bardzo chcieliby przenieść się na Florydę.

- Mówił pan, że mieszkają tu od dwóch lat?

Trochę dłużej. Dora była naszą sprzątaczką. Przychodziła raz w tygodniu, jeszcze zanim urodził się Neil. Gromadzili oszczędności na starość. Nina została zamordowana tuż po naszym wprowadzeniu się tutaj i potrzebowałem kogoś do opieki nad Neilem. Zaproponowałem im ten duży

pokój na drugim piętrze. W ten sposób oszczędzili na czynszu, a Dorze płaciłem tyle, ile dostawałaby za sprzątanie w innych domach.

- I jak się układały stosunki?

- W miarę dobrze. Oboje bardzo lubią Neila. Ona jest w stosunku do chłopca bardzo opiekuńcza... Może nawet zbyt opiekuńcza. Natomiast Bill, nie mając nic do roboty, zaczął mocno popijać. Mówiąc szczerze, będę rad, kiedy się wreszcie wyprowadzą.

- Co ich zatrzymuje? - spytał ostro Hugh. - Pieniądze?

- Nie, nie sądzę. Dora chciałaby bardzo, żebym się powtórnie ożenił, by Neil miał znowu matkę.

To naprawdę pocziwa dusza.

- A pan pragnie związać się z Sharon Martin?

- Mam taką nadzieję. - Peterson uśmiechnął się chłodno.

Nie mogąc usiedzieć na miejscu, wstał i podszedł do okna. Znowu padał śnieg. Steve'owi wydało się, że w takim samym stopniu może kierować własnym życiem, co każdy z tych płatków. Upaść, wylądować na krzaku, trawie lub na ulicy, stopić się albo natychmiast przymarznąć, być zmiecionym, rozjechanym lub zgniecionym butami.

Zaczynało mu się mącić w głowie. Siłą woli skierował myśli z powrotem ku rzeczywistości. Nie może tkwić tu, bezradnie oczekując. Musi coś zrobić.

- Wezmę książeczkę oszczędnościową i pojedę do Nowego Jorku - powiedział do Hugh.

- Chwileczkę, panie Peterson. Jest parę spraw, które musimy przedyskutować. - Steve się zatrzymał. - Co będzie, jeśli nie otrzyma pan taśmy z głosem syna i Sharon? - zapytał Hugh.

- On obiecał...

- Może nie być w stanie jej dostarczyć. A jak ją panu przekaże, zakładając, że ją nagra? Chodzi o to, czy jest pan gotów zapłacić pieniądze bez dowodu?

Steve się zastanowił.

- Tak - odrzekł po chwili. - Nie chcę ryzykować, że się rozzłości. Może zostawi gdzieś taśmę lub kasetę, oczekując, że zostanie znaleziona... A wtedy, jeśli nie zrobię tego...

- Dobrze. Zajmiemy się tym później. Jeśli nic nie nadejdzie do drugiej nad ranem, gdy będzie do pana dzwonił do budki przy Pięc - dziesiątej Dziewiątej, może pan próbować opóźnić przekazanie pieniędzy. Niech pan mu powie, że nie dostał pan dowodu. Jeśli powie, że zostawił gdzieś taśmę, łatwo będzie ją odebrać. Kolejny problem. Czy chce pan dać mu prawdziwą gotówkę? Moglibyśmy dostarczyć fałszywe pieniądze, łatwe do wyśledzenia.

- Nie podejmę takiego ryzyka. Pieniądze na tym rachunku przeznaczone są na wykształcenie Neila. Gdyby mu się coś stało...

- W porządku. Niech pan weźmie czek i uda się z nim do Banku Rezerw Federalnych. Nasi ludzie sfotografują tam banknoty na okup. W ten sposób będziemy mieć chociaż jakiś ślad...

- Nie chcę, aby pieniądze były znaczone - przerwał mu Steve.

- Nie mówię o znaczeniu. Nie ma możliwości, aby się dowiedział, że zostały sfotografowane. Ale to trochę potrwa. Osiemdziesiąt dwa tysiące dolarów w dziesiątkach, dwudziestkach i pięćdziesiątkach to mnóstwo banknotów.

- Wiem - wtrącił Steve.

- Panie Peterson - kontynuował Hugh. - Chciałbym prosić pana o zachowanie pewnych środków ostrożności. Po pierwsze, niech pan nam pozwoli zainstalować kamery w pańskim samochodzie. W ten sposób będziemy mogli za panem jechać, gdy skontaktuje się pan z porywaczem. Może zdołamy go sfotografować albo zarejestrować numery jego samochodu. Chcielibyśmy też umieścić w pana samochodzie brzęczyk, aby móc pana śledzić na odległość. Obiecuję panu, że te rzeczy będą

nie do wykrycia. I wreszcie, zależy to wyłącznie od pana, chcielibyśmy ukryć elektroniczny sygnalizator w walizce z pieniędzmi.

- Założmy, że urządzenie zostanie znalezione. Porywacz będzie wiedział, że skontaktowałem się z policją - odrzekł Steve.

- Założmy, że pan go nie włoży i nie usłyszysz ani słowa więcej. Zapłaci pan i nie odzyska ani dziecka, ani Sharon. Proszę mi wierzyć, panie Peterson, zależy nam przede wszystkim na tym, aby oboje wrócili bezpiecznie. Potem zrobimy wszystko, by znaleźć tego bandytę. Ale to zależy od pana.

- Co pan by zrobił, gdyby to był pański syn i... żona?

- Panie Peterson, nie mamy do czynienia z uczciwymi ludźmi. To nie takie proste, nie wystarczy zapłacić okup, aby porwani wrócili. Może zostaną wypuszczeni. Może. Ale przestępcy mogą też po prostu zostawić ich gdzieś, niezdolnych do uwolnienia się. Musimy się z tym liczyć. Zacieśnimy przynajmniej krąg poszukiwań, jeśli uda nam się śledzić porywacza.

Steve bezradnie wzruszył ramionami.

- Róbcie, co musicie. Pojadę autem Billa do Nowego Jorku.

- Nie. Proponuję, aby pan wziął swój samochód i zaparkował jak zwykle koło stacji. Możliwe, że pańskie ruchy są obserwowane. Damy panu „luźny ogon”... Nasz agent będzie szedł w pewnej odległości za panem. Proszę zostawić kluczyki na podłodze. Zabierzemy samochód, zainstalujemy sprzęt i odstawimy na miejsce, zanim pan wróci, a pod ten adres proszę pójść z pieniędzmi...

O dziesiątej czterdzieści Steve wszedł do pociągu, a o jedenastej trzydzieści pięć był już na stacji Grand Central. Wysiadł z pociągu z wielką pustą walizką w ręku.

Poczucie bezsilności i żalu przytłaczało go coraz bardziej, gdy mijał kolejne przecznice między stacją a ulicą Pięćdziesiątą Pierwszą.

Wczoraj rano on i Sharon zegnali się niedaleko stad. Pocałował ją, ale jej usta nie oddały pocałunku. Zupełnie tak jak jego usta, kiedy Nina pocałowała go tego ostatniego dnia.

Wszedł do banku. Wiadomość, że chce wycofać wszystko z rachunku Neila poza dwoma tysiącami dolarów, została przyjęta ze zdziwieniem przez obsługującą go urzędniczkę. Natychmiast też zjawił się wiceprezes banku.

- Panie Peterson, czy pojawiły się jakieś problemy? - spytał.

- Nie, panie Strauss. Po prostu chcę wycofać wkład.

- Będę musiał pana prosić o wypełnienie stanowych i federalnych formularzy. Jest to wymagane przy tak dużych wypłatach. Mam nadzieję, że nie ma pan zastrzeżeń co do naszego dysponowania rachunkiem syna.

Steve usiłował nie zdradzić się głosem ani miną.

- Absolutnie nie - zapewnił Straussa.

- Świetnie. - Ton wiceprezesa stał się oficjalny. - Może pan wypełnić niezbędne formularze przy moim biurku. Proszę pójść za mną.

Steve machinalnie nagryzmolił potrzebne informacje. Zanim skończył, urzędniczka przyniosła czek.

Pan Strauss podpisał go szybko, wręczył Steve'owi i wstał. Jego twarz przybrała zamyślony wyraz.

- Nie chciałbym się wtrącać, ale czy na pewno nie istnieją żadne problemy, panie Peterson? Może jest coś, w czym moglibyśmy pomóc?

- Nie, nie. Dziękuję panu, panie Strauss. - Steve wstał. Zdawał sobie sprawę z tego, że jego głos brzmi dziwnie.

- Mam nadzieję, że nie. Bardzo pana cenimy jako klienta tego banku i, mam nadzieję, jako

przyjaciela. Jeśli jednak ma pan jakiś kłopot, a my moglibyśmy pomóc, proszę dać nam tę szansę. - Wiceprezes wyciągnął rękę.

- Jest pan bardzo uprzejmy, ale wszystko jest w najlepszym porządku, zapewniam pana. - Steve uściskał wyciągniętą dłoń.

Z walizką w rękę wyszedł na zewnątrz, zatrzymał taksówkę i kazał się zawieźć do Banku Rezerw Federalnych. Tam zabrano go do pokoju, w którym agenci FBI zaczęli pracownicy liczyć i fotografować pieniądze, na które miał wymienić posiadany czek. Przyglądał im się zgnębiony.

„Król był w skarbcu i liczył pieniądze” - dziecinna rymowanka przemknęła mu przez głowę. Nina zwykle śpiewała ją Neilowi, szykując go wieczorem do łóżka.

Wrócił na Grand Central pięć minut po trzeciej, tuż po odjeździe pociągu. Przez następną godzinę nie odchodził żaden. Peterson zadzwonił do domu. Odebrała Dora, agent Lamont odezwał się z dodatkowego aparatu. Żadnych nowych wiadomości. Ani śladu kasety. Hugh Taylor będzie z powrotem, zanim Steve dotrze do domu.

Perspektywa godzinnego czekania przeraziła Petersona. Bolała go głowa. Uświadomił sobie, że nic nie jadł od wczorajszego lunchu.

Bar Ostryga. Zejdzie tam i zamówi gulasz i coś do picia. Minał telefon, z którego wczoraj wieczorem usiłował dodzwonić się do Sharon. Tak zaczął się ten koszmar. Kiedy nikt nie odebrał, Steve wiedział, że coś nie jest w porządku. To było zaledwie dwadzieścia godzin temu. Wydawało mu się, że minęła cała wieczność.

Dwadzieścia godzin. Gdzie są Sharon i Neil? Czy dostali coś do jedzenia? Na zewnątrz jest tak zimno. Czy są w jakimś ogrzewanym miejscu? Jeżeli to tylko możliwe, Sharon będzie opiekować się Nilem, wiedział o tym. Przypuśćmy, że Sharon odebrałaby telefon, gdy zadzwonił wczoraj wieczorem. Przypuśćmy, że spędziliby wieczór we trójkę, tak jak planowali. Neil poszedłby do łóżka i wtedy Steve miał zamiar powiedzieć: „Niewiele zyskasz, Sharon. Prawdopodobnie wyszłabyś na tym lepiej, gdybyś poczekała, ale nie czekaj. Wyjdź za mnie. Dobrze nam razem”. Pewnie jednak dałaby mu kosza. Nie pochwałała jego stanowiska w sprawie kary śmierci. No cóż, był co do tego wystarczająco przekonany, nieustępliwy, upierał się, że ma rację.

Czy tak właśnie czuła się w tej chwili matka Ronalda Thompsona? Nawet kiedy będzie już po wszystkim, ona nie przestanie cierpieć do końca życia.

Tak jak on, gdyby coś się stało Sharon i Neilowi.

Stacja coraz mocniej pulsowała życiem. Przedstawiciele kadry kierowniczej, wychodzący z pracy wcześniej, aby uniknąć tłoku godzin szczytu, podążali energicznym krokiem do pociągów, mających ich zawieźć do Westchester i Connecticut. Kobiety, które przyjechały na całodzienne zakupy, wczytywały się w rozkład jazdy, niespokojne, czy zdążą do domu na czas, aby przygotować kolację.

Steve skierował się do lokalu. Było prawie pusto, już dawno minęła pora lunchu. Usiadł przy barze i złożył zamówienie, ostrożnie stawiając walizkę tuż przy nogach.

W zeszłym miesiącu on i Sharon spotkali się tutaj. Sharon była podniecona z powodu wielkiego odzewu, jaki wywołały jej starania o zmianę wyroku śmierci Thompsona na dożywotnie więzienie.

- Damy radę, Steve - powiedziała mu w zaufaniu. Była taka szczęśliwa, tak bardzo tym przejęta. Mówiła o wyjeździe w poszukiwaniu dalszego poparcia.

- Będę za tobą tęsknił - powiedział.

- Ja też będę tęskniła.

„Kocham cię, Sharon. Kocham cię, Sharon. Kocham cię, Sharon”. Czy powiedział to wtedy?

Jednym haustem przełknął martini, które barman przed nim postawił. Tkwił w barze nad

nietkniętym, parującym gulaszem aż do pięć po czwartej. Zapłacił rachunek i wyszedł na peron. Wsiadł do pociągu do Carley. Nie zauważył, że gdy przeciskał się do wagonu dla palących, jakiś mężczyzna, siedzący w tyle, ukrył twarz za gazetą. Dopiero kiedy Steve go minął, gazeta została lekko opuszczona i mężczyzna błyszczącymi oczyma powiódł za Petersonem, gdy ten przechodził przez wagon z ciężką walizką.

Ten sam pasażer wysiadł w Carley, ale czekał na peronie, aż Steve wyjdzie na parking i odjedzie samochodem, który teraz był wyposażony w czułe kamery, wmontowane w światła i wsteczne lusterko.

Glenda Perry spała do pierwszej po południu. Warkot silnika auta Marian, ruszającego z podjazdu, całkiem ją rozbudził. Zanim otworzyła oczy, leżała chwilę nieruchomo, czekając. Ale ból, który często towarzyszył jej pierwszemu ruchowi, nie nadszedł. W nocy było bardzo źle, gorzej niż mówiła Rogerowi. Chociaż on pewnie się domyślił.

Nie pójdzie do szpitala. Otumaniają tam tak, że będzie do niczego. Wiedziała, dlaczego bóle przychodziły ostatnio tak często. To z powodu owego chłopca, Thompsona. Był taki młody, a jej zeznania przyczyniły się do skazania go na śmierć.

- „On panią przewrócił, pani Perry...”

- „Tak, biegł z tego domu”

- „Było ciemno, pani Perry. Czy jest pani pewna, że to nie ktoś inny uciekał?”

- „Jestem pewna. Zatrzymał się na moment w drzwiach, zanim zderzył się ze mną. Światło w kuchni było zapalone...”

A teraz Sharon i Neil. „Och, Boże, pomóż mi sobie przypomnieć”. Przygryzła wargę. Nie, nie denerwuj się! To nic nie pomoże. Na miłość boską, myśl! Wsunęła tabletkę nitrogliceryny pod język. To odpędzi ból, zanim stanie się nie do zniesienia. Foxy. Sposób, w jaki wymówił swoje imię. Z czym jej się to kojarzyło?

Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem. Roger zajrzał do pokoju.

- W porządku, kochanie, już nie śpię - odezwała się Glenda.

- Jak się czujesz? - Podszedł do łóżka i dotknął jej ręki.

- Nieźle. Jak długo spałam?

- Przeszło cztery godziny.

- Czyj to samochód odjeżdżał?

- To pani Vogler.

- Och, zapomniałam. Co zrobiła?

- Wygląda na to, że miała sporo pracy w kuchni. Zdejmowała rzeczy z górnych półek, stojąc na drabinie.

- Dzięki Bogu. Bałam się wspinać, a pełno tam kurzu. Roger, co się stało? Czy Steve rozmawiał z... Foxym?

- Tak, ale zarejestrowali jedynie parę słów. Czy jesteś gotowa ich posłuchać?

Piętnaście minut później, wsparta na poduszkach, z filiżanką herbaty w ręku, patrzyła, jak Taylor wchodzi do jej pokoju.

- To szlachetne z pani strony, pani Perry. Rozumiem, że to dla pani ogromny wysiłek - odezwał się z zakłopotaniem.

Zbyła go lekkim machnięciem ręki.

- Panie Taylor, wstyd mi, że zmarnowałam wam cały ranek.

Hugh włączył kasetę, a Glenda słuchała uważnie.

- Och, tak niewyraźnie. To niemożliwe - powiedziała po chwili. Pełne napięcia oczekiwanie zniknęło z twarzy Hugh.

- Cóż, dziękuję bardzo, że pani tego wysłuchała, pani Perry. Mamy zamiar przeanalizować tę

rozmowę według wzorca głosów. Nie jest to dowód dopuszczalny w sądzie, ale kiedy złapiemy porywacza, może pomóc w identyfikacji - powiedział głosem pozbawionym emocji i podniósł magnetofon.

- Nie... chwileczkę! - Glenda położyła rękę na urządzeniu. - Czy to oryginalne nagranie rozmowy?

- Nie. Przegraliśmy taśmę i kasetę z podsłuchu.

- Zostawi mi pan to?

- Po co? - spytał zdziwiony.

- Ponieważ z pewnością znam osobę, z którą rozmawiałam wczoraj wieczorem. Znam go. Mam zamiar prześledzić wszystko, co robiłam w ciągu kilku ostatnich tygodni. Może coś mi przyjdzie do głowy. Chciałabym mieć możliwość przesłuchania tej taśmy ponownie.

- Pani Perry, gdyby tylko pani sobie przypomniała... - Hugh przygryzł wargę, gdyż Perry rzucił w jego stronę ostrzegawcze spojrzenie. Szybko wyszedł z pokoju, wyprzedzając Rogera.

Kiedy byli na dole, Perry zapytał:

- Dlaczego kazał mi pan zatrzymać panią Vogler? Nie podejrzewa pan chyba...

- Nie możemy przeoczyć żadnej możliwości. Ale wygląda na to, że ona jest w porządku. Dobry charakter, dobra sytuacja rodzinna, sympatyczna. To przypadek, że mówiła dziś rano o Neilu. Tak czy owak, ma najlepsze alibi ze wszystkich na wczorajszy wieczór, tak jak i jej mąż.

- Jakie?

- Widział ją kasjer, gdy wchodziła i wychodziła z kina. Jej mąż był widziany przez sąsiadów w domu, z dziećmi. A tuż po siódmej wieczorem znajdowali się na posterunku policji, zgłaszając kradzież samochodu - poinformował Hugh.

- Ach, tak. Rzeczywiście, wspomniała mi o tym. Mieli szczęście, że go odzyskali.

- Ona odzyskuje zakichane ośmioletnie auto, a my nie mamy śladu po dwóch porwanych osobach. Pani Perry, jakie wrażenie robi na panu Sharon Martin? Czy sądzi pan, że byłaby zdolna to zaplanować?

Roger zastanowił się chwilę.

- Wszystko przemawia za tym, że nie - odpowiedział.

- Jak pan ocenia jej związek z panem Petersonem?

Roger przypomniał sobie, jak kiedyś Sharon i Steve ich odwiedzili. Sprawiała wtedy wrażenie przygnębionej, więc Glenda spytała, czy coś jest nie w porządku. Gdy Steve wyszedł do kuchni po lód, Sharon powiedziała: „Och, to tylko dlatego, że Neil tak mnie odpycha od siebie”.

Wracając, Steve pieszczotliwie zwichrzył jej włosy. Roger pamiętał wyraz twarzy ich obojga.

- Myślę, że oni... byli... są... bardzo w sobie zakochani, bardziej niż każdemu z nich się wydaje - odrzekł. - Myślę, że Sharon martwiła się, że Neil jej nie akceptuje, oczywiście Steve też się tym przejmował. Był również w kiepskiej sytuacji finansowej. Utopił wszystkie oszczędności w „Wydarzeniach”. Jestem pewien, że to się opłaciło, ale wtedy się tym przejmował. Sam mi to powiedział.

- Była też ta sprawa Thompsona.

- Tak. Moja żona i ja mieliśmy nadzieję, że Sharon uda się go uratować. Glenda rozchorowała się na serce z powodu swego udziału w tym procesie.

- Czy Sharon chciała, aby Steve wstawił się u pani gubernator? - dopytywał się Hugh.

- Myślę, że zdawała sobie sprawę, iż on tego nie zrobi, a pani gubernator nie potraktowałaby przychylnie petycji opartej jedynie na emocjach. Proszę nie zapominać, że ostro ją krytykowano za dwa odroczenia egzekucji Thompsona.

- Pani Perry, co pan myśli o Luftsach? Czy możliwe, aby oni byli w to zamieszani? Próbują

zaoszczędzić jak najwięcej pieniędzy. Znają pański numer telefonu. Mogli wiedzieć o koncie bankowym.

Roger potrząsnął głową.

- Nie ma mowy. Jeśli Dora kupuje czasem coś dla Glendy, przez dwadzieścia minut upewnia się, czy dobrze oddała resztę pieniędzy. On też taki jest. Czasem odwozi mój samochód do naprawy i zawsze się chwali, ile dzięki niemu zaoszczędziłem. Obydwoje są chorobliwie uczciwi.

- Okay. Wiem, że zadzwoni pan do nas natychmiast, jak tylko pani Perry będzie miała coś do powiedzenia - zakończył rozmowę Hugh. Pożegnał się z Rogerem i wyszedł.

Na zewnątrz czekał na niego Hank Lamont. Coś w jego zachowaniu zdradzało, że ma nowe wiadomości. Hugh nie tracił czasu na wstępy.

- Co masz? - spytał.

- Pani Thompson...

- Co z nią?

- Wczoraj wieczorem rozmawiała z Sharon Martin!

- Co?! - Hugh był zaskoczony.

- Ronald nam powiedział. Don i Stan przesłuchali go dzisiaj w celi. Poinformowaliśmy go, że były pewne pogrożki pod adresem syna Petersona i ostrzeżyliśmy, że jeśli jego koledzy coś kombinują, lepiej abyśmy mieli ich nazwiska, zanim wpadną w poważne tarapaty.

- Nie wyjawiliście mu, że Neil i Sharon zostali porwani?

- Oczywiście, że nie.

- Co powiedział?

- On jest czysty. Jedyne odwiedzającymi go w ostatnim roku byli matka, prawnik i ksiądz z parafii. Jego najbliżsi koledzy ze szkoły są teraz na studiach. Podał nam ich nazwiska. Wszyscy znajdują się daleko stąd. Ale wspomniał, że Sharon dzwoniła do jego matki.

- Czy ktoś rozmawiał już z panią Thompson?

- Tak. Mieszka w motelu niedaleko więzienia. Odnaleźli ją.

- W motelu?

- Nie, w kościele. Niech Bóg jej pomoże, Hugh. Ta kobieta tam klęczy i modli się cały czas. Nie chce uwierzyć, że jej syn będzie jutro stracony. Nie wierzy w to. Powiedziała, że pani Martin zadzwoniła do niej parę minut przed szóstą. Chciała wiedzieć, czy może w czymś pomóc. Pani Thompson przyznała, że naskoczyła na Sharon i obwiniła ją o to, że jeździ po kraju, mówiąc, iż chłopiec jest winien. Zagroziła też, że nie odpowiada za siebie, jeśli chłopiec umrze. Co o tym sądzisz?

- Zastanówmy się nad tym - powiedział Hugh. - Sharon Martin zdenerwowała się rozmową... Może nawet pomyślała, że jest pewna prawda w tym, co mówi matka Thompsona. Jest zdesperowana i dzwoni po kogoś, aby przyjechał zabrać ją i chłopca. Planuje pokazową sztuczkę. Aranżuje wszystko tak, aby wyglądało na prawdziwe porwanie i robi z Neila zakładnika za życie Thompsona.

- Jest taka możliwość - przyznał Hank.

Twarz Hugh przybrała surowy wyraz.

- Myślę, że to więcej niż możliwość - odparł. - Myślę, że Peterson cierpi, a pani Perry jest na granicy ataku serca, bo Sharon Martin uważa, że może manipulować wymiarem sprawiedliwości.

- Co robimy?

- Traktujcie to nadal jako poważną poszlakę. Dokopcie się do wszystkiego, co dotyczy znajomych Sharon Martin, szczególnie do każdego, kogo zna w tej okolicy. Gdyby tak pani Perry przypomniała sobie, gdzie słyszała ten głos, ruszylibyśmy z kopyta.

Siedząc w swoim pokoju, Glenda w kółko przesłuchiwała nagranie. „Peterson... za dziesięć minut zadzwonię do ciebie do budki na stacji obsługi...”. Bezradnie potrząsnęła głową i wyłączyła magnetofon. Trzeba się do tego zabrać inaczej, pomyślała. Zaczynj sobie przypominać kilka ostatnich tygodni.

Wczoraj w ogóle nie wychodziła z domu. Zadzwoniła do apteki, rozmawiała też przez telefon z Agnes, a potem z Julie o zwrocie kosztów za szpital. Chip i Maria odezwali się z Kalifornii i pozwolili dziecku gaworzyć do słuchawki. To była jej ostatnia rozmowa przez telefon, zanim zadzwonił Foxy.

W niedzielę, tuż po kościele, pojechała z Rogerem do Nowego Jorku. Zjedli drugie śniadanie u Pierre'a i poszli do Carnegie Hall. Tego dnia z nikim nie rozmawiała przez telefon.

Sobota. Wybrała się do dekoratora w sprawie obić na meble. Poszła do fryzjera. A może to był piątek? Niecierpliwie potrząsnęła głową. To nie jest najlepszy sposób przypominania sobie, co robiła w ciągu ostatnich dni. Wstała z łóżka, wolno podeszła do biurka i sięgnęła po notes. I jeszcze odcinki rachunków. Wszystkie mają wypisaną datę. Pomogą jej przypomnieć sobie, gdzie była. I, oczywiście, książeczka czekowa. Wyjęła ją ze schowka, a rachunki z szuflady. Trzymając wszystko w ręku, wróciła do łóżka. Poprosi też Rogera, aby przyniósł jej ścienny kalendarz z kuchni. Czasem przypina do niego różne zapiski.

Skurcz w piersi urósł nagle do ostrego bólu. Sięgając po pastylkę nitrogliceryny, Glenda wcisnęła guzik magnetofonu i ponownie zaczęła przesłuchiwać kasetę. Raz jeszcze zduszony, gardłowy szepc zabrzmiał jej w uszach: „Peterson... za dziesięć minut zadzwonię do ciebie do budki na stacji obsługi...”.

Wracając z budki telefonicznej, myślał o kasecie. Czy, kiedy nagra już Sharon i chłopca, powinien to zrobić? Dlaczego nie?

Poszedł wprost na Grand Central. Lepiej wrócić do nich teraz, gdy jest jeszcze spory ruch. Strażnicy mają szósty zmysł, jeśli chodzi o ludzi przypadkowo znajdujących się na stacji.

Sharon i dzieciak pewnie nie jedli wczoraj kolacji. Będą głodni. Nie chciał, aby ona była głodna. Ale na pewno nie będzie jadła, jeśli nie nakarmi też chłopca. Myślenie o Neilu zawsze go denerwowało. Kilka tygodni temu o mało nie wpadł w panikę, gdy wyrżał z warsztatu i zobaczył tego dzieciaka, gapiącego się na niego z samochodu. W taki sam sposób jak we śnie: duże brązowe oczy z rozszerzonymi źrenicami, patrzące w oskarżycielski sposób. Zawsze oskarżające.

Jutro będzie po wszystkim. Musi kupić bilet lotniczy dla Sharon. Nie miał w tej chwili dość pieniędzy, lecz niedługo je zdobędzie. Mógłby zrobić rezerwację. Jakiego użyć nazwiska? Musi wymyślić dla niej nazwisko.

Wczoraj w dzienniku została przedstawiona jako pisarka i felietonistka. Jest bardzo znana i popularna. To cudowne, że tak bardzo go kocha.

Jest bardzo znana.

Występowała w dzienniku.

Dużo ludzi może ją rozpoznać.

Marszcząc brwi, zatrzymał się gwałtownie i został potrącony przez jakąś kobietę, szybko idącą za nim. Spojrzał gniewnie, więc powiedziała: „Och, przepraszam”, i minęła go pośpiesznie. Odprężył się. Nie miała zamiaru być nieuprzejma, właściwie to nawet uśmiechnęła się do niego, naprawdę się uśmiechnęła. Mnóstwo kobiet będzie się do niego uśmiechać, gdy się dowiedzą, jaki jest bogaty.

Szedł wolno wzdłuż alei Lexington. Autobusy rozarty świeży śnieg na brudną chlapę.

Szkoda, że nie mógł pójść do hotelu Biltmore. Tamten pokój był taki wygodny. Nigdy wcześniej nie mieszkał w takim miejscu.

Zostanie z Sharon i dzieciakiem do popołudnia. Potem wsiądzie w pociąg do Carley. Pójdzie do domu i sprawdzi, czy nie ma żadnych wiadomości.

Zastanawiał się też, gdzie zostawić kasetę. Peterson może nie zapłacić, jeśli jej nie dostanie.

Musi mieć pieniądze. To zbyt niebezpiecznie zostawać teraz w okręgu Fairfield.

Czy ostatnio ktoś nieoczekiwanie stąd wyjechał? - mogą wypytywać gliny.

On nie. Narzekał, że traci to miejsce, błagał starego o przedłużenie dzierżawy...

Ale to było przed dwiema ostatnimi dziewczynami. „Morderca CB” - tak nazywały go gazety. Gdyby tylko wiedzieli...

Poszedł nawet na pogrzeb tej Callahan. Na pogrzeb!

Nagle przyszło mu do głowy, gdzie powinien zostawić kasetę, aby mieć pewność, że zostanie odnaleziona i dostarczona jeszcze tego wieczoru.

Zadowolony wszedł rażno do baru Nedicksa, zamówił kawę, mleko i bułki. Zostanie z Sharon i Neilem jakiś czas, będą mogli zjeść trochę od razu, a resztę później, kiedy już wyjdzie. Nie chciał, aby Sharon myślała, że jest niemiły.

Opuszczając rejon torów do Mount Vernon, odniósł wrażenie, że ktoś go obserwuje. Zatrzymał

się i nasłuchiwał. Wydawało mu się, że coś usłyszał, więc wycofał się na palcach. Ale była to tylko jedna z tych wążających się kobiet - wlokła się rampą do poczekalni. Prawdopodobnie spała na peronie.

Z największą ostrożnością zdjął kawałek drutu przyklejony taśmą do drzwi. Delikatnie wyjął klucz i włożył w zamek. Otwierając drzwi po milimetrze, aby nie szarpnąć kablem, wśliznął się do pokoju i zamknął je za sobą.

Zapalił jarzeniówki i chrząknął z zadowoleniem. Sharon i chłopiec leżeli tak, jak ich zostawił. Dzieciak nie mógł go zobaczyć, bo miał opaskę na oczach, ale Sharon uniosła głowę. Położywszy pakunek, zbliżył się do niej i szybko wyrwał jej knebel z ust.

- Tym razem nie włożyłem go zbyt ciasno - powiedział. Zdawało mu się, że widział w jej oczach coś w rodzaju wyrzutu. Była bardzo zdenerwowana. Dostrzegł jej strach. Nie chciał, aby się go bała.

- Boisz się, Sharon? - Jego głos był przerażająco łagodny.

- Nie... Wcale nie...

- Przyniosłem wam jedzenie...

- Och, cieszę się, ale proszę, czy nie mógłby pan wyjąć knebla Neilowi... I proszę, czy nie mógłby pan nas rozwiązać, chociaż ręce... Tak jak przedtem?

Zmrużył oczy. Wyczuł jakąś zmianę.

- Oczywiście, Sharon. - Potarł nosem jej twarz.

Mając już swobodne ręce, wyciągnęła dłonie w stronę chłopca. Dzieciak skulił się przy niej.

- W porządku, Neil - powiedziała. - Pamiętaj, o czym rozmawialiśmy.

- O czym rozmawialiście, Sharon? - zapytał mężczyzna zaciekawiony.

- O tym, że tatuś Neila da panu pieniądze, których pan żąda, a pan jutro wyjaśni Steve'owi Petersonowi, gdzie może znaleźć syna. Powiedziałam, że ja jadę z panem, a jego tatuś będzie tu zaraz po naszym wyjściu, czyż nie tak?

- Jesteś pewna, że chcesz jechać, Sharon? - Z błyszczącymi, pełnymi wahania oczami zapytał zamyślonym głosem.

- O tak, bardzo. Ja... cię lubię, Foxy.

- Przyniosłem kilka bułek, kawę i mleko dla chłopca.

- To bardzo miło z twojej strony.

Poruszała zdrętwiałymi palcami. Patrzył, jak zaczyna masować nadgarstki Neila i odgarnia mu z czoła włosy. Sposób, w jaki ścisnęła ręce chłopca, przypominał sygnał lub tajemne porozumienie.

Odwrócił skrzynkę po pomarańczach i postawił na niej torbę.

- Gdzie jest mleko dla Neila? - zapytała.

Podał jej mleko. Obserwował, jak wkłada kartonik do ręki chłopca.

- Trzymaj, Neil. Tutaj. Pij wolno.

Chrapliwy oddech dzieciaka irytował go, niepokoił, budził wspomnienia. Mężczyzna wyjął bułki, posmarował je grubo masłem, tak jak lubił, i podał Sharon. Odłamała kawałek jednej z nich i dała chłopcu.

- Proszę, Neil, to bułka - powiedziała łagodnie.

Przyglądał się spode łba, jak jedzą. Miał wrażenie, jakby ona i chłopiec spiskowali przeciwko niemu. Przełknął kawę, prawie nie czując jej smaku. Nie zdejmował płaszcza. Było zimno, a poza tym nie chciał ubrudzić nowego garnituru. Zdjął torbę i postawił na podłodze, a sam usiadł na skrzynce.

Gdy skończyli jeść, Sharon wzięła Neila na kolana. Oddech chłopca był głośny i ciężki. Ten dźwięk szarpał mu nerwy. W dodatku Sharon wcale na niego nie patrzyła. Cały czas masowała

chłopcu plecy, mówiła do niego czule i namawiała, aby próbował zasnąć. Foxy patrzył, jak pocałowała go w czoło, a potem przytuliła jego głowę do swojego ramienia.

Jest bardzo wrażliwa i serdeczna, pomyślał. Pewnie dlatego stara się być miła dla chłopca. Może powinien pozbyć się go już teraz i pozwolić, aby stała się taka miła dla niego? Na jego ustach zaigrał uśmiezek, kiedy zaczął sobie wyobrażać, w jaki sposób Sharon mogłaby być miła dla niego. Te myśli napęłniły mu ciepłem całe ciało. W pewnej chwili zdał sobie sprawę z tego, że Sharon mu się przygląda i mocniej obejmuje chłopca ramionami. Chciał, aby te ramiona oplotły się wokół niego. Wstał, aby podejść do łóżka.

Stopą zawadził o magnetofon. Magnetofon! Kasetę, którą chciał Peterson! Jeszcze za wcześnie, aby pozbyć się chłopca. Rozczarowany i zły usiadł z powrotem.

Teraz zrobię nagranie dla Petersona - powiedział.

- Nagranie? - zapytała zdenerwowana.

Sekundę temu przysięgłaby, że zamierzał im zrobić coś złego. Miał taki dziwny wyraz twarzy. Próbowwała się zastanowić. Czy była jakaś szansa, jakieś wyjście? Od momentu, gdy Neil jej powiedział, że to ten człowiek zamordował jego matkę, jeszcze bardziej starała się znaleźć sposób, aby ich stąd wydostać. Jutro może być za późno zarówno dla Ronalda Thompsona, jak i dla Neila. Nie wiedziała, o której godzinie Foxy miał zamiar po nią wrócić. Jeżeli w ogóle po nią przyjdzie! Jest sprytny. Z pewnością zdaje sobie sprawę, że wcześniej czy później ktoś ją rozpozna. Wspomnienie akcji ratowania Thompsona było dla niej jak tortura i drwina. Jego matka miała rację. Upierając się przy winie tamtego chłopaka, pomogła go wysłać na krzesło elektryczne. Ale teraz nie liczyło się nic poza tym, aby uratować życie Neila i życie Ronalda. Cokolwiek jej się stanie, zasłużyła na to. I to ona zarzuciła Steve'owi, że próbuje odgrywać Boga!

Foxy miał rewolwer. Trzymał go w kieszeni płaszcza. Gdyby skłoniła go, aby ją objął, mogłaby sięgnąć po broń. Gdyby miała taką możliwość, czy potrafiłaby go zabić?

Spojrzała na Neila i pomyślała o skazanym chłopaku w więziennej celi. Tak, mogłaby zabić tego człowieka.

Przypatrywała się, jak wprawnie uruchamia magnetofon i wkłada kasetę. Był to kasetowy TWX, najpopularniejszy model. Nigdy nie zdołają go odnaleźć.

- Tutaj, Sharon, przeczytaj to. - Podał jej kartkę.

- „Steve, zapłać okup, jeśli chcesz nas mieć z powrotem. Pieniądze muszą być w dziesiątkach, dwudziestkach i pięćdziesiątkach. Osiemdziesiąt dwa tysiące dolarów. Zdobądź je i nie pozwól, aby były znaczone. Jedź własnym samochodem do budki na rogu Pięćdziesiątej Dziewiątej i Lexington o drugiej nad ranem. Bądź sam. Nie wzywaj policji”. - Skończyła czytać i spojrzała na Foxy'ego. - Czy mogę coś dodać? Chodzi o to, że się pokłóciliśmy. Zerwaliśmy ze sobą... Chyba... Może nie będzie chciał za mnie zapłacić, jeśli go nie przeproszę. Wiesz, jest bardzo uparty. Może Steve zapłaci za Neila... połowę sumy, bo wie, że ja go nie kocham. Ale przecież będziemy potrzebowali wszystkich tych pieniędzy, prawda?

- Co chcesz powiedzieć, Sharon? - Czy jej uwierzył?

- Tylko przeprosiny, tylko tyle. - Próbowwała się uśmiechnąć. Zsunęła Neila z kolan, wyciągnęła rękę i pogładziła dłoń mężczyzny.

- Żadnych sztuczek - upomniał ją.

- Dlaczego miałabym cię oszukiwać? Co chcesz, żeby Neil powiedział?

- Tylko tyle, że chce wrócić do domu. Nic więcej. - Zatrzymał palec nad przyciskiem magnetofonu. - Kiedy go wcisnę, zacznij mówić. Mikrofon jest wbudowany.

Przełknęła ślinę i odczekała, aż kasetę zacznie się nawijać.

- „Steve...” - Odczytała wiadomość powoli, starając się zyskać na czasie i próbując w myślach sformułować to, co chciała powiedzieć później. Skończyła czytać i zrobiła pauzę.

Wpatrywał się w nią z uwagą.

- Steve... - Musiała wreszcie zacząć. - Steve, teraz Neil będzie do ciebie mówił. Ale najpierw, nie miałam racji... Mam nadzieję, że mi przebaczysz...

Szczęknął wyłącznik. Właśnie miała powiedzieć: „Zrobiłam straszny błąd”.

- Dość, Sharon. To wystarczające przeprosiny. - Wskazał na Neila.

Objęła go ramieniem.

- W porządku, Neil. Teraz ty mów do tatusia.

- Tatusiu, nic mi nie jest. Sharon... się mną opiekuje. Ale, tato, mamusia nie chciałaby, żebym był tutaj.

Magnetofon został wyłączony. Neil też próbował przekazać Steve’owi wiadomość, usiłował połączyć ich porwanie ze śmiercią matki.

Mężczyzna cofnął kasetę i przesłuchał ją. Uśmiechnął się do Sharon.

- Bardzo ładnie. Zapłaciłbym, aby was odzyskać, gdybym był Petersonem.

- To dobrze. Cieszę się, że jesteś zadowolony. - Czy umyślnie się z nią droczył?

- Sharon... - Neil sięgnął po omacku do jej rękawa i szarpnął go. - Ja muszę...

- Chcesz iść do kibla, dzieciaku? - spytał Foxy. - Założę się, że musisz po tylu godzinach.

Podszedł do chłopca, podniósł go i wszedł z nim do toalety, zamykając drzwi. Sharon zamarła w oczekiwaniu, ale prawie natychmiast mężczyzna wrócił, niosąc Neila pod pachą. Zauważyła, że trzymał go plecami do siebie, jakby się bał, że chłopiec może widzieć przez opaskę. Położył go na łóżku.

- Sharon? - odezwał się drżącym głosem Neil.

- Jestem tu. - Wysunęła rękę w stronę jego pleców.

- Sharon, ty też chcesz? - Porywacz skinął głową w stronę toalety.

- Tak.

Chwytał ją za ramię i niemal unosząc w powietrzu, zaprowadził do zatęchłej kłitki. Sznury wpiły się jej w mięśnie i kostki, aż wzdrygnęła się z bólu.

- Tu jest zasuwka, Sharon - powiedział. - Możesz ją zasunąć, jeśli chcesz, bo inaczej drzwi się nie zamkną. Ale lepiej zaraz wychodź. - Pogładził ją po policzku. - Bo jeśli nie, a ja się wkurzę, to chłopak oberwie. - Odsunął się, zamykając za sobą drzwi.

Szybko zasunęła zasuwkę i rozejrzała się wokoło. W ciemności panującej w małej kabinie, wyczuła rękami coś ostrego. Obmacała też podłogę.

- Pośpiesz się, Sharon.

- W porządku...

Kiedy zaczęła otwierać drzwi, zepsuta klamka zwisała jej w dłoni. Chciała ją urwać i schować do kieszeni spódnicy. Ale, niestety, nie potrafiła jej zdjąć.

- Wychodź stamtąd! - zawołał porywacz głosem pełnym irytacji.

Szybko otworzyła drzwi. Próbowwała wyjść, ale mając spętane nogi, potykała się niezdarnie. Gdy mężczyzna podszedł do niej, umyślnie objęła go za szyję. Przewyciężając wstręt, pocałowała złoczyńcę w policzek i w usta. Poczowała, jak gwałtownie zaczyna bić mu serce.

Przesuwała ręce wzdłuż jego ramion i pleców, palcami delikatnie pieściła szyję. W końcu bardzo ostrożnie wsunęła prawą dłoń do kieszeni płaszcza i dotknęła metalu.

Pchnął ją do tyłu. Upadła na betonową posadzkę z nogami podkurczonymi pod siebie. Ostry ból przeszył jej prawą kostkę.

- Jesteś taka jak cała reszta, Sharon! - wrzasnął.

Widziała go przez fale bólu, które sprawiły, że dopiero co zjedzony posiłek dławił ją w gardle. Kiedy się nad nią nachylił, jego twarz wydawała się oddzielona od reszty ciała, czerwone plamy podkreślały ostre linie policzków, a oczy były jak wąskie, czarne otwory zięjące wściekłością. Pod jednym pulsowała żyła.

- Ty suko - powiedział. - Ty suko.

Poderwawszy ją do góry, rzucił na łóżko z rękami wykręconymi do tyłu. Ból otoczył ją wielką mglistą czernią.

- Moja kostka... - Czy to był jej głos?

- Sharon!... Sharon!... Co się stało? - pytał Neil przerażony.

Z ogromnym wysiłkiem zdusiła w sobie jęk.

- Przewróciłam się - odpowiedziała drżącym głosem.

Tak jak wszystkie inne... Udawała... Nawet gorzej... Próbowwała mnie nabrać... Wiedziałem, że mnie oszukujesz... kłamiesz... wiedziałem... Dłonie mężczyzny zaciskały się na jej szyi.

- Nie - wykrztusiła. Ucisk zniknął. Głowa opadła jej do tyłu.

- Sharon! Sharon! - Neil płakał, głos mu się łamał ze zdenerwowania.

Z trudem łykając powietrze, przysunęła twarz do twarzy chłopca. Powieki miała bardzo ciężkie. Zmusiła się, aby je unieść. Foxy stał przy zardzewiałym zlewie i spryskiwał twarz zimną wodą. Próbował się uspokoić. Był bliski zabicia jej. Co go powstrzymywało? Może uznał, że będzie jej jeszcze potrzebował? Zagryzła wargi z bólu. Nie było żadnego wyjścia, żadnego. Jutro, kiedy otrzyma pieniądze, zabije ją i Neila. A Ronald Thompson umrze za zbrodnię, której nie popełnił. Ona i Neil jako jedyni mogli udowodnić jego niewinność. Kostka Sharon puchła, rozpychając skórzany but. Więzy wrzynały się w ciało. Drżała z bólu, twarz pokrywały jej kropelki potu.

Patrzyła, jak Foxy wyciera twarz chustką do nosa. Potem podszedł i metodycznie związał na nowo ręce Neila. Założył obojgu kneble i przyłączył kabel z walizki do drzwi.

- Wychodzę, Sharon - powiedział. - Wrócę jutro. Wrócę jeszcze raz...

Nie zamierzał tak wcześnie wychodzić, ale wiedział, że jeśli zostanie choć chwilę dłużej, to ją zabije. A mógł jej jeszcze potrzebować, gdyby żądali więcej dowodów na to, że ona i chłopiec są żywi. Musi mieć pieniądze. Nie może ryzykować, zabijając ją teraz.

O jedenastej przyjeżdżał pociąg z Mount Vernon. Musiał poczekać parę minut, aż nadjedzie. Stał obok wejścia do tunelu.

Kroki. Przykleił się do ściany i wyjrzał ostrożnie. Strażnik! Mężczyzna rozglądał się uważnie, chodził tam i z powrotem, z ciekawością przyglądając się rurom i otworom wentylacyjnym, rzucił okiem na schody do pomieszczenia i odszedł wolno z powrotem na peron.

Foxy czuł, jak lodowaty pot pokrywa mu całe ciało. Szczęście go opuszczało, czuł to. Musi zakończyć sprawę i wynosić się stąd. Usłyszał łomot i pisk hamulców. Ostrożnie dostał się na peron i wtopił w tłum wysiadających pasażerów.

Dochodziła jedenasta. Nie chciał siedzieć w hotelu, był zbyt niespokojny. Idąc na zachód przez Czterdziestą Drugą, trafił do kina. Przez cztery i pół godziny oglądał filmy porno, które drażniły jego zmysły i zaspokajały potrzeby. Pięć minut po czwartej był w pociągu do Carley.

Nie widział Petersona, dopóki ten nie wszedł do przedziału. Foxy akurat podniósł wzrok, kiedy facet przechodził. Na szczęście mężczyzna był już zasłonięty gazetą.

Steve niósł ciężką walizkę.

To byty pieniądze! Foxy był tego pewien. I dzisiaj wieczorem on je dostanie. Wrażenie nadchodzącej katastrofy go opuściło. Z ufnością i w dobrym humorze opuścił stację w Carley,

upewniwszy się, że Peterson odjechał. Zwawo przedzierał się przez śnieg osiem przecznic do swojego domu - niechlujnego garażu przy ślepej uliczce. Napis głosił: „A.R. Taggert - naprawa samochodów”.

Otworzył drzwi i szybko wszedł do środka. Nie znalazł żadnych kartek wetkniętych pod drzwi. To dobrze. Nikt nie próbował się z nim zobaczyć. A jeśli nawet, to jego nieobecność nikogo nie powinna dziwić. Często naprawiał ludziom samochody przed ich własnymi domami.

Garaż był zimny i brudny, wyglądał niewiele lepiej niż ukryty pokój na Grand Central. Nie ulegało wątpliwości, że Foxy zawsze pracował w cuchnących norach.

Stał tu jego samochód, gotowy do jazdy. Zatankował go ze zbiornika na rogu. Zainstalowanie tej pompy było najlepszym pomysłem, jaki miał kiedykolwiek. Wygodna dla klientów, gdyż zawsze mogli mieć pełen bak paliwa, i poręczna dla niego. Umożliwiała jeżdżenie nocą po autostradzie. „Zabrakło pani benzyny? Akurat mam trochę w bagażniku. Samochody to moja specjalność...”.

Samochód był wyposażony w stary komplet tablic rejestracyjnych, które Foxy wymienił klientowi kilka lat temu. To na wszelki wypadek, gdyby dziś w nocy czyjeś wścibskie oczy zanotowały numery. Zdjął z uchwyty CB-radio i umieścił na przednim siedzeniu. Pozbył się wszystkich innych tablic rejestracyjnych, zgromadzonych w ciągu sześciu lat, a także zapasowych kluczyków, które sam zrobił.

Na półkach wałało się trochę starych narzędzi i części zamiennych, w kątach stało kilka ułożonych w stos opon. Niech stary Montgomery się martwi, jak się ich pozbyć. I tak miał zamiar zburzyć garaż, więc będzie miał kupę szmelcu do usunięcia.

Był tu po raz ostatni, tak czy owak. Przez ostatnie miesiące niewiele pracował, ponieważ stał się zbyt nerwowy. Całe szczęście, że miał większą robotę przy aucie Voglerow. Pozwoliło mu to przetrwać.

No i po wszystkim.

Wszedł do małego, niechlujnego pokoju na zapleczu i spod wąskiego łóżka wyciągnął zniszczoną walizkę. Ze starej drewnianej komody wyjął niewielki zapas bielizny i skarpet. Zdjął z wieszaka czerwoną, sportową marynarkę, wytartą i źle skrojoną, oraz kraciaste spodnie. Wszystko to włożył do walizki. Tłusty od brudu kombinezon rzucił na łóżko. Zostawi go tutaj, nie będzie więcej potrzebował tego ubrania.

Z kieszeni płaszcza wyjął magnetofon i jeszcze raz przesłuchał kasetę z nagraniem Sharon i Neila. Drugi magnetofon leżał na komodzie. Przeniósł go na łóżko, poszperał w kasetach, wybrał jedną i włączył. Potrzebował tylko początku taśmy.

To było to.

Znowu puścił kasetę z nagraniem Sharon i Neila do momentu, aż przebrzmiał głos chłopca. Wtedy nacisnął guzik nagrywania. Na drugim magnetofonie włączył odtwarzanie.

Zajęło to tylko minutę. Gdy skończył, przegrał jeszcze raz całe nagranie, które miał wysłać Petersonowi. Doskonale! Doskonale! Zawinął kasetę w kawałek brązowego papieru, zabezpieczając pakunek taśmą klejącą. Czerwonym flamastrem napisał wiadomość na wierzchu paczki.

Pozostałe kasety i obydwa magnetofony ułożył w walizce pomiędzy zwiniętymi ubraniami, dokładnie ją zamknął i zaniósł do samochodu.

Wystarczy, że musi jakoś wnieść na pokład samolotu walizkę z pieniędzmi. Ta i radio mogą lecieć w luku bagażowym.

Otworzył drzwi garażu, wszedł do samochodu i włączył silnik.

- A teraz do kościoła i na piwo! - szepnął do siebie.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedział Steve do Hugh beznamiętnym głosem. - W dodatku naraża pan życie Neila i Sharon, traktując to jako upozorowaną sztuczkę.

Dopiero co wrócił z Nowego Jorku. Chodził tam i z powrotem po salonie z rękami wciśniętymi w kieszenie. Hugh obserwował go z mieszaniną współczucia i irytacji. Ten biedak trzymał nerwy w żelaznych karchach, ale w ciągu ostatnich dziesięciu godzin postarzał się o dziesięć lat. Hugh zauważył, że nawet od dzisiejszego ranka Petersonowi przybyło zmarszczek wokół oczu i ust.

- Panie Peterson - odrzekł cierpko - zapewniam pana, że wierzymy, iż to jest rzeczywiste porwanie. Zaczynamy jednakże przypuszczać, że zniknięcie Sharon i Neila będzie bezpośrednio powiązane z próbą negocjacji w sprawie ułaskawienia Ronalda Thompsona.

- A ja mówię, że nie! - niemal krzyknął Steve. - Nie było wiadomości od Glendy? - dodał po chwili już spokojniejszym tonem.

- Obawiam się, że nie - odpowiedział Hugh.

- I ani śladu taśmy czy kasety od porywacza? - dopytywał się Steve.

- Przykro mi.

- Możemy więc tylko czekać?

- Tak. Niech pan się przygotuje na wyjazd do Nowego Jorku koło północy.

- Telefon nie zadzwoni wcześniej niż o drugiej. - Steve był zdziwiony decyzją o tak wczesnym wyjeździe.

- Warunki drogowe, panie Peterson, są dość trudne - wyjaśnił Hugh.

- Czy sądzi pan, że Foxy może się obawiać spotkania ze mną? Może się bać, że nie będzie mógł uciec?

Hugh potrząsnął głową.

- Wiem tyle co pan. Założyliśmy, ma się rozumieć, podsłuch w budce przy Pięćdziesiątej Dziewiątej. Ale podejrzewam, że porywacz skieruje pana natychmiast gdzie indziej, tak jak poprzednio. Nie możemy ryzykować założenia mikrofonu w pańskim samochodzie, bo Foxy może dosięść się do pana. Umieścimy agentów w otaczających budynkach, którzy będą mogli śledzić pana posunięcia. Obstawimy też teren naszymi autami, z których będą pana obserwować. Proszę się nie martwić, nie będzie nas widać. Sygnalizator w walizce pozwoli nam pana śledzić z odległości paru przecznic.

Dora zajrzała do salonu.

- Przepraszam - powiedziała zmienionym głosem.

Onieśmiał ją chłodny sposób bycia Hugh. Nie podobało jej się to, w jaki sposób obserwował ją i Billa. To, że Bili lubi wypić, nie znaczy, że nie jest porządnym człowiekiem. Napięcie ostatnich dwudziestu czterech godzin było ponad jej siły. Przez ostatnie dwa lata pan Peterson tyle wycierpiał! Takiego dobrego człowieka, nie powinno znowu spotkać nieszczęście. Dora wierzyła, że Steve odzyska Sharon i Neila, a wtedy ona i Bili odejdą. Już czas jechać na Florydę. Starzała się, była zbyt zmęczona, aby opiekować się dzieckiem i tym domem. Neil potrzebuje kogoś młodego, z kim mógłby się dogadać. Wiedziała, że za bardzo się nad nim trzęsie.

Och, Neil. Wydawał się takim szczęśliwym, małym chłopcem, kiedy żyła jego matka. Nie miał

wtedy astmy, rzadko się przeziębiał, a te wielkie, brązowe oczy były zawsze błyszczące, nie takie zagubione i smutne jak teraz.

Pan Peterson powinien się szybko ożenić, jeśli nie z Sharon, to z kimś, kto stworzy tu prawdziwy dom.

Dora zdała sobie sprawę, że Steve patrzy na nią pytająco. Chyba coś do niego mówiła. Nie mogła się skupić, była roztrzęsiona. Nie zmrużyła oka przez całą noc. Co to ona chciała powiedzieć? Ach, tak.

- Wiem, że pan nie ma apetytu - zaczęła nieśmiało - ale może przygotuję stek dla pana i pana Taylora?

- Dla mnie nie, dziękuję, Doro. Może pan Taylor...

- Proszę usmażyć steki dla nas obu. - Hugh położył rękę na ramieniu Steve'a. - Proszę posłuchać, nie jadł pan nic od wczoraj. Będzie pan całą noc na nogach. Musi pan być w formie, dojechać tam i działać zgodnie ze wskazówkami.

- Chyba ma pan rację - zgodził się Steve. Dochodzili do jadalni, gdy zadzwonił dzwonek u drzwi. Hugh podskoczył.

- Ja otworzę.

Steve zmiął serwetkę, którą właśnie miał rozłożyć na kolanach. Czy usłyszy głos Neila... głos Sharon?

Hugh wprowadził młodego, ciemnowłosego mężczyznę, który wyglądał znajomo... Oczywiście, obrońca Ronalda Thompsona, Kurner. Tak się nazywał, Robert Kurner. Był podekscytowany i wyglądał nieporządnie. Miał rozpięty płaszcz i pognieciony garnitur, jakby w nim spał.

- Panie Peterson - odezwał się od drzwi. - Przyszedłem porozmawiać o pana synu.

- O moim synu? - Steve poczuł na sobie ostrzegawcze spojrzenie Hugh. Zaciśnął pięści. - Co z moim synem? - zapytał.

- Panie Peterson, broniłem Ronalda Thompsona. Spieprzyłem sprawę.

- To nie pana wina, że Ronald Thompson został skazany - powiedział Steve. Nie patrzył na młodego człowieka. Wpatrywał się w stek. Odsunął talerz. Czy Hugh miał rację? Czy porwanie było, mimo wszystko, trikiem?

- Panie Peterson, Ron nie zamordował pańskiej żony. Został skazany, bo większość przysięgłych świadomie lub nieświadomie sądziła, że zabił również tę Carfolli i panią Weiss.

- Był już notowany - wtrącił Steve.

- Notowany jako nieletni, za pojedyncze wykroczenie.

- Zaatakował kiedyś dziewczynę, dusił ją... - kontynuował Steve.

- Panie Peterson, był wtedy piętnastoletnim chłopakiem. Na prywatce przyłączył się do zawodów w picie piwa. Który dzieciak ze szkoły średniej nie chce się w pewnym momencie popisać dorosłością? Kiedy był kompletnie zalany, ktoś podrzucił mu kokainę. Nie wiedział, co robi. Zupełnie nie pamiętał, że dotknął tej dziewczyny. Wiemy wszyscy, jak działa połączenie narkotyków i alkoholu. Ron miał cholernego pecha: wpadł w poważne tarapaty za pierwszym i jedynym razem, gdy się upił. Przez następne dwa lata nie wypił nawet piwa. Ale miał niewiarygodnego pecha i przyszedł do pana domu tuż po tym, gdy pańska żona została zamordowana. - Głos Kurnera drżał, ale słowa, które mówił, padały szybko. - Panie Peterson, przestudiowałem sprawozdanie z sądu. Wczoraj kazałem Ronowi w kółko powtarzać wszystkie szczegóły, o których mówił, na temat tego, co zrobił pomiędzy chwilą, gdy rozmawiał z panią Peterson w sklepie, a momentem, kiedy znalazł jej ciało. I zrozumiałem, jaki popełniłem błąd. Panie Peterson, pański syn, Neil, powiedział, że schodził po schodach i wtedy usłyszał jęki pańskiej żony. Widział, jak jakiś mężczyzna ją dusił, a potem

widział jego twarz...

- Twarz Ronalda Thompsona - dokończył Steve.

- Nie! Nie! Nie rozumie pan? Proszę, niech pan spojrzy do sprawozdania. - Robert rzucił aktówkę na stół, wyciągnął z niej gruby plik kartek i zaczął je przerzucać, aż znalazł właściwą stronę. - Tutaj. Oskarżyciel spytał Neila, dlaczego jest taki pewny, że to Ron. I Neil powiedział: „Zrobiło się jasno, więc jestem pewny”. Przegapiłem to. Przegapiłem. Kiedy wczoraj Ron w kółko powtarzał swoje zeznanie, powiedział, że zadzwonił do frontowych drzwi, a potem odczekał parę minut i zadzwonił ponownie. Neil nie powiedział ani słowa o tym, że słyszał dzwonek. Ani słowa!

- To niczego nie dowodzi - przerwał Hugh. - Neil znajdował się na górze i bawił się pociągami. Prawdopodobnie był tym dość zaabsorbowany, a kolejka jest hałaśliwa.

- Nie... nie... bo powiedział: „Zrobiło się jasno”. Panie Peterson, o to mi chodzi. Ron zadzwonił do frontowych drzwi. Począł, zadzwonił jeszcze raz, obszedł dom dookoła. Dał mordercy czas na ucieczkę. To dlatego tylne drzwi były otwarte. Ron włączył kuchenne światło. Czy pan nie rozumie? Powodem, dla którego Neil widział wyraźnie twarz Rona, było to, że z kuchni padało światło. Panie Peterson, mały chłopiec zbiega po schodach i widzi, jak ktoś dusi jego matkę. W salonie było ciemno, proszę o tym pamiętać. Palilo się tylko światło w korytarzu. Czyż nie jest możliwe, że doznał szoku, a może nawet zemdlął? Wiadomo, że zdarza się to nawet dorosłym. A kiedy odzyskał świadomość, ujrzał - ujrzał - bo teraz z kuchni wpadało do salonu światło, kogoś pochylającego się nad matką, kogoś, kto dotyka jej szyi. Ron próbował wtedy zdjąć chustkę, ale to było niemożliwe, zawiązano ją bardzo mocno. Uzmysłował sobie, że kobieta jest martwa i że on może być w to wszystko zamieszany. Wpadł w panikę i uciekł. Gdyby to on był zabójcą, czy zostawiłby świadka takiego jak Neil? Czy zostawiłby przy życiu panią Perry, wiedząc, że prawdopodobnie go rozpozna? Robiła przecież zakupy w sklepie, w którym on pracował! Zabójca nie zostawia świadków, panie Peterson.

Hugh potrząsnął głową.

- To się na nic nie zda. Nie ma w tym ani odrobiny dowodu. To tylko spekulacje - oświadczył.

- Ale Neil może nam dostarczyć dowodu - odrzekł błagalnie Bob. - Panie Peterson, czy zgodzi się pan poddać Neila hipnozie? Rozmawiałem dzisiaj z kilkoma lekarzami. Mówią, że jeśli chłopiec tłumi coś w sobie, mogłoby to zostać ujawnione za pomocą hipnozy.

- To niemożliwe. - Steve zagryzł wargi. Był bliski wykrzyczenia, że nie można zahipnotyzować dziecka, którego nie ma, które porwano. - Proszę stąd wyjść - powiedział stanowczo. - Niech pan sobie idzie.

- Nie, nie wyjdę! - Bob zawahał się, po czym ponownie sięgnął do aktówki. - Przykro mi to panu pokazywać, panie Peterson. Nie chciałem tego robić. Studiowałem je dokładnie. To są zdjęcia zrobione w tym domu po morderstwie.

- Czy pan oszalał? - Hugh wyrwał mu fotografie. - Skąd, do diabła, pan je wziął? Stanowią dokument państwowy.

- Nieważne, skąd je wziąłem. Proszę spojrzeć na to, o! kuchnia. W oprawce na suficie nie ma klosza. To znaczy, że światło mogło być niezwykle silne.

Kurner pchnął na oścież drzwi do kuchni, niemal przewracając Dorę i Billa Luftsów, którzy stali tuż za nimi. Nie zwracając na nich uwagi, przyciągnął krzesło pod lampę, wskoczył na nie i szybko odkręcił klosz. W pomieszczeniu zrobiło się jaśniej. Adwokat pobiegł z powrotem do jadalni i pstryknął wyłącznikiem, a potem pośpieszył na korytarz i włączył tam światło. W końcu pogasił lampy w salonie.

- Spójrzcie!... Zajrzyjcie do salonu, wszystko jest doskonale widoczne. Teraz proszę poczekać. -

Pobiegł znowu do kuchni i wyłączył światło.

Steve i Hugh siedzieli osłupiali przy stole, patrząc na niego. Pod dłonią Petersona leżała fotografia ciała Niny.

Popatrzcie - błagał Bob. - Gdy światło w kuchni zostanie zgaszone, salon wydaje się prawie ciemny. Wyobraźcie sobie, że wy jesteście dzieckiem schodzącym po schodach. Proszę... Stańcie w korytarzu na półpiętrze. Zajrzyjcie do salonu. Co mógł zobaczyć Neil? Tylko zarys sylwetki. Ktoś atakuje jego matkę. Chłopiec mdleje. Nie słyszy dzwonka. Proszę o tym pamiętać, NIE SŁYSZY DZWONKA! Zabójca ucieka. Przez ten czas, kiedy Ron dzwoni, czeka, dzwoni po raz drugi, wreszcie obchodzi dom, morderca znika. Ron prawdopodobnie ocalił życie pańskiemu dziecku, przychodząc tu wtedy.

Czy to możliwe, zastanawiał się Steve. Czy możliwe, że Thompson jest niewinny? Stał w korytarzu, gapiąc się w głąb salonu. Co widział Neil? Czy mógł stracić przytomność na kilka minut?

Hugh minął go i wszedł do salonu. Zapalił lampę.

- To nie wystarczy - oświadczył głucho. - To spekulacje, tylko spekulacje. Nie ma ani śladu dowodu na ich poparcie.

- Sam Neil może dostarczyć nam dowodu. Jest naszą jedyną nadzieją. Panie Peterson, błagam, aby pan pozwolił na przesłuchanie syna. Jestem w kontakcie telefonicznym z doktorem Michaeliem Lane. Zgadza się przyjść tu dziś wieczorem i zadać Neilowi pytania. Panie Peterson, proszę, niech pan da Ronowi tę szansę!

Steve spojrzał na Hugh. Dostrzegł jego nieznaczny, przeczący ruch głowy. Gdyby powiedział, że Neil został porwany, prawnik uczepliłby się tego i sugerowałby, że jest to powiązane ze śmiercią Niny. To spowodowałoby rozgłos i mogłoby oznaczać koniec nadziei na bezpieczne odzyskanie Neila i Sharon.

- Mój syn wyjechał - oznajmił. - Były pogrożki pod... moim adresem... z powodu stanowiska, jakie zajmuję w sprawie kary śmierci. Nie. Nie zdradzę nikomu jego miejsca pobytu.

- Nie zdradzi pan nikomu jego miejsca pobytu - powtórzył Kurner. - Panie Peterson, niewinny dziesiętnastoletni chłopiec umrze jutro rano za coś, czego nie zrobił.

- Nie mogę panu pomóc. - Spokój opuszczał Steve'a. - Proszę się stąd wynosić. Niech pan się wynosi i zabierze ze sobą te przeklęte fotografie.

Bob zrozumiał, że nic nie wskóra. Wrzucił do aktówki sprawozdanie sądowe i zgarnął fotografie. Zaczął zamykać teczkę, ale nagle sięgnął do środka i wyszarpnął z niej kopie zeznania Rona. Rzucił je na stół.

- Niech pan to przeczyta, panie Peterson - powiedział. - Niech pan to przeczyta i osądzi, czy to zeznanie mordercy. Ron został skazany na krzesło elektryczne, ponieważ ludzie w okręgu Fairfield byli wstrząśnięci morderstwami Carfolli i Weiss tak samo jak morderstwem pana żony. W ostatnich kilku tygodniach zdarzyły się dwa następne morderstwa samotnych kobiet, jadących samochodami po pustych drogach, wie pan o tym. Przysięgam na Boga, że te cztery morderstwa są ze sobą powiązane i przysięgam, że w jakiś sposób morderstwo pańskiej żony także ma z nimi związek. Tamte kobiety zostały uduszone własnymi chustkami lub paskami, proszę o tym nie zapominać. Jedyna różnica jest taka, że z jakiegoś powodu morderca zdecydował się przyjść do pańskiego domu. Ale każda z owych pięciu kobiet umarła w ten sam sposób.

Bob wyszedł, zatraskując za sobą frontowe drzwi. Steve spojrzał na agenta.

- I co teraz z pańską teorią, że porwanie jest związane z jutrzejszą egzekucją? - spytał oskarżycielskim tonem.

Hugh pokiwał głową.

- Wiemy jedynie, że Kurner nie należy do spisku, ale też nigdy nie podejrzewaliśmy, że należy - odpowiedział.

- Czy jest jakaś szansa, jakakolwiek szansa, że ma rację co do śmierci Niny?

- Chwytny się nitek. Wszystko to są domysły i „gdybanie”. On jest prawnikiem, który próbuje uratować swojego klienta.

- Gdyby Neil był tutaj, pozwoliłbym, aby ten doktor z nim porozmawiał i nawet go zahipnotyzował, jeśli byłaby taka potrzeba. Od tamtej nocy Neil miewał powtarzające się koszmary senne. W zeszłym tygodniu znowu zaczął o tym wspominać.

- Co powiedział? - zainteresował się Hugh.

- Coś o tym, że się boi i nie może zapomnieć. Rozmawiałem z psychiatrą w Nowym Jorku, który zasugerował, że być może chłopiec coś w sobie tłumi. Hugh, niech mi pan powie szczerze, czy jest pan przekonany, że Ronald Thompson zabił moją żonę?

Agent wzruszył ramionami.

- Panie Peterson, jeśli dowody są tak oczywiste, jak były w tym przypadku, nie da się wyciągnąć żadnych innych wniosków.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

- Odpowiedziałem w jedyny sposób, w jaki mogę. Ten stek pewnie już nic nie jest wart, ale, proszę, niech pan zje trochę.

Przeszli do jadalni. Steve ułamał kawałek bułki i sięgnął po kawę. Spisane zeznania Rona leżały tuż przy jego łokciu. Podniósł pierwszą stronę i zaczął czytać;

„Byłem załamany tym, że stracę pracę, ale rozumiałem, że pan Timberly potrzebuje kogoś, kto mógłby pracować więcej godzin dziennie. A ja miałem zamiar dostać się do college’u i może nawet otrzymać stypendium. Musiałem dużo czasu poświęcić na naukę, nie mogłem więc dłużej pracować. Pani Peterson słyszała, co mówił pan Timberly. Powiedziała, że jest jej przykro i że zawsze bytem taki miły, zanosząc jej zakupy do samochodu. Spytała, jaką pracę chciałbym dostać. Powiedziałem, że w lecie zajmowałem się malowaniem domów. Szliśmy do samochodu. Odrzekła, że dopiero się tu sprowadzili i jest dużo malowania... W środku domu i na zewnątrz... I zaprosiła mnie, abym przyszedł i obejrzał wszystko. Wkładałem zakupy do bagażnika. Powiedziałem, że chyba to mój szczęśliwy dzień i sprawdza się to, co zawsze powtarza moja mama: pech może zamienić się w szczęśliwy los. Potem żartowaliśmy i ona oświadczyła, że w takim razie to jest także jej szczęśliwy dzień, ponieważ ma miejsce w bagażniku na te wszystkie cholerne zakupy. Dodała, że nie cierpi robić zakupów, dlatego zawsze kupuje tak dużo naraz. To było o czwartej. Potem...”

Steve przestał czytać. Szczęśliwy dzień Niny. Szczęśliwy dzień! Odepchnął od siebie kartki.

Zadzwonił telefon. Podskoczyli obydwaj, on i Hugh. Agent pobiegł do gabinetu, gdzie był drugi aparat, Steve rzucił się do telefonu w kuchni.

- Steve Peterson - odezwał się opanowanym głosem.

- Panie Peterson, tu ojciec Kennedy z kościoła Świętej Moniki. Obawiam się, że zdarzyło się coś dziwnego...

Steve poczuł, jak coś ściska go w gardle. Mówienie sprawiało mu trudność.

- Co takiego, ojciec? - wykrztusił.

- Dwadzieścia minut temu, kiedy wyszedłem przed ołtarz odprawić wieczorną mszę, znalazłem paczuszkę opartą o drzwi. Niech pan pozwoli, że odczytam, co jest na niej napisane. „Dostarczyć Steve’owi Petersonowi natychmiast. Sprawa życia lub śmierci”. I pański numer telefonu. Czy to może być jakiś kawał?

Steve poczuł pot na dłoniach.

- Nie, to nie jest kawał. To może być ważne. Zaraz po to przyjadę, ojcze, i proszę nic nikomu o tym nie mówić.

- Oczywiście, panie Peterson. Będę na plebanii.

Pół godziny później Steve wrócił. Hugh czekał na niego z magnetofonem. Z posępnyimi twarzami pochylili się nad urządzeniem. Przez moment słyszeli jedynie przytłumiony, zgrzytliwy odgłos, a potem głos Sharon. Steve zbladł. Hugh ścisnął go za ramię. Wiadomość. Powtarzała wiadomość od porywacza. Co miała na myśli, mówiąc, że się myliła? Co miał jej wybaczyć?

Było coś dziwnego w jej nagle przerwanych słowach. Jakby zostały ucięte. Neil... To był ten zgrzytliwy dźwięk - Neil, dławiący się z powodu astmy. Steve słuchał urywanego głosu syna. Dlaczego wspomniał matkę? Dlaczego teraz?

Zacisnął z całej siły pięści i podniósł je do ust, aby stłumić łkanie, które nim wstrząsnęło.

- To wszystko - powiedział Hugh. Wyciągnął rękę. - Przesłuchamy to jeszcze raz.

Ale zanim zdołał nacisnąć przycisk „stop”, rozległ się ciepły, roześmiany głos, melodyjny i zapraszający: - „O, jak miło z pana strony, proszę wejść”.

Steve podskoczył. Z jego ust wyrwał się bolesny krzyk.

- A to co?! - zawołał Hugh. - Kto to mówi?

- O Chryste!... O Chryste! - zawodził Steve. - To moja żona, to Nina!

Hank Lamont zaparkował samochód przed barem Mill Tavern przy alei Fairfield w Carley. Znowu padał gęsty śnieg, a ostre porywy wiatru zasypywały nim przednią szybę. Agent Lamont zmrużył wielkie, niewinnie wyglądające niebieskie oczy, lustrując słabo oświetlone, pustawe wnętrze baru. Zapewne pogoda zatrzymała ludzi w domu, ale jemu to nie przeszkadzało, będzie miał możliwość porozmawiania z barmanem. Miejmy nadzieję, że należy do tych, co lubią poplotkować.

Wysiadł z samochodu. O Boże, ależ zimno! Parszywa pogoda. Trudno będzie trzymać się Petersona. Prawdopodobnie na drodze spotkają niewiele aut i każdy pojazd może się rzucać w oczy.

Pchnął drzwi i wszedł do lokalu. Otoczyło go ciepłe powietrze, zachęcający zapach piwa i jedzenia wypełnił nozdrza. Rzucił okiem w stronę baru. Było tam tylko czterech mężczyzn. Zbliżył się posuwistym krokiem, umieścił swe potężne ciało na stołku i zamówił piwo.

Sącząc je, dyskretnie wodził oczami po otoczeniu. Dwaj stali bywalcy oglądali w telewizji mecz hokejowy. W połowie baru dobrze ubrany mężczyzna ze szklistym wzrokiem pochwycił spojrzenie Hanka.

- Czy zgodzi się pan ze mną, proszę pana, że cechą rozsądnego mężczyzny jest niechęć do przejechania nawet dziesięciu kilometrów w taką wredną pogodę? O wiele sensowniej wezwać taksówkę.

- Ma pan rację - zapewnił go serdecznie Hank. - Właśnie jechałem z Peterboro i muszę panu powiedzieć, że drogi są fatalne.

Przełknął potężny haust piwa. Barman był zajęty wycieraniem szklanek.

- Pochodzi pan z Peterboro? Chyba nigdy tu pana nie widziałem? - powiedział.

- Nie. Jestem przejazdem. Chciałem zrobić przerwę w podróży i przypomniałem sobie starego kumpla, Billa Luftsa. Mówił, że zawsze tu bywa o tej porze.

- Tak, Bili przychodzi tu prawie co wieczór - potwierdził barman. - Ale chyba ma pan pecha. Wczoraj wieczorem zabrał żonę do restauracji z okazji ich rocznicy ślubu. Poszli na kolację, a potem do kina. Myśleliśmy, że odwiezie ją do domu i wstąpi na kielicha przed snem, ale się nie pokazał. To dziwne, że dzisiaj też go nie ma. Chyba, że ona znowu wytoczyła przeciw niemu artylerię. Jeśli tak, to jeszcze o tym usłyszymy. No nie, Arty?

Siedzący samotnie mężczyzna, pochylony nad szklanką piwa, spojrzał w ich stronę.

- Wpuścimy jednym uchem, a wypuścimy drugim - odrzekł. - Kto by chciał słuchać takiego gadania?

Hank się roześmiał.

- W końcu od czego są bary? Czyż nie od tego, aby w nich wylewać swoje żale?

Mężczyźni, oglądający hokeja, wyłączyli telewizor.

- Beznadziejny mecz - skomentował jeden z nich.

- Dziadowski - zgodził się drugi.

- Tu jest kumpel Billa Luftsa. - Barman kiwnął głową w stronę Hanka.

- Les Watkins. - Przedstawił się wyższy mężczyzna.

- Pete Lerner - skłamał Hank.

- Joe Reynolds - powiedział tłusty facet. - Czym się zajmujesz, Pete?

- Skład materiałów hydraulicznych w New Hampshire. Jestem w drodze do Nowego Jorku. Mam ochotę postawić wszystkim piwo, co wy na to?

Minęła godzina i Hank dowiedział się, że Les i Joe byli komiwojażerami w firmie Modeli, Arty naprawiał samochody, a Allan Kroeger pracował w agencji reklamowej. Kilku stałych bywalców nie przyszło dzisiaj ze względu na pogodę. Charley Pincher zahaczał zwykle o bar, ale on i jego żona działali w kółku teatralnym i prawdopodobnie mieli próbę nowej sztuki.

Przyjechała taksówka, Les i Joe poprosili o rachunek. Arty też podniósł się do wyjścia. Barman odsunął jego pieniądze.

- Tę kolejkę ja ci stawiam - powiedział. - Będzie nam ciebie brakowało.

- Racja - potwierdził Les. - Powodzenia, Arty, daj nam znać, jak ci leci.

- Dzięki. Jeśli nie znajdę pracy, wracam i biorę posadę u Shawa. Zawsze mnie namawiał, abym się do niego przyłączył.

- A co? Poznał się na dobrym mechaniku - powiedział Les.

- Dokąd się wybierasz?

- Rhode Island... Providence.

- Szkoda, że nie możesz pożegnać się z Billem - wtrącił Joe.

Arty zaśmiał się cynicznie.

- Rhode Island to nie Arizona - oświadczył. - Wrócę. No dobra, lepiej się trochę prześpię. Chcę wyruszyć wcześniej rano.

Allan Kroeger szedł niepewnym krokiem w stronę drzwi.

- Arizona, kraina malowanej pustyni.

Czterej mężczyźni wyszli jednocześnie, wpuszczając do środka ostry podmuch zimnego powietrza.

Hank przyglądał się plecom wychodzącego Arty'ego.

- Ten Arty to jakiś bliski przyjaciel Billa Luftsa? - zapytał.

Barman potrząsnął głową.

- Nieee. Jak Bili golnie sobie parę drinków, każdy, kto chce słuchać, jest jego przyjacielem. Powinieneś o tym wiedzieć. Chłopaki przypuszczają, że żona papele mu do ucha przez cały dzień, więc on przychodzi tu wieczorem i papele do uszu wszystkim innym.

- Rozumiem. - Hank popchnął szklaneczkę po blacie baru. - Sobie też zrób jednego.

- Jeśli nie masz nic przeciw temu, to chętnie. Zwykle tego nie robię, jeśli są klienci, ale dzisiaj pusto tu jak w stodole przed żniwami. Tak czy owak cholerna noc. Aż ciarki chodzą. Chyba każdy tak czuje. Ten dzieciak Thompsonów, wiesz. Jego matka mieszka dwie przecznice ode mnie.

Oczy Hanka zwęziły się w szparki.

- Tak się dzieje, jeśli włóczysz się po drogach, mordując ludzi - powiedział wolno. Barman potrząsnął głową.

- Większość z nas nie może sobie wyobrazić tego dzieciaka mordującego kogokolwiek. Co prawda, raz był w poważnych tarapatach, więc może to jednak możliwe. Mówią, że niektórzy najgorsi zabójcy są na pozór porządnymi ludźmi.

- Tak mówią - potwierdził Hank.

- Wiesz, że Bili i jego żona mieszkają w domu kobiety, która została zamordowana, w domu Petersona.

- Tak, słyszałem o tym.

- Strasznie to przeżyli. Dora Lufts pracowała u Petersonów od lat. Bili mówi, że ich mały wciąż wygląda jak własny cień, dużo płacze i ma koszarne sny.

- To okropne - przyznał Hank.

- Bill i jego żona chcą jechać na Florydę. Siedzą tu jeszcze, mając nadzieję, że ojciec chłopca się ożeni. Bili mówi, że spotyka się zjedną pisarką, ładną. Miała przyjechać wczoraj wieczorem.

- Naprawdę?

- Tak. Ten mały nie bardzo jest za nią. Pewnie się boi, że ktoś może zająć miejsce jego matki. Dzieci już takie są... - Barman zamyślił się, a po chwili dodał: - Jego ojciec jest wydawcą „Wydarzeń”. Wydaje mi się, że władował w to pismo kupę forsy. Podwójna hipoteka, tak na to mówią. Ale teraz wszystko idzie całkiem nieźle. No cóż, chyba zacznę zamykać. Nikt już tu dziś wieczorem nie przyjdzie. Chcesz jeszcze jednego?

Hank się zastanowił. Potrzebował informacji. Nie było czasu do stracenia. Postawił szklaneczkę, sięgnął po portfel i wyjął odznakę.

- FBI - powiedział.

Godzinę później był znowu w domu Petersonów. Porozumiewszy się z Taylorem, zadzwonił do głównej kwatery FBI na Manhattanie. Upewniwszy się, że drzwi gabinetu są dobrze zamknięte, mówił cicho do słuchawki:

- Hugh ma rację. Bill Lufts to plotkarz. Każdy w barze Mill Tavern wiedział od dwóch tygodni, że on i pani Lufts będą wczoraj wieczorem poza domem, że Peterson wróci późno, a Sharon Martin ma przyjechać, aby zaopiekować się Neilem. Barman wymienił mi dziesięciu stałych bywalców, którzy zawsze rozmawiają z Billem. Niektórzy z nich przyszli tam dzisiaj. Na oko wszyscy są w porządku. Moglibyście jednak sprawdzić Charleya Pinchera. On i jego żona należą do grupy teatralnej. Może któreś z nich potrafiłoby naśladować głos, usłyszany kilka lat wcześniej. Był tam też niejaki Arty Taggart, który wyjeżdża jutro do Rhode Island. Wydaje się niegroźny. Dwóch komiwojażerów, Les Watkins i Joe Reynolds... nie traciłbym na nich czasu. A oto reszta nazwisk... -

Zamknąwszy listę, dodał: - Jeszcze jedno. Niecały miesiąc temu Bili Lufts opowiedział wszystkim w barze o funduszu Neila. Podśledzał, jak Peterson rozmawiał ze swoim księgowym. Więc każdy w barze i Bóg jeden wie gdzie jeszcze o tym wie. To wszystko. Zabieram się do kasy. Skontaktowaliście się z Jimem Owensem?

Odłożył słuchawkę i zamyślony przeszedł obok salonu. Hugh Taylor i Steve rozmawiali przyciszonymi głosami. Steve wkładał płaszcz. Była już prawie północ. Czas, aby wyruszył na spotkanie z Foxym.

Lally była tak zdenerwowana z powodu intruzów, że gdy spotkała Rosie w głównej poczekalni, wszystko jej opowiedziała. I natychmiast zaczęła tego żałować.

- To dla mnie szczególne miejsce - dokończyła słabo. Co teraz powie, jeśli Rosie będzie chciała korzystać z jej schronienia? Nie może na to pozwolić. Po prostu nie może.

Nie musiała się obawiać.

- Chcesz powiedzieć, że sypiasz w Sing-Singu? - spytała Rosie z niedowierzaniem. - Nie zagnałabyś mnie w pobliże tego miejsca nawet kijem. Wiesz, jak nienawidzę kotów.

Oczywiście, nie pomyślała o tym. Rosie bała się kotów. Przechodziła na drugą stronę ulicy, aby je ominąć.

- No cóż, znasz mnie - odpowiedziała Lally. - Ja je kocham. Biedactwa są takie głodne. Ostatnio jest ich w tunelu więcej niż zwykle. - Przesadziła. Rosie się wzdrygnęła. - Wydaje mi się, że są tam teraz we dwójkę - dodała Lally. - Wypłoszę stamtąd dziewczynę, kiedy jego nie będzie.

Rosie się zamyśliła.

- Przypuśćmy, że się mylisz - zasugerowała. - Przypuśćmy, że on tam będzie. Mówiłaś, że źle mu z oczu patrzy.

- Bardzo źle. A może, może zechciałabyś mi pomóc i mieć go na oku?

Rosie uwielbiała intrygi. Uśmiechnęła się szeroko, pokazując zepsute, żółte zęby.

- Jasne - odrzekła.

Dopiły kawę, skrupulatnie zapakowały resztki pączków do torebek i ruszyły na peron.

- To może długo potrwać - uprzedziła Lally.

- Nie ma znaczenia. Tyle tylko, że dziś Olendorf ma dyżur - powiedziała Rosie.

Olendorf był jednym z największych służbistów. Nie pozwalał włóczęgom na plątanie się po stacji, zawsze gonił bezdomnych i pilnował, aby nie zebrali i nie śmiecili.

Trochę zdenerwowana Lally zajęła pozycję obok okna wystawowego księgarni. Czas mijał. Czekały cierpliwie, niemal w bezruchu. Przygotowywała jakąś historyjkę na wypadek, gdyby podszedł do nich Olendorf. Powie mu, że dokładnie w tym miejscu obiecała czekać na przyjaciółkę, która ma przyjechać do Nowego Jorku.

Strażnik jednak nie zwrócił na nie uwagi. Lally zaczęły drżeć nogi. Już miała zaproponować Rosie, aby dały sobie spokój, gdy ze schodów zaczął się wylewać strumień ludzi. Jeden z mężczyzn miał ciemne włosy i poruszał się sztywno. Lally ścisnęła Rosie za ramię.

- To on! - zawołała. - Popatrz, idzie w stronę schodów. Brązowy płaszcz, zielone spodnie.

- O tak, widzę go. - Rosie zmrużyła oczy.

- Teraz mogę tam iść - ucieszyła się Lally, ale Rosie miała wątpliwości.

- Nie przy Olendorfie. Ja bym nie szła. Dopiero co patrzył w tę stronę.

Lally nie miała zamiaru dać się zastraszyć. Odczekała chwilę, dopóki nie zobaczyła, że Olendorf idzie na lunch, i wśliznęła się na peron. Pociąg, odchodzący o dwunastej dziesięć, zaczynał się zapełniać, wiedziała więc, że jej postać nie rzuci się w oczy. Zniknęła po drugiej stronie torów i pobiegła w dół rampy tak szybko, jak tylko pozwalały jej na to zartretyzowane kolana. Naprawdę nie czuła się dobrze. Ta zima była cięższa niż wszystkie dotąd i Lally miała bóle w plecach i stopach.

Całe ciało jej dokuczało. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie się położy i odpocznie na własnym łóżku. Wykurzy stamtąd dziewczynę w dwie minuty.

„Panienko, powie jej, gliny są sprytne. Już tu idą, żeby cię aresztować. Wynoś się i ostrzeż swojego chłopaka”. To wystarczy.

Lally podreptała obok generatora i rur wentylacyjnych. Tunel majaczył w oddali, ciemny i nieruchomy.

Spojrzała na drzwi pokoju i uśmiechnęła się uszczęśliwiona. Jeszcze osiem szurających kroków i znalazła się na podeście przy schodach prowadzących do schronienia. Wyciągnęła z kieszeni kurtki klucz, drugą ręką chwyciła za poręcz i zaczęła się wspinać po stromych schodach.

- Gdzie to się wybierasz, Lally? - Głos był ostry.

Kobieta krzyknęła przestraszona i niemal stoczyła się do tyłu. Odzyskała równowagę i próbując zyskać na czasie, odwróciła się wolno, aby stanąć twarzą w twarz ze znieawidzonym Olendorfem. A więc miał ją na oku, tak jak ostrzegała Rosie. Próbował złapać ją w pułapkę, udając, że idzie na lunch. Dyskretnie wrzuciła klucze do torby. Czy strażnik to zauważył?

- Pytałem, dokąd idziesz, Lally? - powtórzył pytanie.

W pobliżu zawarczał generator, rozległ się gwałtowny pisk. To pociąg wjechał na peron gdzieś nad ich głowami. Lally milczała bezradnie. Nagle z ciemnego kąta dobiegł ostry odgłos prychnięcia i chrapliwe zawodzenie i Lally wpadł do głowy świetny pomysł. Koty! Drżącą ręką wskazała poruszające się, wychudłe jak szkielety figurki.

- One głodują! Chciałam im przynieść coś do jedzenia. Właśnie wyjmowałam. - Gorliwie wyciągnęła z torby zmiętą serwetkę z kawałkami pączka.

Strażnik obejrzał zatłuszczoną serwetkę z obrzydzeniem, ale kiedy się odezwał, głos miał jakby mniej wrogi.

- Też mi ich żal, Lally. Rzuć im, co tam masz, i wynoś się.

Jego spojrzenie ją ominęło, zatrzymało się na schodach, przesunęło w górę i zawisło na chwilę na drzwiach pokoju. Serce Lally łomotało wściekle. Podniosła torbę, poczłapała w stronę kotów, rzuciła im parę okruchów i patrzyła, jak się o nie biją.

- Niech pan patrzy, jakie są głodne - odezwała się spokojnym głosem. - Ma pan w domu kota, panie Olendorf?

Wycofywała się już z tego miejsca i chciała, aby poszedł za nią. Przypuśćmy, że użyje wytrychu i sprawdzi jej pokój? Jeśli znajdzie tam dziewczynę, z pewnością zmienią zamek. Może założą kłódkę?

Olendorf się zawahał, wzruszył ramionami i zdecydował się iść za nią.

- Kiedyś miałem, ale moja żona nie przepada za kotami od czasu, jak straciliśmy tego, którego tak lubiła.

Kiedy Lally, już bezpieczna, znalazła się z powrotem w poczekalni, uświadomiła sobie, że jej serce wciąż dziko wali. Na razie wystarczy. Nie będzie się zbliżać do pokoju aż do wieczoru, gdy Olendorf pójdzie do domu. Dziękując losowi za to, że koty tak dobrze odegrały swoją rolę, podeszła do kosza na śmieci i wyciągnęła z niego kilka gazet.

Neil wiedział, że Sharon jest ranna. Powiedziała mu, że upadła, ale nie dał się oszukać. Ten człowiek musiał ją popchnąć. Chłopiec chciał porozmawiać z Sharon, ale szmata na ustach była mocno zawiązana. Tym razem o wiele mocniej niż poprzednio. Chciał powiedzieć jej, że była dzielna, próbując walczyć. Wtedy gdy ten człowiek robił krzywdę mamusi, on był zbyt przerażony, aby jej bronić. Ale nawet Sharon, która jest prawie tak samo wysoka jak ten mężczyzna, nie ma dość siły, aby go pokonać.

Sharon opowiedziała mu o swoim zamiarze.

- Nie bój się, jeśli usłyszysz, jak mówię, że cię zostawię. Nie zostawię cię. Ale gdybym zdobyła pistolet, może zdołalibyśmy zmusić mordercę, aby nas stąd wyprowadził. Oboje popełniliśmy błąd i jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy zdołaliby ocalić Ronalda Thompsona.

Opowiedział jej o słowach Sandy'ego, że powinien był wtedy pomóc mamusi, a nie zrobił tego, o tym, jak ciągle śnił mu się ten dzień i że dzieci w szkole pytały, czy chciałby, aby Ronald Thompson się usmażył.

Mimo że miał trudności z powodu knebla, lżej mu się oddychało, kiedy o tym wszystkim opowiedział. Wiedział, co myśli Sharon.

Teraz musi być ostrożny, oddychać powoli przez nos, nie bać się i nie płakać, bo wtedy nie będzie mógł oddychać.

Zrobiło się bardzo zimno, bolały go ręce i nogi, ale mimo to poczuł ogromną ulgę. Już Sharon coś wymyśli i wydostanie ich stąd, aby mogli uratować Thompsona. Albo tatuś przyjdzie i ich odnajdzie. Neil był tego pewien.

Czuł na policzku oddech Sharon, głową dotykał jej podbródka. Od czasu do czasu wydawała taki dziwny dźwięk, jakby coś ją bolało. Przytulony do niej, czuł się lepiej. Gdy był małym dzieckiem i czasem budził się w środku nocy ze złego snu, szedł do łóżka do mamusi i tatusia. Mama przyciągała go blisko siebie, mówiła sennym głosem: „Tylko się nie wierz”, i wtulony w nią znowu zasypiał.

Sharon i tatuś zaopiekują się nim na pewno. Neil przysunął się bliżej niej. Szkoda, że nie może jej powiedzieć, aby się o niego nie martwiła. Będzie robił długie, powolne wdechy przez nos. Bardzo bolały go ręce, ale starał się o tym nie pamiętać. Będzie myślał o czymś przyjemnym... O pokoju na górze i o pociągach, które da mu Sharon.

- Na litość boską, kochanie, jest prawie północ. Daj już z tym spokój. - Roger patrzył bezradnie, jak Glenda potrząsa głową. Z zaniepokojeniem spostrzegł, że fiolka z tabletkami nitrogliceryny, leżąca na nocnym stoliku, jest prawie pusta. Jeszcze dziś rano była pełna.

- Nie, muszę to rozgryźć. Wiem, że mi się uda. Roger... Tutaj... Spróbujemy tak: opowiem ci o wszystkim, co robiłam przez ostatnie miesiące. Cofałam się w myślach dzień po dniu, ale coś przeoczyłam. Może, jeśli ci opowiem..

Wiedział, że nie ma sensu protestować. Przysuwając krzesło blisko łóżka, starał się skoncentrować. W głowie mu szumiało. Doktor był wściekły, że Glenda tak się forsuje. Rzecz jasna, nie mogli mu wytłumaczyć, dlaczego jest taka podniecona. Lekarz chciał dać jej silny zastrzyk, ale Roger wiedział, że nigdy by mu nie wybaczyła, gdyby na to pozwolił. Patrząc na popielatą twarz żony i jej zdradliwie sine usta, pomyślał o tym dniu, gdy miała atak serca. „Robimy wszystko, co możemy, panie Perry... Sytuacja jest poważna... Może byłoby rozsądnie wezwać pańskich synów...”.

Wyszła jednak z tego. O Boże, jeśli ona coś wie, pozwól, aby sobie przypomniała - modlił się. Pozwól, abym pomógł jej sobie przypomnieć. Gdyby Neil i Sharon umarli, a Glenda czuła, że mogła ich uratować, to by ją zabiło.

Co teraz czuł Steve? Już wkrótce nadejdzie pora wyjazdu z okupem do Nowego Jorku.

Gdzie jest teraz matka RONALDA THOMPSONA? O czym myśli? Czy czuje taką samą bezsilną rozpacz i ból? Z pewnością tak.

A co z Sharon i Neilem? Czy się boją, czy znęcano się nad nimi? Czy są jeszcze żywi, czy też jest za późno?

No i Ronald Thompson. W czasie rozprawy w sądzie Roger potrafił myśleć jedynie o tym, jak bardzo chłopak przypomina Chipa i Douga, gdy byli w jego wieku. Mając dziewiętnaście lat, Chip studiował w Harvardzie, a Doug na Uniwersytecie Michigan. Oto, gdzie powinni być dziewiętnastolatkiem... W college'u, a nie w więziennej celi śmierci.

- Roger... - Głos Glendy był zadziwiająco spokojny. - Może gdybyś rozpisał mi czynności każdego dnia... Dziewiąta, dziesiąta... coś w tym rodzaju. To by pomogło znaleźć coś, co opuściłam. Na moim biurku jest papier.

Podszedł do biurka i wziął blok.

- W porządku - powiedziała. - Jestem pewna co do wczorajszego dnia i niedzieli, więc nie będziemy na nie tracić czasu. Zaczniemy od ostatniej soboty.

- Żadnych pytań, panie Peterson? Jest pan pewien, że wszystko jasne? - Hugh i Steve stali w korytarzu. Steve ścisnął w rękę uchwyt walizki, zawierającej pieniądze na okup.

- Chyba tak. - Głos miał bez wyrazu, prawie obojętny.

W ciągu minionych godzin znikło gdzieś zmęczenie, a odrętwienie zobojętniło go na wszystko. Potrafił myśleć jasno, niemal abstrakcyjnie, jakby stał na wysokim wzgórzu i obserwował rozgrywający się dramat. Był zarówno widzem, jak i uczestnikiem.

- W porządku. Proszę powtórzyć wszystko po kolei. - Hugh zorientował się, w jakim stanie znajduje się Steve. Peterson zbliżał się do granicy wytrzymałości. Już teraz był w pewnego rodzaju szoku. Chwył z podrobieniem głosu żony przeciągnął strunę. W dodatku ten nieszczęśnik upierał się, że to ona. Cóż za tani, niezdarny sposób, aby połączyć porwanie ze śmiercią Niny Peterson. Było jeszcze kilka dziwnych sformułowań, które zauważył Hugh: prośba Sharon, aby Steve jej wybaczył... I Neil mówiący: „Sharon opiekuje się mną”. Czyż to nie sygnał, że wszystko jest oszustwem?

Może Jim Owens zdoła im pomóc? Odnaleźli go i miał się spotkać z Taylorem w kwaterze FBI w Nowym Jorku.

Steve mówił monotonnym głosem:

- Jadę prosto na ulicę Pięćdziesiątą Dziewiątą do budki telefonicznej. Jeśli będę za wcześnie, siedzę w samochodzie i czekam do drugiej. Wsiadam z auta i stoję przy budce. Prawdopodobnie zostanę skierowany do innej budki. Jadę tam. Wtedy, miejmy nadzieję, kontaktuję się bezpośrednio z porywaczem i przekazuję mu walizkę. Po rozstaniu z nim jadę do kwatery FBI na rogu ulicy Sześćdziesiątej Dziewiątej i Trzeciej Alei. Usuwacie z auta kamery i wywołujecie film.

- Wystarczy - przerwał Hugh. - Będziemy jechać za panem w pewnej odległości. Sygnalizator w pańskim samochodzie poinformuje nas o pańskich ruchach. Jeden z naszych ludzi czeka, aby jechać za panem autostradą i upewnić się, że pan gdzieś nie utknie i się nie spóźni. Panie Peterson... - Hugh wyciągnął rękę. - Życzę szczęścia.

- Szczęścia? - Steve wymówił to słowo ze zdumieniem, jakby słyszał je po raz pierwszy. - Nie myślałem raczej o szczęściu, tylko o starym przekleństwie z Wexford. Może pan je zna? Nie pamiętam dokładnie całości, ale to brzmi jakoś tak: „Niech lis zbuduje swoją norę w twoim sercu. Niech światło zgaśnie w twoich oczach tak, abyś nie mógł nigdy dojrzeć tego, co kochasz. Niech najśłodszy napój zmienia się w twoich ustach w gorzki kielich goryczy...”. Jest tego więcej, ale i to dość dobrze podsumowuje sytuację. Całkiem odpowiednie prawda? - Nie czekając na odpowiedź, wyszedł.

Hugh patrzył jak merkury wyjeżdża z podjazdu i skręca w lewo, w stronę autostrady. „Niech lis zbuduje gniazdo w twoim sercu...”. Boże, dopomóż temu biednemu człowiekowi! Potrząsając głową, aby pozbyć się uporczywego, przygniatającego smutku, Hugh sięgnął po płaszcz.

Żadnego z samochodów FBI nie było na podjeździe. On i pozostali agenci wyslizgiwali się tylnymi drzwiami i przemykali przez dwa akry zalesionego pustkowia obok posesji Steve'a. Samochody mieli zaparkowane na wąskiej leśnej drodze. Z ulicy były niewidoczne.

Może Jim Owens wywnioskuje coś z kasety, przysłanej przez porywacza? Emerytowany agent, który dwadzieścia lat temu stracił wzrok, rozwinął w sobie zmysł słuchu do tego stopnia, że potrafił

z dużą dokładnością rozpoznać tło dźwiękowe w nagraniach. Wzywali go za każdym razem, gdy występował tego rodzaju dowód. Oczywiście, poddadzą też kasetę normalnym testom laboratoryjnym, ale to potrwa parę dni.

Nie wyjaśniając przyczyn, Hugh zapytał Steve'a o pochodzenie Niny. Dowiedział się, że jej rodzina od czterech pokoleń zamieszkuje ekskluzywne przedmieście Filadelfii. Nina uczęszczała do szwajcarskiej szkoły z internatem, a potem do Bryn Mawr College. Obecnie jej rodzice spędzali większość czasu w swoim domu w Monte Carlo. Hugh pamiętał spotkanie z nimi na pogrzebie. Prawie nie odzywali się do zięcia. Para najbardziej zinnokrwistych ryb, jakie sobie można wyobrazić. Ta informacja o rodzinie wystarczy jednak Owensowi do wydania opinii, czy głos należał rzeczywiście do Niny, czy był podrobiony. Hugh miał niewiele wątpliwości, co do wyniku jego ekspertyzy.

Autostrada Merritt była wysypana piaskiem i mimo że śnieg wciąż padał, jechało się lepiej, niż Steve oczekiwał. Obawiał się, że porywacz odwoła spotkanie, jeśli drogi będą niebezpieczne. Teraz był pewien, że w jakiś sposób nawiążą kontakt.

Zastanawiał się, dlaczego Hugh wypytywał go o pochodzenie Niny.

- Do jakiego college'u uczęszczała pańska żona, panie Peterson? Gdzie się wychowała?

- Chodziła do Bryn Mawr.

Spotkali się, gdy oboje studiowali na ostatnim roku. To była miłość od pierwszego wejrzenia, trochę banalna, ale prawdziwa. Jej rodzice wściekli się na niego. Chcieli, aby Nina poślubiła kogoś ze swojego kręgu, jak to określili. Kogoś z dobrego domu, z pieniędzmi i kindersztubą, a nie ubogiego studenta, który ukończył liceum w Bronksie i dorabiał do stypendium, pracując jako kelner.

Boże, jacy okazali się okropni. Powiedział kiedyś do Niny: „Jak to się stało, że jesteś ich córką?”. Różniła się od nich bardzo: była wesoła, bystra i bezpretensjonalna.

Pobrali się tuż po dyplomie. Potem Steve został powołany do wojska. Wcielono go do armii i wysłano do Wietnamu. Nie widzieli się dwa lata. Wreszcie dostał urlop i spotkali się na Hawajach. Nina była taka piękna, gdy zbiegała po stopniach samolotu, aby paść w jego ramiona.

Po zdemobilizowaniu ukończył studia dziennikarskie na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku. Następnie dostał pracę w „Timie” i przeprowadzili się do Connecticut. Nina zaszła w ciążę. Gdy urodził się Neil, Steve kupił jej samochód, chociaż nie był to rolls, jakiego, rzecz jasna, miał jej ojciec.

Sprzedził to auto tydzień po pogrzebie Niny. Nie mógł patrzeć, jak stoi zaparkowane obok jego merkurego.

Tamtej nocy, gdy wrócił do domu i znalazł ją martwą, obejrzał samochód. „Twoje niedbalstwo cię zabije” - dźwięczało mu w uszach. Ale przednie koło znowu miało nową oponę, a łysiejaca leżała w bagażniku.

Nino, Nino, przepraszam...

Sharon przywróciła go do życia.” Dzięki niej otępienie i ból rozpuściły się jak lód podczas wiosennej odwilży. Przez sześć miesięcy było tak dobrze. Steve zaczynał już wierzyć, że otrzymał drugą szansę na szczęście.

Pierwsze spotkanie na planie dziennika. Po audycji wyszli razem ze studia i stali przed budynkiem, rozmawiając. Od śmierci Niny Steve nie zainteresował się żadną kobietą, nawet przelotnie. Ale tamtego ranka pomyślał, że nie ma ochoty pozwolić tej dziewczynie odejść. Musiał być wcześniej rano na spotkaniu, więc nie mógł zaproponować jej wspólnego śniadania. Powiedział: „Słuchaj, muszę teraz lecieć, ale co ty na to, żebyśmy dziś zjedli razem kolację?”. Sharon szybko powiedziała „tak”, jakby wiedziała, że ją zaprosi. Cały dzień wydawał się ciągnąć

w nieskończoność, aż wreszcie Steve stanął przed drzwiami jej mieszkania i nacisnął dzwonek. W tym czasie ich dyskusja na temat kary śmierci była bardziej ideologiczna niż osobista. Dopiero gdy Sharon zrozumiała, że nie może uratować Ronalda Thompsona, zaczęła wywierać nacisk na Steve'a.

Znajdował się na autostradzie Cross County, wybierając trasę jakby bez udziału świadomości.

Sharon. Tak dobrze było znowu z kimś porozmawiać przy kolacji, przy wieczornym drinku. Rozumiała problemy związane z rozkręcaniem nowego czasopisma, walkę o zdobycie sponsorów, starania o przyciągnięcie czytelników.

Kilka miesięcy przed śmiercią Niny zrezygnował z posady w „Timie”, aby zająć się „Wydarzeniami”. To był prawdziwy hazard, a częściowo również sprawa ambicji. Pragnął przyczynić się do stworzenia najlepszego czasopisma w kraju. Miał zamiar zostać bogatym, prężnym wydawcą, pokazać ojcu Niny, co potrafi, wepchnąć mu obraźliwe słowa z powrotem do gardła.

Rodzice Niny winili go za śmierć córki. „Gdyby mieszkała w odpowiednio wyposażonym i zabezpieczonym domu, nigdy to by się nie stało” - oświadczyli. Chcieli zabrać Neila ze sobą do Europy. Neil miałby zamieszkać z nimi!

Neil. Biedny chłopiec! Jaki ojciec, taki syn. Matka Steve'a umarła, gdy miał trzy lata i w ogóle jej nie pamiętał. Ojciec nigdy powtórnie się nie ożenił. To był błąd. Steve dorastał, odczuwając brak matki. Pamiętał, że gdy miał siedem lat, nowa nauczycielka, która przyszła do ich klasy na zastępstwo, kazała im narysować laurki na Dzień Matki. Pod koniec dnia zauważyła, że Steve nie schował swojej laurki do tornistra.

- Chyba nie zamierzasz tego tu zostawić? - spytała. - Mama się ucieszy, gdy dostanie ją w niedzielę.

Podarł kartkę na strzępy i wybiegł z klasy.

Steve nie chciał, aby coś takiego spotkało Neila. Pragnął, aby syn rósł w szczęśliwym domu... Wraz z siostrami i braćmi.

Nie chciał żyć tak jak jego ojciec, samotnie, chwając się każdemu swoim synem. Samotny mężczyzna w pustym mieszkaniu. Pewnego ranka nie obudził się już. Gdy nie zjawił się w pracy, ktoś pojechał, aby sprawdzić, co się z nim dzieje. Steve został wywołany z klasy.

Może dlatego przez ostatnie lata zajmował takie stanowisko w sprawie kary śmierci. Wiedział, jak żyją starsi, biedni ludzie, jak niewiele posiadają. Robiło mu się niedobrze na myśl o którymś z nich, brutalnie zamordowanym przez bandytę.

Walizka leżała obok na przednim siedzeniu. Hugh zapewniał, że to elektroniczne urządzenie nie zostanie wykryte. Teraz Steve był zadowolony, że pozwolił im je założyć.

O pierwszej trzydziści skręcił z West Side Drive zjazdem na ulicę Pięćdziesiątą Siódmą. Za dwadzieścia druga zaparkował samochód przed automatem telefonicznym. Za dziesięć druga wysiadł z auta i nie zważając na wilgotny, lodowaty wiatr, stanął w budce. Dokładnie o drugiej zadzwonił telefon. Ten sam stłumiony, niższy do szeptu głos poinstruował go, aby natychmiast udał się do budki przy Dziewięćdziesiątej Szóstej i Lexington. O drugiej piętnaście otrzymał nowe polecenia. Kazano mu przejechać przez most Triborough, a potem dalej autostradą Grand Central do wyjazdu na Brooklyn Queens, następnie drogą do alei Roosevelta, skręcić w lewo, do końca pierwszej przecznicy i natychmiast zaparkować. Miał wyłączyć światła i czekać. W szaleńczym pośpiechu Steve notował i powtarzał instrukcje.

- Musisz mieć pieniądze. Bądź sam - powiedział porywacz i odwiesił słuchawkę.

O drugiej trzydziści pięć Steve skręcił z Brooklyn Queens i dotarł do alei Roosevelta. Wielki pontiac stał w połowie przecznicy po drugiej stronie jezdni. Mijając go, Steve skręcił odrobinę kierownicą w nadziei, że ukryte kamery będą mogły zanotować markę i numery rejestracyjne. Potem

podjechał do krawężnika i zatrzymał samochód.

Ulica była ciemna. Drzwi i okna obskurnych, starych sklepów zabezpieczono łańcuchami i kratami, wysokie podpory biegnących górą torów zasłaniały uliczne światła, śnieg ograniczał resztki widoczności.

Czy agenci FBI mogli śledzić go tutaj za pomocą sygnalizatora? Nie zauważył, aby jechało za nim jakieś auto. Mówili jednak, że nie będą się trzymać zbyt blisko.

Nagle usłyszał, że coś uderzyło w drzwi. Odwrócił głowę i poczuł, że zasycha mu w gardle. Ręka odziana w rękawiczkę pokazywała, aby opuścić szybę. Przekręcił kluczyk w stacyjce i nacisnął guzik przy oknie.

- Nie patrz na mnie, Peterson - usłyszał.

Zdażył jednak dostrzec brązowy płaszcz i maskę z pończochy. Coś upadło mu na kolana, jakaś wielka płócienna torba... worek żeglarski. Poczował ucisk w żołądku, jakby miał zwymiotować. Ten człowiek nie zamierzał zabierać walizki z sygnalizatorem!

- Otwórz walizkę i przełóż forszę do worka. Pośpiesz się - rozkazał.

- Skąd mam wiedzieć, że zwrócisz mi mojego syna i Sharon całych i zdrowych? - Steve próbował zyskać na czasie.

- Napełnij worek. - W głosie tamtego słyhać było napięcie.

Mężczyzna był zdenerwowany do granic wytrzymałości. Jeśli wpadnie w panikę i ucieknie bez pieniędzy, może zabić zakładników. Drżącymi rękami, niezdarnie, Steve wyszarpywał z walizki starannie spakowane pliki banknotów i wrzucał je do żeglarskiego worka.

- Zwiąż sznurkiem! - usłyszał. - Podaj mi to i nie patrz na mnie.

Steve skierował wzrok prosto przed siebie.

- Co z moim synem i Sharon? - zapytał.

Dłoń w rękawiczce wsunęła się przez okno i wyrwała mu worek.

Rękawiczki! Próbował im się przyjrzeć. Sztywne, tania imitacja skóry, ciemnopopielate lub brązowe, duży rozmiar. Rękaw płaszcza był postrzępiony.

- Jesteś obserwowany, Peterson. - Głos porywacza drżał z pośpiechu. - Nie ruszaj się stąd przez kwadrans. Pamiętaj, piętnaście minut. Jeśli nikt mnie nie będzie śledził, a tu są wszystkie pieniądze, dowiesz się, skąd odebrać syna i Sharon o jedenastej trzydzieści dziś przed południem.

Jedenasta trzydzieści! Dokładnie co do minuty moment egzekucji Ronalda Thompsona!

- Czy miał pan coś wspólnego ze śmiercią mojej żony?! - wybuchnął.

Nie było odpowiedzi. Steve odczekał chwilę i ostrożnie odwrócił głowę. Porywacz zniknął. Po drugiej stronie ulicy ruszył samochód.

Zegarek wskazywał godzinę drugą trzydzieści osiem. Całe spotkanie trwało mniej niż trzy minuty. Czy był obserwowany? Czy na dachu któregoś z tych domów znajdował się obserwator gotów donieść, gdyby odjechał? FBI nie dostanie żadnego sygnału z walizki o zmianie jej miejsca. Nie zorientują się, że on nawiązał już kontakt. Czy odważy się ruszyć wcześniej?

Nie.

O drugiej pięćdziesiąt trzy Steve jechał z powrotem w stronę Manhattanu. Dziesięć minut po trzeciej był w kwaterze FBI. Agenci o ponurych twarzach podbiegli do samochodu i zaczęli odkręcać światła. Hugh z zatroskaną miną słuchał wyjaśnień, gdy wjeżdżali na dwunaste piętro. Tu Steve został przedstawiony siwowłosemu mężczyźnie o cierpliwym, inteligentnym wyrazie twarzy.

- Jim słucha kasety - wyjaśnił Hugh. - Z ich głosów i pewnego echa wnioskuje, że Sharon i Neil są przetrzymywani w prawie pustym, zimnym pomieszczeniu o wymiarach około trzech na sześć metrów. Mogą być w piwnicy jakiegoś magazynu. Słyhać ciągły, słaby odgłos wjeżdżających

i wyjeżdżających w pobliżu pociągów.

- Za jakiś czas będę w stanie powiedzieć trochę więcej - zapewnił ich niewidomy agent. - Nie ma w tym żadnych czarów. To tylko kwestia wsłuchiwania się z taką samą intensywnością, z jaką studiujemy próbkę pod mikroskopem - wyjaśnił, czując na sobie spojrzenie Steve'a.

Zimny pokój, prawie pusty. Magazyn. Peterson spojrzał oskarżycielsko na Hugh.

- Jak się to ma do pańskiej teorii, że Sharon mogła to zaplanować?

- Nie wiem - odparł po prostu Taylor.

- Panie Peterson, chodzi o ten ostatni głos na kasecie - odezwał się Jim Owens z wahaniem. - Czy przypadkiem pierwszym językiem, jaki poznała pańska żona, nie był francuski?

- Nie...wychowywała się w Filadelfii, zanim w wieku dziesięciu lat pojechała do szkoły z internatem. Dlaczego pan pyta?

- W tym głosie jest intonacja, która sugeruje, że angielski nie był pierwszym językiem, którego się nauczyła...

- Chwileczkę! - przerwał Steve. - Nina rzeczywiście wspominała, że miała francuską niańkę... że jako małe dziecko myślała bardziej po francusku niż po angielsku.

- O tym właśnie mówię - wyjaśnił Owens. - A więc to nie jest udawane ani podrobione. Ma pan rację, rozpoznając głos żony.

- W porządku. Myliłem się - oświadczył Hugh Steve'owi. - Ale Jim twierdzi, że ten ostatni głos został nagrany na kasetę po Sharon i Neilu. Niech pan pomyśli, panie Peterson. Zaplanował to ktoś, kto bardzo dużo wie o pańskim życiu osobistym. Może był pan kiedyś na przyjęciu, gdzie kręcono amatorski film... Gdzie ktoś mógł nagrać głos pana żony i wyciąć z tego kilka słów?

Tak trudno było do tego wracać... Steve zmarszczył brwi.

- W klubie - przypomniał sobie. - Gdy cztery lata temu został odnowiony i urządzony na nowo, nakręcono tam film dla celów dobroczynnych. Nina była narratorką. Chodziła z pokoju do pokoju i objaśniała, co zostało zrobione.

- Zaczynamy do czegoś dochodzić - ucieszył się Hugh. - Czy mogła wtedy wypowiedzieć słowa, które są teraz na tej taśmie?

- Niewykluczone.

Zadzwoił telefon. Taylor podniósł słuchawkę, przedstawił się i słuchał uważnie.

- Dobrze! Bierzcie się do tego natychmiast! - Rzucił słuchawkę. Wyglądał jak myśliwy na świeżym tropie. - Sprawa zaczyna ruszać z miejsca, panie Peterson - oznajmił. - Zrobił pan wyraźne zdjęcie samochodu i tablic rejestracyjnych. Szukamy go teraz.

Pierwszy słaby promyk nadziei! Dlaczego więc wciąż dławił go jakiś ucisk w gardle? Coś mu mówiło, że to zbyt proste, aby miało do czegoś prowadzić.

Jim Owens wyciągnął rękę w kierunku, skąd słyszał głos Steve'a.

- Panie Peterson, tylko jedno pytanie. Mam wrażenie, że ona właśnie otwierała drzwi. Czy może przypomina pan sobie jakieś drzwi, wydające lekkie skrzypienie, coś w rodzaju... eerkk? - Powtórzył dźwięk szokująco podobny do skrzypienia zardzewiałych zawiasów.

Hugh i Steve wpatrywali się w siebie nawzajem. To ironia losu, pomyślał tępo Steve. To farsa. Dla wszystkich jest już za późno!

- Tak, Jim. Dokładnie tak skrzypią przy otwieraniu kuchenne drzwi w domu pana Petersona - odpowiedział Hugh.

Gdy Arty wyjeżdżał z parkingu przed barem Mill Tavern, dręczył go niepokój, rujnujący euforyczne poczucie całkowitej bezkarności.

Naprawdę liczył na to, że Bili Lufts będzie dziś w barze; dobrze byłoby upić go trochę i czegoś się dowiedzieć. „O, to chłopca nie ma w domu? Gdzie jest? A jak tam pan Peterson? Ma jakieś towarzystwo?”

Przypuszczał, że Steve nie powie Luftsom o zniknięciu Neila i Sharon, gdyż domyśla się, że oboje rozpowiadają o wszystkim dookoła.

A więc jeśli Billa nie było w barze, to dlatego, że Peterson wezwał gliny... Nie, nie gliny. FBI.

Ten facet, który przedstawił się jako Pete Lerner, ten, co zadawał tyle pytań... On był agentem FBI. Arty miał co do tego całkowitą pewność.

Skierował ciemnozielonego volkswagena na południe autostradą Merritt. Zaczął się pocić. Strach wycisnął mu strumyczki potu na czole, pod pachami i na dłoniach.

Przypomniawszy sobie wydarzenie sprzed dwunastu lat. Wręcz skręcał się w ogniu pytań w kwaterze FBI na Manhattanie.

- No, Arty, gazeciarz widział, jak wychodziłeś z tą małą. Dokąd ją zabrałeś?

- Wsadziłem ją do taksówki. Mówiła, że ma się spotkać z jakimś chłopakiem.

- Z jakim chłopakiem?

- Skąd mam wiedzieć? Wyniosłem tylko jej torbę, to wszystko.

Nie mogli mu niczego udowodnić. Ale próbowali. O Boże, jeszcze jak próbowali.

- A co z innymi dziewczynami, Arty? Rzuć okiem na te zdjęcia. Ciągłe się kręcisz przy kapitanacie portu. Ilu dziewczętom pomagasz nieść torby? - Nie wiem, o co wam chodzi?

Posuwali się za daleko. Robiło się niebezpiecznie. To wtedy opuścił Nowy Jork, przeniósł się do Connecticut i zaczął pracować na stacji benzynowej. Sześć lat temu przejął warsztat samochodowy w Carley.

Arizona. To był fatalny błąd. Po co powiedział: „Rhode Island to nie Arizona”? Ten facet, który się przedstawił jako Pete Lerner, nic nie zauważył, ale Arty wiedział, że popełnił błąd. Nic na niego nie mieli, chyba że wyciągną sprawę tej małej z Teksasu. „Przyjedź do mnie do Village - powiedział do niej. - Mam wielu przyjaciół artystów, którzy mogą potrzebować ładnej modelki”. Ale wtedy nie mieli dowodu i teraz też nie mają, był tego pewien.

Autostrada Merritt przeszła w Hutchinson River. Jechał zgodnie z drogowskazem na most Throggs Neck. Miał genialny plan. Kradzież samochodu była niebezpieczna. Zawsze istniało ryzyko, że właściciel może wrócić za dziesięć minut i gliniarze dostaną cynk, zanim przejedzie kilka kilometrów. Nie powinno się kraść samochodu, chyba że ma się pewność, iż właściciel w niczym nie przeszkodzi, bo ogląda film sprzed trzydziestu lat albo siedzi w startującym samolocie.

Na moście Throggs Neck migały światła ostrzegawcze. Lód i wiatr. Ale on jechał bardzo pewnie. Jest dobrym kierowcą, a tej nocy „niedzielni” kierowcy będą siedzieć w domu. To mu ułatwi poruszanie się po mieście.

O jedenastej dwadzieścia dotarł na teren lotniska LaGuardia na parking numer pięć. Wziął bilet z automatu i szlaban się podniósł. Wolno przejechał przez parking, uważając, aby znaleźć się poza

zasięgiem wzroku kasjera. Znalazł puste miejsce w sektorze dziewiątym, między chryslerem i cadillakiem. Obok tych samochodów volkswagen wydawał się mniejszy i ukryty. Arty odchylił się na oparciu i czekał. Minęło czterdzieści minut. Na parking wjechały dwa samochody: jeden jaskrawoczerwony, drugi żółty kombi, obydwie łatwe do zauważenia. Ucieszył się, gdy minęły puste miejsce obok niego i pojechały dalej, do odległego sektora po lewej stronie. Następny samochód wolno przejechał obok. Był to ciemnoniebieski pontiac, który zajął miejsce trzy rzędy dalej. Zgasły światła. Patrzył, jak kierowca wysiada, idzie do bagażnika i wyjmując dużą walizkę. Tego faceta jakiś czas nie będzie. Arty, wciśnięty w siedzenie volkswagena tak, że tylko czubek głowy wystawał ponad krawędź szyby, widział, jak właściciel auta zatrzasnął bagażnik, podniósł walizkę i udał się na najbliższy przystanek, z którego autobus linii lotniczych miał go zabrać do sali odlotów. Autobus nadjechał po paru minutach. Foxy obserwował wsiadającego. Kiedy autobus odjechał, powoli, cicho wysiadł z volkswagena i rozejrzał się wokół. Nie było widać świateł, nikt nie nadjeżdżał. Szybkim krokiem zbliżył się do pontiaca, otworzył drzwi i wsiadł do samochodu. W środku panowało jeszcze przyjemne ciepło. Włożył do stacyjki trzymany w ręce kluczyk. Silnik zaskoczył niemal bezszelestnie, bak był w trzech czwartych pełen. Doskonale. Będzie jednak musiał poczekać. Strażnik mógłby nabrać podejrzeń, gdyby dostał bilet za parkowanie krótsze niż parę godzin. Arty miał mnóstwo czasu, a poza tym chciał spokojnie pomyśleć. Odchylił się do tyłu, przymknął oczy i w wyobraźni ujrzał obraz Niny, takiej, jak w tę pierwszą noc...

Krążył po autostradzie, wiedząc, że nie powinien wychodzić z domu, że jest zbyt wcześnie po Jean Carfolli i pani Weiss, ale nie mógł się oprzeć pokusie.

Zobaczył ją, kiedy zjechała samochodem w to spokojne, opustoszałe miejsce. Światła jego wozu wyłapały szczupłą, drobną sylwetkę. Ciemne włosy, małe dłonie zmagaly się z kluczem do kół. Wielkie brązowe oczy patrzyły ze zdziwieniem, gdy zwolnił i podjechał do niej blisko. Pewnie przemknęło jej przez myśl to wszystko, co słyszała o morderstwach na autostradzie.

- Mogę w czymś pomóc, panienko? To dla pani ciężka praca, a dla mnie normalka. Jestem mechanikiem.

Wyraz niepokoju zniknął z jej twarzy.

- O, świetnie - powiedziała. - Muszę przyznać, że jestem trochę zdenerwowana. To takie głupie miejsce, aby złapać gumę...

Patrzył tylko na oponę, nie na nią, jakby jej tam w ogóle nie było, jakby miała dziewięćdziesiąt lat.

- Wjechała pani na szkło, nic poważnego. - Szybko, bez wysiłku zmienił koło. Zajął mu to mniej niż trzy minuty. Ani z jednej, ani z drugiej strony nie nadjeżdżał żaden samochód. Wstał.

- Ile jestem panu winna? - Pochyliła głowę nad otwartym portfelem. Było w niej coś, co mówiło, że ma klasę. To nie przestraszony dzieciak jak Jean Carfolli ani wściekła stara suka jak Weiss. To po prostu piękna młoda kobieta, która była mu bardzo wdzięczna. Wyciągnął rękę, aby dotknąć jej piersi.

Odblask świateł pojawił się najpierw na drzewie po przeciwnej stronie, potem prześliznął się i oświetlił ich. Radiowóz. Widział koguta na dachu. Szybko włożył rękę do kieszeni.

- Trzy dolary za zmianę koła - powiedział. - Mogę naprawić tę oponę, jeśli pani chce. Jestem Arty Taggart, mam warsztat naprawczy w Carley, przy ulicy Monroe, jakieś pół kilometra od baru Mili Tavern.

Samochód policyjny zatrzymał się i wysiadł z niego policjant.

- Czy wszystko w porządku, proszę pani? - Spojrzenie, jakie rzucił w stronę Arty'ego, było podejrzliwe.

- Tak, w porządku, panie oficerze. Miałam szczęście, pan Taggart jest z mojego miasta i przejeżdżał wtedy akurat, gdy złapałam gumę.

Mówiła to tak, jakby go znała. Ależ mu się udało!

- Ma pani szczęście, że pomaga pani przyjaciel. To niebezpieczne dla kobiety znaleźć się samej w zepsutym samochodzie.

Gliniarz wsiadł z powrotem do wozu patrolowego, ale nie ruszał z miejsca. Obserwował ich.

- Naprawi mi pan to koło? - zapytała. - Jestem Nina Peterson, mieszkamy przy Driftwood Lane.

- Jasne. Będzie mi miło. - Wsiadł do swego auta obojętnie, zwyczajnie, jakby to było jeszcze jedno słabo płatne zlecenie, nie dając po sobie poznać, że musi ją znowu zobaczyć. Po tym, jak na niego patrzyła, zorientował się, iż jest jej przykro, że gliniarze do nich podjechali. Ale musiał jak najszybciej stamtąd się oddalić, zanim gliniarze pomyślą o Jean Carfolli i pani Weiss. Zanim zapytają: „Czy ma pan zwyczaj zatrzymywać się, aby pomóc samotnym paniom?”.

Następnego ranka, gdy akurat myślał o tym, aby do niej zatelefonować, Nina zadzwoniła do niego.

- Mój mąż właśnie dał mi burę za to, że jeżdżę na rezerwie - powiedziała. Głos brzmiał ciepło, poufale i był rozbawiony, jakby zrobili wspólnie jakiś kawał. - Kiedy mogę odebrać oponę?

Myślał błyskawicznie. Driftwood Lane leżała w spokojnej dzielnicy, domy stał w pewnym oddaleniu od siebie.

- Muszę w tej chwili wyjechać na robotę - skłamał. - Podrzucę ją pani dziś późnym popołudniem, może koło piątej. - Przed piątą robiło się ciemno.

- Wspaniale - odpowiedziała. - Byle tylko ta cholerna opona była na miejscu w samochodzie, zanim pojedę na stację po męża o wpół do siódmej...

Był tak podniecony tamtego dnia, że ledwo mógł myśleć. W ogóle nie zajmował się już pracą. Wstąpił do sklepu i kupił sportową koszulę w kratę. Poszedł do fryzjera. Gdy wrócił do domu, wziął prysznic, ubrał się i czekając, słuchał niektórych kaset. Włożył nową do magnetofonu i opatrzył ją etykietką „Nina”. Sprawdzał, czy w aparacie fotograficznym jest film i pomyślał o przyjemności wywoływania zdjęć, patrzenia, jak zarysy przechodzą w wyraźny obraz...

Dziesięć po piątej wyruszył na Driftwood Lane. Krążył wokół ulicy, zanim zdecydował się zaparkować w lasku, niedaleko jej domu. Tak na wszelki wypadek.

Szedł przez las. Woda opłukiwała plażę, przyjazny dźwięk wzbudzał ciepłe dreszcze mimo zimnego wieczoru.

Jej samochód stał na podjeździe za domem, kluczyki były w stacyjce. Widział Ninę przez kuchenne okno. Krzątała się, rozpakowując zakupy. Lampa nie miała klosza, więc pomieszczenie było jasno oświetlone. A ta kobieta była taka piękna w jasnoniebieskim swetrze i z apaszką zawiązaną wokół szyi.

Szybko zmienił koło, zerkając cały czas, czy w domu nie ma przypadkiem kogoś jeszcze. Wiedział, że będzie się z nią kochać, a także, że potajemnie ona również go pożąda. To, jak powiedziała, że mąż jest na nią zły, dowodziło, że potrzebuje współczującego mężczyzny. Włączył magnetofon i szeptem opowiadał, jak uczyni Ninę szczęśliwą, gdy powie jej, co do niej czuje.

Podszedł do drzwi kuchennych i delikatnie zastukał. Podbiegła z wyrazem zaskoczenia na twarzy, ale uśmiechnął się przez szybę w drzwiach i wyciągnął do niej rękę z kluczykami. Natychmiast też się uśmiechnęła i otworzyła drzwi, ciepła i przyjazna. Jej głos obejmował go jak ramiona, zapraszał i mówił mu, jaki jest miły.

Potem zapytała, ile jest winna. Wyciągnął rękę w rękawiczce i wyłączył światło w kuchni. Dotknął policzka kobiety i pocałował ją.

- Zapłać mi w ten sposób - wyszeptał.

Uderzyła go w twarz. Ogłuszający policzek, nieprawdopodobnie mocny jak na tak drobną dłoń.

- Wynoś się stąd - powiedziała, cedząc słowa, jakby był śmieciem, jakby nie wystroił się specjalnie dla niej, jakby nie wyświadczył jej przysługi.

Wpadł w furję. Tak jak poprzednim razem.

Poczucie odrzucenia wywoływało w nim taką reakcję. Powinna była mądrzej się z nim obchodzić. Wyciągnął dłonie, chcąc ją skrzywdzić, wycisnąć z niej tę niegodziwość. Sięgnął do jej apaszki, Nina wyslizgnęła mu się jednak i pobiegła do salonu. Nie wydała z siebie głosu, nie wzywała pomocy. Potem zrozumiał dlaczego. Nie chciała, aby wiedział, że w domu jest dziecko. Chwyliła leżący przy kominku pogrzebacz i próbowała się bronić, ale Arty był silniejszy. Jedną ręką przytrzymał obydwie jej dłonie, a pogrzebacz odłożył na miejsce. Roześmiał się. Mówił jej cicho, co zamierza zrobić. Potem chwycił apaszkę, okręcił wokół szyi kobiety i zaciskał. Rzęziła i dławiła się, jej ręce machały jak u lalki, aż opadły i stały się wiotkie. Olbrzymie, brązowe oczy były jeszcze większe, pokryte śmiertelnym blaskiem. Oskarżały. Twarz przybrała siny kolor.

Rzęzenie ustało. Trzymał ją jedną ręką, pstrykając zdjęcia i pragnąc, aby jej oczy się zamknęły, gdy nagle gdzieś za nim zabrzmiało znowu dławiące rżenie.

Odwrócił się. Chłopiec stał w korytarzu, wpatrując się w niego wielkimi, brązowymi oczami, które przewiercały go na wylot. Dyszał tak samo jak kobieta przed chwilą.

To było tak, jakby wcale jej nie zabił, jakby przeniosła się w ciało dziecka i drwiła z Arty'ego, obiecując zemstę.

Ruszył przez pokój w stronę chłopca. Uciszy ten hałas, zamknie te oczy... Zgiął już palce, nachylił się nad dzieciakiem...

Rozległ się dzwonek.

Musiał uciekać. Korytarzem wbiegł do kuchni i wymknął się tylnymi drzwiami. Usłyszał, że dzwonek zabrzmiał ponownie. Przebiegł przez las do samochodu i w parę minut później znalazł się w warsztacie. Spokój. Zachować spokój. Pojechał do baru na hamburgera i piwo. Był tam, gdy po mieście rozeszła się wieść o morderstwie przy Driftwood Lane. Bał się. Przypuśćmy, że policjant z patrolu rozpozna zdjęcie Niny w gazecie i na posterunku powie: „Dziwna sprawa, wczoraj wieczorem widziałem ją na drodze, jakiś facet o nazwisku Taggart naprawiał jej samochód...”

Postanowił wyjechać z miasta. Gdy się pakował, usłyszał w wiadomościach, że sąsiadka - naoczny świadek - została potrącona przez kogoś, wybiegającego z domu Petersonów, i z całą pewnością zidentyfikowała uciekiniera jako Ronalda Thompsona, siedemnastolatka, zamieszkałego w miasteczku, i że widziano Thompsona rozmawiającego z panią Peterson parę godzin przed zabójstwem. Arty włożył wtedy aparat fotograficzny, magnetofon, zdjęcia, filmy i kasety do metalowego pudełka i zakopał pod krzakiem na tyłach warsztatu. Coś mu mówiło, że należy poczekać.

Potem Thompson został ujęty w motelu w Wirginii i dzieciak także go rozpoznał jako tego człowieka, który udusił jego matkę.

Szczęśliwy traf. Niewiarygodnie szczęśliwy. W salonie było ciemno. Chłopiec nie mógł widzieć jego twarzy wyraźnie, poza tym chyba był w szoku, kiedy do domu wszedł Thompson. Co będzie jednak, gdy któregoś dnia dzieciak przypomni sobie, jak to się stało naprawdę?

Ta myśl prześladowała Arty'ego we śnie. Czasami budził się w środku nocy spocony i drżący, przekonany, że te ogromne oczy patrzą na niego przez okno sypialni lub że w szumie wiatru słyszy tamto rżenie.

Nie wychodził już na poszukiwanie dziewczyn. Nigdy. Przeważnie wstępował wieczorem do

baru Mill Tavern na przyjacielskie pogawędki z chłopakami, szczególnie z Billem Luftsem. Bili dużo mówił o Neilu.

Tak było aż do zeszłego miesiąca, aż do momentu, gdy poczuł, że musi odkopać kasety i znowu ich posłuchać.

Tamtej nocy słyszał przez CB-radio, jak mała Callahan mówi, że złapała gumę. Pojechał jej szukać. Dwa tygodnie później pani Weiss zapytała, korzystając z CB-radia, o drogę i poinformowała, że kończy jej się benzyna.

Po tych dwóch ostatnich wyjazdach sny o Ninie męczyły go co noc. Oskarżały. A potem, dwa tygodnie temu, Bili Lufts przyjechał do niego z tym chłopcem. Neil siedział w samochodzie i gapił się na Arty'ego.

Wtedy wiedział już, że musi zabić małego Petersona, zanim wyjedzie z Carley. A kiedy Lufts opowiedział o dolarach wpłaconych na konto Neila... Dora Lufts widziała pismo z banku na biurku Steve'a Petersona... Wiedział, jak zdobyć pieniądze, których potrzebował.

Kiedy tylko pomyślał o Ninie, nienawidził Petersona jeszcze mocniej. Steve mógł jej dotykać, nie będąc za to policzkowanym. Peterson był potężnym wydawcą, Petersonowi usługiwano, Peterson miał nową ładną dziewczynę. Ale teraz Arty mu pokaże!

Pomieszczenie na Grand Central zawsze tkwiło gdzieś w jego pamięci. Doskonałe miejsce na kryjówkę albo miejsce, gdzie można zabrać dziewczynę, tak aby nikt jej nie znalazł.

Kiedy pracował w tym pomieszczeniu, ciągle myślał o wysadzeniu w powietrze stacji Grand Central. Myślał o tym, jak bardzo wystraszeni i zszokowani byliby ludzie, gdyby wybuchła bomba, gdyby poczuli, że ziemia rozstępuje im się pod nogami, a sufit wali na głowę, wszyscy ci ludzie, którzy ignorowali go, kiedy usiłował być wobec nich przyjazny, i nigdy nie uśmiechali się do niego, mijali go w pośpiechu, patrzyli na niego, jakby był powietrzem, jedli z talerzy, które on potem musiał zmywać.

Teraz wszyscy o nim usłyszą. Miał plan.

Plan Augusta Rommla Taggarta. Chytry jak knowania lisa.

Gdyby tak Sharon nie musiała umrzeć, gdyby go kochała. W Arizonie wiele dziewcząt będzie dla niego miłych. Przecież dostanie mnóstwo pieniędzy.

To był dobry pomysł, aby Sharon i Neil umarli dokładnie w tej samej minucie, kiedy Thompson zostanie stracony. Zasłużył na śmierć za to, że przeszkodził mu tamtego wieczoru.

Wszyscy ci ludzie na Grand Central... Spadną na nich tony gruzu. Dowiedzą się, jak to jest być w pułapce.

A on będzie wolny.

Już wkrótce. Wkrótce będzie po wszystkim.

Arty zmrużył oczy, uświadamiając sobie, że minęło sporo czasu. Musi już jechać. Przekręcił kluczyk w stacyjce pontiaca. Za kwadrans druga podjechał do bramy wyjazdowej i wręczył kasjerowi bilet, który wziął dla swojego volkswagena z automatu przy wjeździe.

Wyjechał z terenu lotniska i skierował się do budki przy Queens Boulevard. Tuż przed drugą zadzwonił z automatu znajdującego się na zewnątrz Bloomingdale'a. Gdy tylko Peterson się odezwał, skierował go do budki przy Dziewięćdziesiątej Szóstej. Był coraz bardziej głodny, miał jeszcze piętnaście minut. W całonocnym barze przełknął dwie kawy i parę tostów.

O drugiej piętnaście wykręcił numer budki przy Dziewięćdziesiątej Szóstej i skierował Steve'a na nowe miejsce spotkania.

O drugiej dwadzieścia pięć ruszył w stronę alei Roosevelta. Ulice były prawie puste. Ani śladu cywilnych radiowozów. W zeszłym tygodniu wybrał tę aleję na miejsce spotkania i sprawdził, ile

czasu zajmie mu powrót stąd na lotnisko LaGuardia. Dokładnie sześć minut. Gdyby gliny przyjechały z Petersonem, znał sposób wymknięcia się z tego miejsca.

Aleja Roosevelta wypełniona była filarami napowietrznej linii kolejowej, które ograniczały widoczność. Arty zatrzymał pontiaca. To było najlepsze miejsce na spotkanie.

Dokładnie o drugiej trzydzieści sześć dostrzegł światła samochodu, nadjeżdżającego autostradą z przeciwnej strony. Błyskawicznie nasunął na twarz maskę z pończochy.

To był merkury Petersona. Arty przez sekundę myślał, że tamten chce do niego podjechać, gdyż samochód zboczył na moment w jego stronę. A może próbował zrobić zdjęcie pontiaca? Dużo mu to da.

Peterson zatrzymał samochód niemal dokładnie po przeciwnej stronie ulicy. Arty nerwowo przełknął ślinę. Od strony autostrady nie widać było żadnych zbliżających się świateł. Musiał działać szybko. Sięgnął po płócienny worek. Wiedział, że walizki zawierające okup zwykle są zaopatrzone w sygnalizatory i nie zamierzał ryzykować.

Dotknięcie worka, lekkiego, gotowego do napełnienia, działało uspokajająco. Otworzył drzwi samochodu, wysiadł i bezszelestnie przeszedł na drugą stronę ulicy. Potrzebował tylko sześćdziesięciu sekund, potem będzie bezpieczny. Zastukał w okno samochodu Petersona, gestem nakazał mu je otworzyć. Gdy szyba osunęła się w dół, zajrzał szybko do środka, Peterson był sam. Wrzucił mu worek.

Przyćmione uliczne światła powodowały, że cienie filarów padały na samochód. Miękkim, wyćwiczonym wcześniej szeptem kazał tamtemu przełożyć pieniądze do worka. Zabronił mu też na siebie patrzeć. Steve się nie sprzeciwił. Spod maski oczy Foxy'ego przeczesywały najbliższe otoczenie. Nasłuchiwał, czy ktoś się zbliża. Gliny pewnie siedzą Petersonowi na ogonie, ale muszą się upewnić, że nawiązał kontakt. Patrzył, jak Steve wrzuca do worka ostatni pakiet banknotów.

Kazał mu zamknąć worek i podać go sobie. Chciwie zważył w dłoni jego ciężar. Pamiętając, aby mówić cicho, powiedział, że Sharon i Neil mogą zostać odebrani rano o jedenastej trzydzieści. Ale teraz Steve musi tu jeszcze odczekać piętnaście minut. „Czy miałeś coś wspólnego ze śmiercią mojej żony?”. Pytanie to zdziwiło i zaniepokoiło Foxy'ego. Czego już zdążyli się domyślić?

Zaczął się pocić. Gęste strumyczki wsiąkały w koszulę, w garnitur pod brązowym płaszczem, powodowały uczucie ciepła w stopach, mimo ostrego wiatru kłusającego po kostkach. Musi jak najszybciej wynieść się z tego miasta.

Przebiegł przez ulicę i wsiadł do pontiaca. Czy Peterson odważy się za nim jechać?

Nie. Wciąż siedział w ciemnym samochodzie.

Foxy wcisnął pedał gazu i wystrzelił na drogę dojazdową do autostrady Brooklyn Queens. Jechał nią dwie minuty do trasy Grand Central. Wśliznął się na niezbyt zatłoczony pas, prowadzący na wschód, i po trzech minutach wysiadł na lotnisku LaGuardia.

O drugiej czterdzieści sześć sięgnął po bloczek parkingowy przy automatycznym wjeździe do sektora piątego.

Dziewięćdziesiąt sekund później pontiac stał zaparkowany dokładnie tam, skąd go zabrano. Jediną zauważalną różnicą było odrobinę mniej benzyny w baku i ponad sześć kilometrów więcej na liczniku.

Wysiadł z samochodu, zamknął go starannie i przeniósł torbę do ciemnozielonego volkswagena. Pierwszy swobodny oddech wziął, siedząc już w środku i szarpiąc sznurki worka. Kiedy się z nimi uporał, poświecił do środka latarką. Uśmiezek, w którym jak u maskarona brakowało wesołości, igrał na jego ustach. Wziął pierwszy z brzegu plik pieniędzy i zaczął liczyć. Było tyle, ile zażądał. Osiemdziesiąt dwa tysiące dolców. Sięgnął po pustą walizkę, leżącą na tylnym siedzeniu, i zaczął

starannie układać w niej paczki banknotów. Tę walizkę zabierze ze sobą na pokład samolotu.

O siódmej wyjechał z parkingu. Wtopiony w sznur pojazdów, dojechał do hotelu Biltmore. Zaparkował samochód w garażu i poszedł do swego pokoju, aby się ogolić, wziąć prysznic i zamówić śniadanie.

O trzeciej nad ranem było już jasne, że jedyny ślad, jaki mają, numer rejestracyjny samochodu używanego przez porywacza, prowadzi donikąd.

Pierwszym ciosem było odkrycie, że samochód jest zarejestrowany na nazwisko Henry'ego A. White'a, wiceprezesa międzynarodowej firmy.

Do domu White'a natychmiast wysłano agentów i wzięto go pod obserwację. Garaż był jednak pusty, dom zamknięty, wszystkie okna w przybudówce również, a pojedyncze światło, sączące się przez zaciągnięte zasłony, miało prawdopodobnie wyłącznik zegarowy.

Skontaktowano się ze strażnikiem firmy. Zadzwoił do szefa działu kadr, ten zaś dotarł do szefa produkcji, który sennym głosem wyjaśnił, że pan White właśnie wrócił z trzytygodniowego pobytu w ich głównej siedzibie w Szwajcarii, zjadł kolację w restauracji i prosto stamtąd wyjechał do żony na krótkie wakacje. Ona jest z przyjaciółkami albo w Aspen, albo w San Valley.

O piątej Hugh i Steve wyruszyli samochodem do Carley. Prowadził Taylor. Na szosie panował niewielki ruch, jako że większość ludzi leżała już w łóżkach. W każdej chwili mogli sprawdzić, czy dzieci są dobrze przykryte i czy nie wieje zbyt od otwartych okien. Czy Neil i Sharon naprawdę są w jakimś zimnym, pełnym przeciągów miejscu? Dlaczego teraz o tym myślę?, zastanawiał się Steve. Przypomniawszy sobie mgliście, że czytał gdzieś, iż ludzie, niemogący wpłynąć na najważniejsze wydarzenia, przejmują się drobiazgami. Czy Sharon i Neil jeszcze żyją? O to powinien się martwić. Oszczędź ich, Boże, miej litość i oszczędź ich...

- Co wykryliście w sprawie samochodu? - spytał Hugh Taylora.

- Prawdopodobnie okaże się, że auto White'a zostało skradzione stamtąd, gdzie je zostawił - odparł agent.

- Co teraz zrobimy?

- Będziemy czekać.

- Na co?

- On może ich wypuścić. Obiecał. Ma pieniądze.

- Zacierał ślady tak dokładnie. Pomyślał o wszystkim. Chyba nie sądzi pan, że wypuści dwoje ludzi, którzy mogą go rozpoznać?

- Nie - przyznał Hugh.

- Czy nic nie możemy zrobić? - Steve nie ukrywał zdenerwowania.

- Jeśli Foxy nie dotrzyma słowa i nie wypuści ich, musimy się zastanowić, czy tego nie rozdmuchać i nie podać do środków masowego przekazu. Może ktoś coś widział lub słyszał.

- A co z Thompsonem? - spytał nagle Steve. - Przypuśćmy, że mówi prawdę. Przypuśćmy, że odkryjemy to po jedenastej trzydziści.

- O co panu chodzi? - Taylor był zaskoczony.

- Chodzi mi o to, czy mamy prawo ukrywać, że Neil i Sharon zostali porwani?

- Wątpię, czy to wpłynie na decyzję pani gubernator. Nie ma absolutnie żadnych dowodów, że są zakładnikami, a jeśli nawet ona w to uwierzy, może ją to tylko skłonić do definitywnego zakończenia sprawy. Już teraz jest krytykowana za przyznanie Thompsonowi dwóch odroczeń. Tym dzieciakom z Georgii od razu zaciśnięto stryczek. A poza tym może istnieć proste wytłumaczenie, skąd Foxy

wziął taśmę czy kasetę z głosem pańskiej żony... Wyjaśnienie, które nie ma nic wspólnego z jej śmiercią - tłumaczył Hugh.

Steve siedział, patrząc przed siebie. Mijali Greenwich. Byli tu z Sharon w czasie wakacji na przyjęciu w domu Brada Robertsona. Sharon miała na sobie czarną, aksamitną sukienkę i zakiet z brokatu. Wyglądała cudownie.

- Czy rozgłos może wywołać panikę porywacza? - Steve znał odpowiedź. Mimo to musiał zapytać.

- Tak sędzę. - Ton głosu Hugh był inny, ostrzejszy. - Co panu chodzi po głowie, panie Peterson? Pytanie. Beznamiętne. Wprost. Steve czuł, że zasycha mu w gardle. To tylko złudzenie, pomyślał. Prawdopodobnie bez znaczenia. Jeśli zacznę, nie będę mógł tego powstrzymać. Może to kosztować życie Sharon i Neila...

Z poczuciem beznadziejności i żalu czekał, niepewny jak nurek przed skokiem, który ma go rzucić w nieznaną, rwący prąd. Przywołał w pamięci obraz Ronalda Thompsona podczas rozprawy sądowej: Ja tego nie zrobiłem. Nie żyła już, kiedy tam wszedłem. Spytajcie dziecka”...

„Jakby się pan czuł, gdyby chodziło o pańskie jedyne dziecko? Jakby się pan czuł”...

To jest moje jedyne dziecko, pani Thompson, pomyślał.

- Hugh, pamięta pan, co powiedział Bob Kurner? Że morderstwo tych czterech kobiet i morderstwo Niny są ze sobą powiązane - odezwał się nagle.

- Słyszałem i mówiłem już panu, co o tym myślę. Chwyta się najcieńszej nitki.

- Założmy, że powiem panu, że Kurner może mieć rację i może istnieć związek pomiędzy śmiercią Niny i pozostałych.

- O czym pan mówi? - Taylor nie mógł ukryć zniecierpliwienia.

- Pamięta pan, jak Kurner powiedział, iż jedyną rzeczą, której nie może zrozumieć, jest to, że tamte kobiety miały problemy z samochodami, a Nina nie, że została uduszona w domu, a nie gdzieś na drodze.

- Niech pan mówi dalej. - Hugh był wyraźnie zaintrygowany.

- Poprzedniego wieczoru, przed zabójstwem, Nina złapała gumę. Ja byłem na zebraniu w Nowym Jorku i wróciłem do domu dobrze po północy. Ale następnego ranka, gdy odwoziła mnie do pociągu, zauważyłem, że samochód ma założone na przodzie zapasowe koło...

- Co dalej...

- Pamięta pan to zeznanie, które zostawił Kurner? Ten chłopiec wspomniiał coś o rozmowie z Niną na temat pecha zmieniającego się w szczęśliwy traf, a ona powiedziała coś o tym, że całe zakupy mieszczą się w bagażniku.

- O czym pan mówi?

- Bagażnik w jej samochodzie jest niewielki. Jeśli miała w nim dodatkowe wolne miejsce, to znaczy, że brakowało w nim koła zapasowego. To było po czwartej i musiała jechać prosto do domu. Dora sprzątała tego dnia i powiedziała, że Nina odwoziła ją tuż przed piątą.

- A potem wraz z Neilem pojechała prosto do pańskiego domu... - dodał Hugh.

- Tak. Neil poszedł na górę bawić się kolejkami, a Nina wypakowała wszystko z samochodu. Proszę pamiętać, że całe zakupy były na stole. Wiemy, że umarła w ciągu następnych kilku minut. Oglądałem jej samochód tamtego wieczoru. Koło zapasowe znajdowało się w bagażniku, a na przodzie było założone nowe.

- Twierdzi pan, że ktoś przyniósł koło, przełożył je, a potem ją zabił? - Hugh starał się zebrać myśli.

- Kiedy koło zostało zmienione, jeśli nie w tym czasie? A jeśli tak było, ten Thompson może być

niewinny. Mógł nawet wypłoszyć zabójcę, dzwoniąc do drzwi. Na litość boską, sprawdźcie, może pamięta, czy gdy pakował zakupy, rezerwowa opona leżała w bagażniku. Powiniennem być sobie zdawać sprawę z tego, że ta opona może być ważna, kiedy ją sprawdzałem tamtej nocy. Nie mogłem jednak znieść myśli, że wściekłem się na Ninę w ostatniej minucie, którą z nią spędziłem..

Taylor nacisnął pedał gazu. Wskazówka licznika wspięła się z sześćdziesięciu na siedemdziesiąt, a potem osiągnęła osiemdziesiąt mil na godzinę. Samochód z piskiem opon wjechał na podjazd, gdy pierwsze oznaki świtu pojawiły się na zachmurzonym niebie. Hugh szybko wysiadł i pobiegł do telefonu. Wykręcił numer więzienia w Somers i zażądał rozmowy z naczelnikiem.

- Nie. Czekam przy telefonie - powiedział nagle i zwrócił się do Steve'a. - Naczelnik był w swoim gabinecie przez całą noc, na wypadek, gdyby pani gubernator zdecydowała się zadzwonić. W tej chwili gołą dzieciaka.

- Dobry Boże! - Steve był przerażony.

- Nawet jeśli potwierdzi, że bagażnik był pusty, to nie jest żaden dowód. Wszystko to wciąż przypuszczenia. Ktoś mógł podrzucić to koło, zmienić je i odjechać. To jeszcze nie oczyszcza Thompsona - kontynuował Hugh.

- Obydwaj wierzymy w to, że Thompson jest niewinny - powiedział Steve. Zawsze w to wierzyłem, pomyślał tępo. Dobry Boże, w głębi duszy zawsze w to wierzyłem, tylko nie przyjąłem tego do wiadomości.

- Tak, jestem tu... - Hugh znów rozmawiał z naczelnikiem więzienia. - Bardzo dziękuję. - Rzucił słuchawkę. - Thompson przysięga, że nie było koła, kiedy pakował zakupy.

- Proszę zadzwonić do pani gubernator - błagał Steve. - Niech pan jej powie, niech pan ją błaga, aby przynajmniej odroczyła egzekucję. Niech pan pozwoli mi mówić, jeśli to pomoże.

Hugh wykręcał numer gmachu gubernatora.

- To nie są żadne dowody - powiedział. - To ciąg zbiegów okoliczności. Wątpię, czy odroczy egzekucję na tej podstawie. Jeśli usłyszy, że Sharon i Neil zniknęli... A musi jej pan to teraz powiedzieć... Może być przekonana, że to jakaś sztuczka, mająca na celu wykorzystanie ostatniej szansy.

Pani gubernator była nieosiągalna. Przekazała sprawę wszystkich podań o kolejne odroczenie egzekucji do rozpatrzenia prokuratorowi generalnemu. Ten będzie w swoim biurze o ósmej. Nie, nie można otrzymać jego prywatnego numeru telefonu.

Jedyne, co można było zrobić, to czekać. Steve i Hugh siedzieli w gabinecie w milczeniu. Słabe światło zaczęło wpadać przez okno. Peterson usiłował się modlić, ale był w stanie jedynie powtarzać: „Dobry Boże, oni są tacy młodzi... wszyscy troje są tacy młodzi... proszę...”.

O szóstej Dora zeszła na dół. Jej kroki były ciężkie i niepewne. Wyglądała na postarzałą i wycieńczoną. Bez słowa zaczęła robić kawę.

O szóstej trzydzieści Hugh rozmawiał z kwaterą FBI w Nowym Jorku. Nie było nowych śladów. Henry White odleciał o północy do Sun Valley. Przybyli za późno, aby złapać go na tamtejszym lotnisku. Został odwieziony prywatnym samochodem. Szukają go w motelach i pensjonatach. Wciąż sprawdzają też stałych bywalców baru Mill Tavern.

O siódmej trzydzieści pięć auto Boba Kurnera wjechało na podjazd. Młody prawnik wściekle szarpnął dzwonkiem, minął Dorę i zażądał wyjaśnień, dlaczego pytano Ronalda o zapasową oponę.

Hugh spojrzał na Steve'a, a gdy ten kiwnął głową, zwięźle wyjaśnił, w czym rzecz.

Bob zbladł.

- Czy pan chce powiedzieć, że pański syn i Sharon Martin zostali porwani, panie Peterson, a pan to ukrył? Kiedy pani gubernator dowie się o tym, będzie musiała odłożyć egzekucję. Nie ma wyboru.

- Niech pan na to nie liczy - ostrzegł go Hugh.

- Panie Peterson, współczuję panu, ale nie miał pan prawa zataić tego przede mną wczoraj wieczorem - powiedział z goryczą adwokat. - Mój Boże, czy nie możemy skontaktować się z prokuratorem generalnym przed ósmą?

- To tylko dwadzieścia minut - poinformował Hugh.

- Dwadzieścia minut to dużo, jeśli zostało ci trzy i pół godziny życia, panie Taylor.

Punktualnie o ósmej Hugh połączył się z prokuratorem generalnym. Rozmawiał trzydzieści pięć minut, nalegał, argumentował, prosił.

- Tak, proszę pana, zdaję sobie sprawę, że pani gubernator przyznała już dwa odroczenia... Rozumiem, że Sąd Najwyższy Connecticut jednomyślnie poparł wyrok... Nie, proszę pana, nie mamy dowodu... Więcej niż przypuszczenia, kasetę. Tak, proszę pana, będę wdzięczny, jeśli zadzwoni pan do gubernator... Czy mogę dać do telefonu pana Petersona?... W porządku, poczekam.

Hugh zakrył dłonią słuchawkę.

- On do niej zadzwoni, ale wydaje mi się, że nie uzyska odroczenia - oznajmił. Minuty mijały wolno. Steve i Bob nie patrzyli na siebie. Nagle Taylor powiedział: - Tak, jestem tutaj... Ale... - Wciąż protestował, gdy w pewnej chwili Steve usłyszał niebudzący wątpliwości sygnał przerwane połączenia. Agent wypuścił słuchawkę z ręki. - Egzekucja się odbędzie - oznajmił głucho.

Ból. Tak ciężko myśleć, czując ból przeszywający całe ciało. Gdyby mogła chociaż rozpiąć but. Kostka stała się grudą rozpalonego betonu, rozpychającą but opuchlizną, w którą wrzynały się więzy.

Powinna była zaryzykować i krzyknąć, kiedy przechodzili przez halę dworca. Należało to wtedy zrobić. Która mogła być godzina? Czas nie istniał. Poniedziałek, wieczór. Wtorek. Czy to już środa?

Jak mogliby się stąd wydostać?

Neil. Słyszała świszczący oddech tuż obok. Chłopiec starał się być posłuszny, oddychał powoli. Sharon słyszała własne jęki i usiłowała je stłumić. Czowała, jak Neil przysuwa się bliżej, próbując ją pocieszyć. Neil będzie taki podobny do Steve'a, gdy dorośnie. Jeśli dorośnie...

Steve. Jak wyglądałoby życie ze Steve'em, tworzenie wspólnego domu?... Steve, który zaznał tyle cierpienia... Dla niej wszystko było zawsze proste. Ojciec mówił: „Sharon urodziła się w Rzymie... Pat w Egipcie... Tina w Hongkongu”. Matka dodawała: „Mamy przyjaciół na całym świecie”. Nawet kiedy się dowiedzą o jej śmierci, będą mieli siebie nawzajem. Jeśli Steve utraci Neila, nie pozostanie mu nikt...

Steve pytał: „Jak to się stało, że ciągle jesteś sama?”. Była sama, ponieważ nie chciała odpowiedzialności, jaką niesie ze sobą miłość do drugiej osoby.

Neil... Tak się bał, że Luftowie wezmą go ze sobą. Bał się, że ona zabierze mu Steve'a.

Musi go stąd wyciągnąć.

Znowu próbowała trzeć nadgarstkami o szorstką ścianę, sznurki były jednak zaciśnięte zbyt mocno, wpiły się w skórę. Nie mogła dotknąć nimi powierzchni muru. Próbowwała myśleć. Jediną nadzieją było uwolnienie Neila, wydostanie go z tego pomieszczenia. Jeśli otworzy drzwi od wewnątrz, czy bomba wybuchnie?

Klamka z łazienki. Jeśli Foxy wróci, jeśli pozwoli jej znowu wejść do łazienki, może uda jej się pociągnąć za klamkę i oderwać ją...

Co on z nimi robi, kiedy dostanie pieniądze? Traciła rozeznanie. Czas... Ile jeszcze czasu? Czas... Był dzień czy noc... Stłumione odgłosy pociągów... Przyjdź po nas, Steve... „Obwiniam panią, pani Martin”... „To jest najważniejsze, pani Martin”... „Najbardziej ślepi są ci, którzy nie dostrzegają”... „Kocham cię, Sharon, bardzo za tobą tęskniłem...” Duże, czułe dłonie na jej twarzy...

Duże, czułe dłonie na jej twarzy. Sharon otworzyła oczy. Foxy pochylał się nad nią. Z przerażającą delikatnością błdził rękami po jej twarzy i szyi, wyjął knebel z jej ust i pocałował ją. Wargi miał gorące jak rozpalony metal, rozmiękłe. Próbowwała odwrócić głowę, ale sprawiało jej to wielką trudność.

- Wszystko skończone, Sharon. Mam pieniądze. Teraz muszę iść - wyszeptał.

Próbowała skupić na nim wzrok. Zarys jego twarzy wyłonił się z mroku. Błyszczące oczy, pulsująca żyła i wąskie wargi.

- Co masz zamiar z nami zrobić? - Z wielkim trudem wydobyła z siebie głos.

- Zamierzam was tu zostawić. Wyjaśnię Petersonowi, gdzie was szukać.

Kłamał. Tak jak przedtem, gdy ją zwodził i droczył się z nią. Gdy próbowała go nabrać, a on ją odepchnął.

- Chcesz nas zabić - powiedziała.

- Zgadza się, Sharon.

- Zabiłeś matkę Neila... - Głos jej drżał.

- Zgadza się, Sharon. Och, o mało nie zapomniałem. - Odsunął się, sięgnął w dół i coś rozwijał. -

Powieszę to zdjęcie razem z innymi.

Z góry patrzyły na nią oczy Neila, oczy należące do twarzy będące częścią leżącego kobiecego ciała, ciała z zaciągniętą wokół szyi chustką... Krzyk wydarł się jej z gardła. Nagle była zupełnie przytomna, skupiona. Popatrzyła na zdjęcie, a potem na błyszczące, szalone oczy człowieka, który je trzymał.

Wieszał je obok innych na ścianie nad łóżkiem... Wieszał starannie. Dokładność, z jaką to robił, była jak rytuał. Obserwowała go przerażona. Czy teraz ich zabije, udusi tak, jak udusił te kobiety?

- Teraz nastawię dla was zegar - powiedział do niej.

- Zegar? - zdziwiła się Sharon.

- Tak. On uruchomi bombę o jedenastej trzydzieści. Nic nie poczujesz, Sharon. Po prostu przestaniesz istnieć... i Neil... i Ronald Thompson...

Ostrożnie otwierał walizkę. Patrzyła, jak wyjmuje zegar, jak sprawdza czas na swoim zegarku i ustawia go na ósmą trzydzieści. Teraz jest ósma trzydzieści! Środa rano! Dzwonek budzika... Nastawił dzwonek na jedenastą trzydzieści. Połączył kable zegara!

Trzy godziny!

Ostrożnie podniósł walizkę i położył ją na blacie zlewu przy drzwiach; tarcza zegara znajdowała się dokładnie naprzeciw Sharon, po drugiej stronie pokoju. Wskazówki i cyfry świeciły.

- Czy chcesz czegoś ode mnie, zanim wyjdę?... Szklankę wody?... Chcesz, abym cię pocałował na pożegnanie?

- Czy mogłabym... Czy pozwolisz mi pójść do łazienki?

- Jasne, Sharon.

Podszedł, rozwiązał jej ręce i podniósł ją. Podkurczone nogi zwisały bezwładnie. Drżała z bólu. Czarne platy migają przed oczami. Nie... nie, nie może zemdleć.

Zostawił ją w ciemnej klitce. Trzymając w ręku klamkę, kręciła nią dookoła, modląc się, aby nie było tego słychać. Lekki chrobot i klamka wreszcie została w jej dłoni.

Przesunęła palcem po oderwanym końcu i poczuła ostrą krawędź odłamanej metalu. Wsunęła klamkę do kieszeni spódnicy. Otwierając drzwi, rękę trzymała w kieszeni. Jeśli mężczyzna poczuje coś, kiedy będzie ją niósł z powrotem na łóżko, będzie myślał, że to jej pięść.

Spieszył się, chcąc jak najprędzej stąd wyjść.

Położył ją z powrotem na łóżku i szybko związał ręce. Mogła trzymać je trochę rozsunięte, gdyż tym razem więzy nie były zaciśnięte mocno. Wetknął knebel w jej usta i nachylił się nad nią.

- Mogłem cię bardzo kochać, Sharon, i myślę, że ty też mogłaś mnie bardzo kochać - powiedział.

Szybkim ruchem zerwał opaskę z oczu Neila. Chłopiec miał opuchnięte powieki i rozszerzone źrenice. Mężczyzna spojrzał mu prosto w oczy, następnie zerknął na zdjęcie na ścianie, a potem znowu na twarz Neila.

Gwałtownie puścił głowę chłopca, odwrócił się, zgasił światło i wyszedł z pokoju.

Sharon wpatrywała się w świecącą tarczę zegara. Była godzina ósma trzydzieści sześć.

Łóżko Glendy zarzucone było kartkami. Te zmięte natychmiast zastępowane były nowymi.

- Nie... czternastego nie poszłam prosto do doktora. Zatrzymałam się w bibliotece... Zapisz to, Roger... Rozmawiałam z kilkoma osobami...

- Wezmę nowy arkusz, ten jest zbyt gęsto zapisany. Z kim rozmawiałeś w poczekalni u lekarza?

Minuta po minucie przypominali sobie każde najdrobniejsze wydarzenie ostatniego miesiąca. Nic nie budziło w Glendzie wspomnienia o mężczyźnie, który nazywał się Foxy. O czwartej rano, ulegając namowom żony, Roger zadzwonił do kwatery FBI i poprosił o połączenie z agentem Taylorem. Hugh poinformował go o nawiązaniu kontaktu.

- Mówi, że porywacz obiecał, iż Sharon i Neil mogą zostać odebrani dziś o jedenastej trzydzieści - oznajmił Roger Glendzie.

- Nie ufają mu, prawda? - zapytała.

- Sądzę, że nie.

- Jeżeli to ktoś, kogo znam, to może pochodzi z naszej okolicy i znany jest także Neilowi. Nie mógłby więc pozwolić chłopcu odejść.

- Glenda, jesteśmy oboje tak zmęczeni, że nie możemy już myśleć. Spróbujmy się przespać kilka godzin. Może potem coś ci przyjdzie do głowy. W czasie snu pracuje podświadomość. Wiesz o tym.

- W porządku. - Ze znużeniem zaczęła układać kartki w chronologicznym porządku. Roger nastawił budzik na siódmą. Wyczerpani, spali trzy godziny.

O siódmej zszedł na dół, aby przygotować herbatę. Glenda wsunęła tabletkę nitrogliceryny pod język, poszła do łazienki, obmyła twarz, wróciła do łóżka i wzięła do ręki blok.

O dziewiątej przyjechała Marian. Piętnaście minut później weszła na górę, aby zobaczyć się z Glendą.

- Przykro mi, że źle się pani czuje, pani Perry - powiedziała. - Nie będę się pani naprzykrzać. Jeśli to pani odpowiada, zajmę się pokojami na dole.

- Bardzo dobrze - zgodziła się Glenda.

- W ten sposób do końca tygodnia na dole będzie jak w pudełeczku. Już ja potrafię utrzymać w domu porządek.

- Tak, wiem. Dziękuję.

- Cieszę się, że tu jestem, że nie zawiodłam pani z powodu kłopotów, jakie mieliśmy z samochodem...

- Mąż coś mi wspominał. - Glenda ostentacyjnie uniosła pióro i trzymała je gotowe do pisania.

- To naprawdę okropne. Dopiero co wydaliśmy czterysta dolarów na naprawę. Normalnie nie wydalibyśmy tyle pieniędzy na stare auto, ale mój mąż powiedział, że warto. No cóż, widzę, że pani jest zajęta. Nie powinnam tyle paplać. Chciałaby pani coś na śniadanie?

- Nie, dziękuję, pani Vogler.

Drzwi zamknęły się za nią. Parę minut później wszedł Roger.

- Rozmawiałem z kilkoma osobami w biurze. Powiedziałem, że zaraziłem się grypą.

- Roger... poczekaj chwilę. - Glenda włączyła magnetofon. W pokoju rozległ się znajomy głos: „Bądź na stacji Exxon...”. Glenda pstryknęła wyłącznikiem.

- Roger, kiedy odebraliśmy mój samochód z naprawy?

- Wydaje mi się, że ponad miesiąc temu. Bili Lufts zabrał go do tego mechanika, którego tak zachwalał.

- Tak, a ty mnie podrzuciłeś tam w drodze do pracy, kiedy już był gotowy... Arty, tak miał na imię ten człowiek, prawda?

- Tak mi się wydaje. Dlaczego pytasz?

- Samochód był gotowy, ale on miał jeszcze dolać benzyny. Rozmawiałam z nim. Zauważyłam, że na szyldzie było napisane: A. R. Taggert, i spytałam, czy A oznacza „Arthur”... bo słyszałam, że Bili mówi do niego „Arty”. Roger... - Głos Glendy przybrał wysokie tony. Usiadła i chwyciła go za rękę.

- Roger, on mi powiedział, że ludzie tutaj zaczęli go nazywać „Arty” z powodu tego szyldu, ale jego prawdziwe imiona to August Rommel Taggert. Zapytałam: „Rommel... Czy to nie ten sławny, niemiecki generał?”. A on, że tak i że Rommel był Lisem Pustyni. To, jak powiedział wtedy „lis”... I sposób, w jaki wymówił to słowo przez telefon tamtej nocy. Roger, przysięgam ci, że ten mechanik to Foxy i to on porwał Neila i Sharon!

Była godzina dziewięta trzydzieści jeden rano.

Szła do swojego pokoju. Olendorf miał dzisiaj wolne, a ten drugi strażnik nie będzie jej przeszkadzał. Lally nie spała całą noc. Czowała nadchodzącą chorobę. Dokuczał jej artretyzm, ale to nie wszystko. Coś się w niej załamało, rozumiała to. Chciała po prostu znaleźć się w swoim pokoju, położyć na łóżku i zamknąć oczy.

Zeszła na dół, wmieszała się między pasażerów pociągu, przyjeżdżającego o ósmej czterdzieści, i przekradła do rampy. Niosła w torbie dodatkowe gazety do przykrycia się. Nie miała ochoty na nic, nie wstąpiła nawet na kawę. Chciała jak najszybciej znaleźć się w swojej kryjówce. Nie miało nawet znaczenia, czy ów człowiek tam jest. Zaryzykuje. Przywitały ją znajome hałasy generatora i pomp. Było tu ponuro jak zwykle, ale jej to nie przeszkadzało. Ciężkie trampki przesuwwały się bezgłośnie, gdy dreptała do schodów. Wtedy usłyszała stłumiony dźwięk otwieranych powoli drzwi. Jej drzwi. Lally skurczyła się w cieniu za generatorem.

Delikatne, ciche kroki. Schodził po metalowych stopniach. Ten sam mężczyzna. Wtopiła się w ciemność, przywierając całym ciałem do ściany. Czy powinna mu się pokazać? Nie... nie. Instykt kazał jej się ukryć. Obserwowała, jak intruz staje, nasłuchuje uważnie, a potem szybko oddala się w stronę rampy. Za moment zniknie, a ona będzie w swoim pokoju. Jeśli dziewczyna jeszcze tam jest, to trzeba ją wypędzić. Pokręconymi przez artretyzm palcami zaczęła wyciągać klucz z kieszeni tak niezdarnie, że upadł z brzękiem u jej stóp.

Wstrzymała oddech. Czy on to usłyszał? Nie miała odwagi się obejrzeć. Odgłos kroków umilkł zupełnie. Nie było słyhać, aby ktoś wracał. Odczekała dziesięć minut, dziesięć długich minut, starając się uspokoić bicie serca. Potem wolno, z bólem schyliła się i przesuując ręką, szukała klucza. Niewiele widziała w ciemności. Wyczuła pod palcami znajomy kształt i odetchnęła z ulgą - Właśnie zaczynała się prostować, gdy coś otarło się o jej plecy, coś przeraźliwie zimnego. Westchnęła głęboko, gdy to coś dotknęło jej skóry i wbiło się w ciało tak mocno, tak szybko, że ledwie poczuła oślepiający ból i strumień ciepłej krwi, gdy niezgrabnie opadła na kolana z wygiętą w łuk lewą ręką. Tracąc przytomność, w prawej dłoni zaciskała klucz do pokoju.

O dziewiątej trzydzieści agent z kwatery FBI zadzwonił do domu Steve'a, aby porozmawiać z Taylorem.

- Zdaje się, że coś mamy, Hughie - powiedział.

- Co takiego? - zainteresował się Taylor.

- Ten Arty... Mechanik... Arty Taggert.

- No... - niecierpliwie ponaglał go Hugh.

- Był taki facet, znany jako Gus Taggert, zgarnięty za to, że kręcił się koło kapitanatu portu jakieś dwanaście lat temu. Podejrzany w sprawie zaginięcia szesnastolatki, która uciekła z domu. Nie mogliśmy się do niego przyczepić, ale wielu chłopaków uważało, że on jej coś zrobił. Był przesłuchiwany również w sprawie zniknięcia innych młodych dziewczyn. Jego rysopis zgadza się z tym, co dostaliśmy od was.

- Dobra robota. Co jeszcze na niego masz?

- Próbujemy sprawdzić, gdzie on mieszkał. Pracował w kilku miejscach w Nowym Jorku. Pompował benzynę na West Side, sprzątał stoliki w knajpie przy Ósmej Alei, zmywał naczynia w barze Ostryga.

- Skoncentrujcie się na jego miejscu zamieszkania, sprawdźcie, czy miał jakąś rodzinę - polecił Hugh i odłożył słuchawkę. - Panie Peterson - powiedział z wahaniem - jest szansa, że mamy nowy trop. Mechanik, który kręci się w barze Mill Tavern, prawdopodobnie był podejrzany w paru przypadkach zniknięcia młodych dziewcząt jakieś dwanaście lat temu. Nazywa się Arty Taggert.

- Mechanik. - Steve podniósł głos. - Mechanik!

- Właśnie. Wiem, o czym pan myśli. Słaba to nadzieja, ale jeśli ktoś tego dnia naprawiał koło przy samochodzie pańskiej żony, czy jest możliwe, że zapłaciła czekiem? Czy ma pan zrealizowane чеки albo odcinki czekowe ze stycznia sprzed dwóch lat?

- Tak. Zaraz poszukam.

- Proszę pamiętać, że sprawdzamy jedynie wszystkie poszlaki, jakie mamy. Brak nam jakiegokolwiek dowodu, jeśli chodzi o tego Arty'ego, poza tym, że dawno temu był przesłuchiwany.

- Rozumiem. - Steve podszedł do biurka.

Zadzwonił telefon. Roger Perry wykrzyczał do słuchawki wiadomość, że Glenda jest pewna, iż mechanik A. R. Taggert to Foxy.

Hugh odłożył z trzaskiem słuchawkę i miał zamiar podnieść ją znowu, aby wykręcić numer do Nowego Jorku, gdy telefon ponownie zadzwonił.

- Tak - rzucił niecierpliwie, ale po chwili wyraz jego twarzy uległ zmianie, stał się nieprzenikniony. - Co? Poczekaj... Powtórz jeszcze raz.

Steve widział, jak oczy Taylora zwężają się w szparki. Agent wyszarpnął z kieszeni pióro i w tej samej chwili Steve podsunął mu notatnik. Nie zważając na to, że Hugh próbuje zasłonić przed nim to, co pisze, Peterson wpatrywał się w kartkę notatnika, chłonąc kolejno zapisywane słowa.

„Dziękuję za pieniądze. Suma się zgadza. Dotrzymałeś obietnicy. Teraz ja dotrzymam swojej. Neil i Sharon żyją. O jedenastej trzydzieści zginą w czasie eksplozji gdzieś w stanie Nowy Jork. W gruzach pozostałych po wybuchu, możesz szukać ich ciał. Foxy”.

- Proszę powtórzyć jeszcze raz, abym mógł się upewnić, czy dobrze zapisałem - polecił Taylor. Po chwili dodał: - Dziękuję. Zaraz się z panem skontaktujemy. - Odłożył słuchawkę.
- Kto odebrał telefon? - zapytał Steve. Otępienie litościwie paraliżowało jego zdolność myślenia i odczuwania strachu. Hugh odczekał prawie minutę, zanim udzielił odpowiedzi.
- Przedsiębiorca pogrzebowy z Carley, który zajmował się pogrzebem pańskiej żony - odrzekł zmęczonym głosem.

Była dziewiąta trzydzieści pięć rano.

Gdyby ta stara wiedźma nie narobiła hałasu! Arty ociekał potem. Jego nowy, zielony garnitur wydzieliał teraz okropny zapach, taki jak zawsze po... To ona musiała bywać w tym pokoju, ona przytąszczyła łóżko. To znaczy, że musiała mieć klucz. Gdyby jej nie usłyszał, weszłaby tam teraz i znalazła ich. Byłoby dość czasu, aby sprowadzić fachowców do rozbiorzenia bomby.

Szybko przeszedł przez stację pasażerów wiodącym do Biltmore i wyprowadził samochód z hotelowego garażu. Walizki i radio były już zapakowane. Ruszył trasą East Side do mostu Triborough. To była najkrótsza droga na lotnisko LaGuardia. Szaleńczo próbował wydostać się z Nowego Jorku. Samolot do Phoenix odlatywał o dziesiątej trzydzieści.

Przyjechał na parking, który opuścił zaledwie przed paroma godzinami. Tym razem zaparkował volkswagena daleko od bramy wjazdowej, w rejonie gdzie parkowali pasażerowie wahadłowca Eastern. Ten sektor był zawsze zatłoczony. Może upłynąć miesiąc, zanim ktoś zauważy, że volkswagen stoi tu już od dawna. Numery silnika samochodu były spiłowane, a tablice rejestracyjne niemożliwe do sprawdzenia. Zdjął je z jakiegoś wraka pięć lat temu.

Wyjął z bagażnika obydwie walizki, lekką z ubraniami i kasetami, ciężką z pieniędzmi, oraz CB-radio w pudełku. Teraz już absolutnie nic nie łączyło go z tym pojazdem.

Szybkim krokiem doszedł do przystanku i wsiadł do autobusu. Pasażerowie spoglądali na niego obojętnie. Wyczuwał, że uważają go za kogoś gorszego. Tylko dlatego, że nie był tak wystrojony jak oni. Usiadł obok dziewczyny, która miała około dziewiętnastu lat i była bardzo atrakcyjna. Nie uszedł jego uwagi grymas pogardy, z jakim odwróciła się od niego. Dziwka. Nie wiedziała, jaki jest mądry i bogaty.

Autobus zatrzymał się przy hali odlotów krajowych. Wsiadł i przeszedł pięćdziesiąt metrów do specjalnego wejścia American Airlines. Bagażowy przyjmował od pasażerów walizki. Dobrze, nie będzie więc musiał sam taszczyć tego wszystkiego. Podał bilet. Nazwisko na bilecie brzmiało: „Renard” i oznaczało po francusku lisa. Tego nazwiska zamierzał używać w Arizonie.

- Zabrać wszystkie trzy walizki, proszę pana? - spytał bagażowy.

- Nie! Tej nie. - Porwał walizkę z pieniędzmi z zasięgu ręki pracownika lotniska.

- Przykro mi, proszę pana. Nie jestem pewien, czy może pan zabrać taką dużą walizkę na pokład.

- Muszę. - Stanowczym tonem starał się podkreślić wagę sprawy. - Mam tu papiery, nad którymi będę pracować.

Bagażowy wzruszył ramionami.

- W porządku, proszę pana. Myślę, że stewardesa może włożyć ją do schowka w kabinie, jeśli będzie to konieczne.

Była dziewiąta dwadzieścia osiem. Znowu poczuł się głodny. Najpierw jednak musiał zatelefonować. Wybrał budkę w odległym rogu poczekalni i, aby nie popełnić błędu, zapisał na kartce wszystko, co chciał powiedzieć. Wyobraził sobie, co pomyśli Steve Peterson, kiedy otrzyma wiadomość.

W domu pogrzebowym natychmiast podniesiono słuchawkę. Niskim głosem powiedział:

- Będziecie potrzebni, aby zabrać zwłoki.

- Dobrze, proszę pana. Kto mówi? - Głos był pełen unizoności.

- Czy jest pan gotów zapisać? - Foxy udał, że nie dosłyszał pytania.

- Oczywiście - odpowiedział ten sam usłużny głos.

- No to proszę zapisać wiadomość, a potem odczytać mi, abym mógł sprawdzić, czy wszystko się zgadza - rzucił ostro, po czym zaczął dyktować.

- Teraz mi to odczytaj - zażądał.

Obcy człowiek drżącym głosem spełnił polecenie.

Uśmiechając się, Foxy odwiesił słuchawkę.

Wszedł do dworcowego baru. Zamówił bekon, bułki, sok pomarańczowy i kawę. Jadł wolno, obserwując przechodzących ludzi. Wreszcie mógł się odprężyć. Na myśl o telefonie do domu pogrzebowego zatrząsł się od chichotu, wydobywającego się gdzieś z głębi brzucha. Początkowo miał zamiar ostrzec ich przed eksplozją w mieście Nowy Jork. W ostatniej chwili zmienił to na stan Nowy Jork. Wyobrażał sobie, jakiego kręcka dostają teraz gliny. Dużo im to pomoże!

Arizona, kraina malowanej pustyni!

To było konieczne, spojrzeć chłopcu prosto w oczy. Nie będzie musiał już nigdy przed nim uciekać. Wyobrażał sobie stację Grand Central o jedenastej trzydzieści. Siła wybuchu będzie skierowana w górę. Sufit spadnie całą swą druzgoczącą masą na Neila i Sharon.

Zrobienie bomby okazało się łatwe, tak łatwe, jak zreperowanie silnika. Wystarczyło dokładnie przeczytać instrukcje. Teraz cały świat będzie chciał wiedzieć, kto to jest Foxy. Pewnie o nim napiszą, tak jak o Rommlu.

Dopił kawę i wytarł usta wierzchem dłoni. Obserwował przez okno ludzi, niosących bagaże i śpieszących przez hol do bramek odlotów. Przypominał sobie zamach bombowy na LaGuardii w czasie świąt Bożego Narodzenia, parę lat temu. Wybuchła panika, a lotnisko zostało zamknięte, widział to w telewizji. Nie mógł się doczekać momentu, kiedy siedząc dziś wieczorem w barze w Phoenix, będzie oglądał reportaż z eksplozji na Grand Central. Nadadzą to w telewizji na całym świecie. Jeszcze lepiej by było, gdyby podał gliniarzom jakiś adres, gdzie zaczęliby szukać. Ci, którzy podkładali bomby w biurach, tak robili. Dzwonili i podawali długą listę miejsc, w których podłożyli bomby, i gliniarze nie wiedzieli, od czego zacząć. Musieli ewakuować ludzi ze wszystkich budynków wymienionych przez zamachowców.

On też mógł jeszcze zadzwonić. Co powinien im powiedzieć? Bezmyślnie rozejrzał się dookoła. To było ruchliwe lotnisko, mimo że nie tak duże jak Kennedy'ego. Ludzie plątali się wszędzie, tam i z powrotem. Tak jak na Grand Central. Albo na dworcu autobusowym. Wszyscy gdzieś pędzą i nie zwracają uwagi na innych. Chcą jedynie dotrzeć tam, dokąd zmierzają. Nie zauważają nikogo, nie odpowiadają uśmiechem na uśmiech.

Pomysł nabierał realnych kształtów. Załóżmy, że ostrzeże gliny. Powie im, że Sharon, Neil i bomba znajdują się w centrum komunikacyjnym w mieście Nowy Jork. To znaczy, że będą musieli opróżnić obydwa lotniska, dwa dworce autobusowe, stację Pensylwania i Grand Central. Zaczną szukać pod siedzeniami w poczekalniach, będą otwierać skrytki bagażowe. Nie będą wiedzieli, od czego zacząć. A wszyscy ludzie, ci parszywi ludzie, zostaną zmuszeni do opuszczenia tych miejsc, nie wsiądą do swoich pociągów, samolotów i autobusów.

Nigdy nie znajdą Sharon i Neila. Nigdy. Jediną osobą, która wiedziała o tym pokoju, była ta stara wiedźma, ale już się nią zajął. W największym mieście świata za pomocą jednego telefonu on jeden może przemieszczać ludzi jak pionki.

Peterson myśli, że jest wielkim cwaniakiem z tym swoim czasopismem, kontem w banku i dziewczyną! Foxy roześmiał się głośno. Para, siedząca przy sąsiednim stoliku, spojrzała na niego z zaciekawieniem.

Zadzwoń tuż przed wejściem do samolotu. Do kogo zadzwoni?

Jeszcze raz do domu pogrzebowego? Nie.

Kto będzie pewien, że ten telefon nie jest głupim dowcipem?

Już wie! Uśmiechając się i przewidując reakcję, jaką wywoła swoim telefonem, poszedł po następną kawę. Dwanaście po dziesiątej wyszedł z baru, ściskając w ręce uchwyt walizki. Specjalnie zwlekał tak długo, aby ochroniarze spieszyli się, prześwietlając podręczny bagaż. Nikt nie będzie zbyt zainteresowany jego walizką. Linie lotnicze lubiły trzymać się rozkładu lotów.

O dziesiątej piętnaście wśliznął się do budki przy wejściu numer dziewięć, wyjął ćwierćdolarówkę i wykręcił numer. Gdy usłyszał, że telefon po drugiej stronie został odebrany, szeptem przekazał wiadomość. Potem delikatnie odłożył słuchawkę, podszedł do miejsca odpraw i bez problemów minął kontrolę.

Światełko wzywające do zajmowania miejsc w samolocie migało, gdy przeszedł przez poczekalnię do rękawa, prowadzącego na pokład.

Była godzina dziesiąta szesnaście.

Ubranie było wilgotne, ciepłe i lepkie. Krew. Mocno krwawiła. Umrze. Lally wiedziała o tym. Czowała to. W mózgu pojawiło się zaćmione, zanikające światełko. Ktoś ją zabił... Ten człowiek, który zabrał jej pokój, teraz odebrał jej życie.

Pokój, jej pokój! Chciała w nim umrzeć. On już nie wróci.

Będzie się bał. Może nikt jej nie znajdzie, ukrytej w pokoju jak w grobowcu. Będzie pochowana w jedynym domu, jaki kiedykolwiek miała. Będzie tam spała na wieki, w kojącym szumie pociągów. Umysł rozjaśniał się... Nie miała wiele czasu, wiedziała o tym.

Świadoma tego, że w prawej ręce ściska klucz, Lally próbowała się podnieść. Coś ciągnęło... Nóż... Nóż wciąż tkwił w jej ciele. Nie mogła go dosięgnąć... Zaczęła się czołgać... Leżała nogami w kierunku schodów i musiała się odwrócić. Z ogromnym wysiłkiem przesuwała się wolno, centymetr po centymetrze, aż ustawiła się twarzą w stronę pokoju. Co najmniej pięć metrów do schodów, a potem schody. Czy podoła? Lally potrząsnęła głową. Czowała krew wypływającą z ust. Usiłowała ją wypluć.

Prawa ręka... Trzymaj mocno klucz... Lewa ręka naprzód... Prawe kolano pociągnij do przodu... Lewe kolano... Prawa ręka... Zrobi to. Jakoś zdoła wejść na schody.

Już wyobrażała sobie, jak otwiera drzwi, zatrząskuje je za sobą, czołga się, wciąga na łóżko, leży, zamyka oczy, czeka.

W pokoju śmierć przyjdzie do niej jak przyjaciółka; przyjaciółka z chłodnymi, delikatnymi rękami...

Są już martwi, pomyślał Steve. Gdy jesteś skazany, to tak jakbyś był już martwy. Dziś po południu matka RONALDA THOMPSONA przyjedzie odebrać ciało syna. Dziś po południu ludzie z zakładu pogrzebowego udadzą się na miejsce eksplozji i będą czekać na ciała Sharon i Neila. Gdzieś w stanie Nowy Jork, przeszukując gruzy...

Stał przy oknie. Na zewnątrz czekała grupa reporterów i kamery telewizyjne.

- Słowa biegną szybko - powiedział. - My, sępy ze środków masowego przekazu, kochamy dobre tematy. Przed chwilą dzwonił Bradley:

- Steve, co mogę zrobić? - zapytał.

„Nic. Nic. Daj mi znać, jeśli przypadkiem zobaczysz ciemnozielonego volkswagena z facetem około czterdziestki w środku. Prawdopodobnie samochód ma zmienione tablice rejestracyjne, więc to nic nie da. Mamy godzinę i dwadzieścia minut”.

- Co zrobiliście w związku z tą informacją o bombie? - spytał Taylora.

- Postawiliśmy w stan gotowości wszystkie większe miasta stanu. Nic więcej nie możemy zrobić... Eksplozja w stanie Nowy Jork... Czy wie pan, ile tysięcy kilometrów kwadratowych obejmuje ten obszar? Panie Peterson, wciąż istnieje podejrzenie, że to tylko mistyfikacja. Mamy na myśli groźbę wybuchu... telefon do zakładu pogrzebowego...

Nie, nie, jest za późno, myślał Steve. Bill i Dora Lufts wprowadzili się do jego domu po śmierci Niny. Zostali tu, aby wyświadczyć mu przysługę, zająć się Neilem i nim. Ale Bili Lufts, opowiadając wszystkim o życiu Steve'a, mógł spowodować porwanie Neila i Sharon... ich śmierć. Krąg śmierci... Nie, proszę, niech oni żyją, pomóż nam ich odnaleźć...

Steve odwrócił się od okna. Hank Lamont wszedł do pokoju razem z Billem. Raz jeszcze powtarzali całą historię. Znał ją już na pamięć...

- Panie Lufts, dużo pan rozmawiał z tym Arty. Proszę, niech pan spróbuje sobie przypomnieć, czy on wspominał kiedyś o jakimś szczególnym miejscu, dokąd chciałby pojechać... Meksyk... albo Alaska?...

Bili potrząsnął głową. To wszystko przerastało jego możliwości pojmowania. Oni podejrzewali, że to Arty porwał Neila i Sharon. Arty, spokojny chłopak, dobry mechanik. Parę tygodni temu Bili pojechał do niego. Zabrał ze sobą Neila. Dokładnie pamięta ów dzień, bo następnej nocy chłopiec miał ostry atak astmy. Bili rozpaczliwie próbował sobie przypomnieć, co mówił Arty. Ale wyglądało na to, że tamten nigdy zbyt wiele nie mówił. Raczej był zainteresowany opowieściami Billa.

Hank był na siebie wściekły. Siedział wtedy w barze Mill Tavern i stawiał tym facetom piwo! Powiedział potem w komisariacie, żeby sobie nie zawracali głowy sprawdzaniem ich. Jak mówił Hughie, wszystko, co człowiek robi, pozostawia ślady... Widział, jak ten facet wychodzi z baru - a on, Hank, niczego nie podejrzewał. Zmarszczył brwi. Był jakiś zgrzyt w tym, co Arty powiedział, wychodząc. Co to było? Bili opowiadał:

- ...miły, spokojny facet... pilnuje swego nosa... Może trochę mnie wypytywał... Wydawało mi się, że jest po prostu przyjazny i interesuje się tym, co mówię...

- Chwileczkę - przerwał mu Hank.

- O co chodzi? - Hugh odwrócił się do młodszego agenta. - Masz coś...

- Może. Kiedy Arty wychodził razem z innymi... oni powiedzieli coś o tym, że nie będą mieli okazji już go zobaczyć, nim wyjedzie do Rhode Island...

- Taaak. Tu mi kaktus wyrośnie, jeśli Arty wybiera się do Rhode Island... - mruknął Hugh.

- O to mi właśnie chodzi. Powiedział coś innego, a ten facet od reklamy, Allan Kroeger, podsumował to żartem... Żartem o... malowanej pustyni. O to chodzi.

- O co? - spytał Taylor, nic nie rozumiejąc.

- Kiedy powiedzieli: „Szkoda, że Billa Luftsa tu nie ma i nie może cię pożegnać”, Arty odrzekł: „Rhode Island to nie Arizona”. Czy to może być przejęzyczenie?

- Wkrótce się przekonamy. - Hugh sięgnął do telefonu.

Wszedł Roger Perry. Położył dłoń na ramieniu Steve’a i razem z nim przysłuchiwał się, jak Taylor rzuca rozkazy do słuchawki, nakazując zdumionym ludziom z FBI iść nowym śladem.

- Jeśli wybiera się do Arizony, dostaniemy go, panie Peterson, mogę to panu obiecać.

- Kiedy? - zapytał bezbarwnym głosem Steve. Twarz Rogera miała kolor popiołu.

- Steve, chodźmy stąd - zaproponował. - Glenda chce, abyś przyszedł do nas. Proszę cię.

Steve potrząsnął przecząco głową.

- Pójdziemy obaj - powiedział szybko Hugh. - Hank, zajmij się tu wszystkim.

Peterson zastanowił się chwilę.

- W porządku - zgodził się i ruszył do frontowych drzwi.

- Nie, chodźmy tylnym wyjściem i przez las. Uniknie pan reporterów - doradził Taylor.

Cień uśmiechu zawisł na moment na ustach Steve’a.

- O to właśnie chodzi. Nie mam zamiaru ich unikać. - Otworzył drzwi. Fala reporterów natychmiast ruszyła w jego stronę. Podstawiono mu pod nos mikrofony. Kamery telewizyjne ustawiono tak, aby uchwycić jego wychudłą, zmęczoną twarz.

- Panie Peterson... czy są jakieś nowe wiadomości?

- Nie.

- Jak pan sądzi, czy porywacz spełni groźbę i zabije pańskiego syna oraz Sharon Martin?

- Mamy wszelkie powody wierzyć, że jest zdolny do tego rodzaju aktu przemocy.

- Czy myśli pan, że to coś więcej niż zbieg okoliczności, że zapowiadana eksplozja nastąpi dokładnie w tej samej minucie, co egzekucja Ronalda Thompsona?

- Nie sądzę, aby chodziło o zbieg okoliczności. Myślę, że Foxy mógł być zamieszany w śmierć mojej żony. Próbowałem przekazać tę wiadomość pani gubernator, ale ona nie chce ze mną rozmawiać. W tej chwili publicznie proszę ją o odroczenie egzekucji Ronalda Thompsona. Ten chłopiec może być niewinny... Myślę, że jest niewinny.

- Panie Peterson, czy pański pogląd na karę śmierci uległ zmianie pod wpływem tego, co stało się z pana synem i Sharon Martin? Kiedy porywacz zostanie odnaleziony, czy chciałby pan zobaczyć jego egzekucję?

Peterson wyciągnął rękę i odsunął od twarzy mikrofony.

- Chcę odpowiedzieć na państwa pytania, proszę mi to umożliwić. - Reporterzy się uspokoili. Steve spojrzał prosto w obiektywy kamer. - Tak. Zmieniłem zdanie. Mówię to, wiedząc, jak mało prawdopodobne jest, aby mój syn i Sharon zostali odnalezieni żywi. Ale nawet jeśli porywacz zostanie ujęty zbyt późno, abyśmy mogli ich uratować, nauczyłem się czegoś przez te ostatnie dwa dni. Nauczyłem się, że żaden człowiek nie ma prawa decydować o momencie śmierci innej osoby. Wierzę, że ta siła spoczywa jedynie w mocy Boga Wszechmogącego i... - Głos mu się załamał. - I proszę tylko, abyście modlili się do Boga, by Neil, Sharon i Ronald zostali dziś oszczędzeni. - Po jego policzkach spływały łzy. - Pozwólcie mi przejść - poprosił słabym głosem.

Reporterzy rozstąpili się w milczeniu. Roger i Hugh podążyli za Steve'em, widząc, jak przedziera się przez zatłoczoną ulicę,

Glenda czuwała przy drzwiach. Kiedy się do nich zbliżyli, otworzyła natychmiast i otoczyła Steve'a ramieniem.

- Płacz, mój drogi - powiedziała cicho. - Nie łamś tego w sobie.

- Nie pozwolę, aby odeszli - szlochał Steve rozdzierająco. - Nie mogę ich stracić...

Pozwoliła, aby się wyplakał. Obejmowała jego szerokie ramiona wstrząsane łkaniem. Gdybym wcześniej sobie przypomniała, zadreczęła się w duchu. Och, Boże, spóźniłam się ze swoją pomocą. Czula drżenie jego ciała, kiedy próbował stłumić w sobie szloch.

- Przepraszam, Glendo, masz już dość... nie jesteś zdrowa...

- Czuję się dobrze - powiedziała. - Steve, czy ci się to podoba, czy nie, musisz wypić filiżankę herbaty i zjeść parę grzanek. Nie jadłeś i nie spałeś od dwóch dni...

W przygnębiającym nastroju weszli do jadalni.

- Panie Peterson - odezwał się z namysłem Hugh. - Proszę pamiętać, że zdjęcia Sharon i Neila ukażą się w specjalnym wydaniu porannych gazet i są już pokazywane przez wszystkie stacje telewizyjne. Ktoś mógł ich widzieć albo coś zauważyć... - Myśli pan, że ten, kto ich porwał, paradował z nimi w miejscach publicznych? - spytał gorzko Steve.

- Ktoś mógł zauważyć jakieś dziwne zdarzenia, ktoś mógł usłyszeć którąś z tych rozmów telefonicznych lub rozmowę w barze...

W tym czasie Marian przelewała wodę z czajnika do dzbanka z herbatą. Drzwi pomiędzy kuchnią i jadalnią były otwarte, więc mogła przysłuchiwać się rozmowie. Biedny, biedny pan Peterson! Nic dziwnego, że wydawał się taki nieuprzejmy, kiedy go zagadnęła. Był przecież zmartwiony tym, że chłopczyk został porwany, a ona jeszcze go zdenerwowała, mówiąc o Neilu. To dowodzi, że nie powinno się osądzać ludzi pochopnie. Nigdy nie wiadomo, jakie nieszczęście w sobie noszą.

Może napiłby się trochę herbaty?

Wniosła dzbanek. Steve trzymał twarz ukrytą w dłoniach.

- Panie Peterson, niech pan pozwoli, że naleję panu gorącej herbaty - zaproponowała cicho. Podniosła filiżankę.

Steve wolno opuścił ręce, odsłaniając twarz. W następnej sekundzie dzbanek przeleciał nad stołem, wywracając cukierniczkę, a dookoła rozlał się brązowy napój.

Glenda, Roger i Hugh aż podskoczyli. Zszokowani, patrzyli na Steve'a, który ścisnął za ramiona przerażoną Marian.

- Skąd wzięłaś ten pierścionek! - krzyczał. - Skąd wzięłaś ten pierścionek?!

W więzieniu stanowym w Somers Kate Thompson żegnała pocałunkiem syna. Niewidzącymi oczami wpatrywała się w wygolone miejsce na jego głowie, przypominające mnisią tonsurę... na rozcięcia w bocznych szwach spodni.

Ale gdy otoczyły ją silne, młode ramiona Ronalda oczy miała suche. Przyciągnęła do siebie jego twarz.

- Bądź dzielny, kochanie - powiedziała.

- Będę. Bob powiedział, że zaopiekuje się tobą, mamó.

Odeszła. Bob postanowił zostać do końca. Wiedział, że będzie łatwiej, jeśli pani Thompson teraz odejdzie... Łatwiej dla Rona... Wyszła z więzienia na zimną, zawianą śniegiem drogę prowadzącą do miasta. Nadjechał radiowóz.

- Podwieziemy panią - powiedział policjant.

- Dziękuję. - Z godnością wsiadła do samochodu.

- Mieszka pani w motelu, pani Thompson?

- Nie... proszę mnie zawieźć do kościoła Świętego Bernarda.

Poranne msze już się skończyły. Kościół był pusty. Uklękła przed figurą Matki Boskiej.

- Bądź z nami w tej ostatniej chwili... Zabierz gorycz z mego serca. Ty, która straciłaś swojego niewinnego syna, pomóż mi, skoro muszę stracić mego...

Marian, trzęsąc się, próbowała mówić, nie mogła jednak wykrztusić ani słowa. Język miała zupełnie sztywny. Herbata sparzyła jej rękę. Palec bolał w miejscu, z którego pan Peterson zdarł pierścionek.

Wszyscy patrzyli na nią tak, jakby jej nienawidzili. Pan Peterson mocniej ścisnął jej nadgarstek,

- Skąd wzięłaś ten pierścionek?! - zawołał jeszcze raz.

- Ja... ja... ja go znalazłam - powiedziała trzęsącym i łamiącym się głosem.

- Znalazłaś go! - Taylor odepchnął Steve'a od Marian. Jego głos był pełen pogardy. - Znalazłaś!

Gdzie?

- W moim samochodzie. - Marian była przerażona. Hugh parsknął i spojrzał na Petersona.

- Czy jest pan pewien, że to ten sam pierścionek, który dał pan Sharon Martin? - zapytał.

- Całkowicie. Kupiłem go w pewnej wiosce w Meksyku. Jest niepowtarzalny. Proszę spojrzeć. -

Rzucił go w stronę Taylora. - Niech pan dotknie krawędzi po lewej stronie obrączki.

Hugh przesunął palcem po pierścionku. Twarz mu stężała.

- Gdzie pani płaszcz, pani Vogler? Idzie pani z nami na przesłuchanie. - Gwałtownie wypluł z siebie słowa ostrzeżenia. - Nie ma pani obowiązku odpowiadać na pytania. Wszystko, co pani powie, może być użyte przeciwko pani. Ma pani prawo zadzwonić do adwokata. Chodźmy.

- Niech to cholera! Niech pan jej nie mówi, że nie musi odpowiadać na pytania! Czy pan zwariował? Ona musi odpowiedzieć na pytania! - zawołał Steve.

Glenda zachowała kamienną twarz. Wpatrywała się w Marian z pełną złości niechęcią.

- Wspominała pani dziś rano o Artym - odezwała się oskarżającym głosem. - Mówiła pani, że naprawiał wam samochód. Jak pani mogła, sama będąc matką, brać w tym udział?

Hugh odwrócił się gwałtownie.

- Mówiła o Artym?

- Tak.

- Gdzie on jest? - natarł na Marian Steve. - Gdzie ich trzyma? Mój Boże, jak cię widziałem po raz pierwszy, mówiłaś o Neilu.

- Steve, Steve uspokój się! - Roger ścisnął go za ramię.

Marian czuła, że za chwilę zemdleje. Zatrzymała pierścionek, choć nie należał do niej. Teraz ci ludzie myślą, że miała coś wspólnego z porwaniem. Co zrobić, aby jej uwierzyli? Fala mdłości zmaciła jej wzrok. Zmusi ich, aby zadzwonili do Jima. Muszą zadzwonić do Jima. On jej pomoże. Przyjedzie tu i opowie, jak ukradziono im samochód i że Marian znalazła w nim pierścionek. Zmusi ich, aby w to uwierzyli. Pokój zaczął nagle wirować jej przed oczami, chwyciła się stołu.

Steve skoczył, aby złapać panią Vogler, nim upadnie. Zamglonym wzrokiem spojrzała mu w oczy i zobaczyła w nich ogromne cierpienie. Litość, którą dla niego poczuła, uspokoiła ją. Przytrzymała się jego ręki i siłą woli otrząsnęła z zamroczenia.

- Panie Peterson. - Mogła mówić. Musiała mówić. - Nie umiałabym nikogo skrzywdzić. Chcę panu pomóc. Naprawdę znalazłam ten pierścionek. W naszym samochodzie. Został skradziony w poniedziałek wieczorem, Arty akurat go naprawił.

Steve spojrzał na wystraszoną kobietę. Dotarło do niego znaczenie tego, co powiedziała.

- Skradziony! Wasz samochód został skradziony w poniedziałek wieczorem? - O Boże, pomyślał, czy jest jeszcze szansa, by ich odnaleźć?

- Proszę pozwolić mi się tym zająć, panie Peterson - wtrącił się Hugh. Podsunął krzesło i pomógł Marian usiąść. - Pani Vogler, jeśli pani mówi prawdę, musi pani nam pomóc. Czy dobrze pani zna Arty'ego?

- Nie... nie za bardzo. On... on jest dobrym mechanikiem. Odebrałam samochód w niedzielę, a w poniedziałek po południu pojechałam na czwartą do kina, na Carley Square. Zostawiłam auto na parkingu przed kinem. Nie było go tam, kiedy wyszłam tuż przed wpół do ósmej.

- A więc Arty wiedział, w jakim stanie jest samochód - zauważył Hugh. - Czy wiedział też, że wybiera się pani do tego kina?

- Chyba tak... - Marian zmarszczyła brwi. Ciężko jej było się skupić. - Tak, rozmawialiśmy o tym u niego. Potem dolał benzyny do baku. Powiedział, że to premia, bo naprawa była kosztowna.

- Mówiłam, że to był ciemny, szeroki samochód - mruknęła pod nosem Glenda.

- Pani Vogler - odezwał się Taylor. - To bardzo ważne. Gdzie znaleziono państwa samochód?

- W Nowym Jorku. Policja go odholowała. Był nieprawidłowo zaparkowany.

- Gdzie? Może przypadkiem pani wie, w którym miejscu go znaleźli?

Marian próbowała się skoncentrować.

- Koło hotelu, koło jakiegoś hotelu.

- Pani Vogler, niech pani spróbuje sobie przypomnieć. Przy którym hotelu? Może nam pani oszczędzić wiele cennego czasu.

Marian potrząsnęła głową.

- Nie wiem - odpowiedziała bezradnie.

- Czy pani mąż będzie pamiętał?

- Tak, ale on ma dzisiaj robotę za miastem. Będziecie musieli zadzwonić do fabryki i sprawdzić, czy mogą się z nim skontaktować.

- Jakie numery rejestracyjne ma pani samochód? - zapytał Hugh.

Marian szybko je podała. Jaki to hotel? Jim mówił, przy jakiej to było ulicy. Dotarcie do Jima zajmie im sporo czasu... Sprawdzenie rachunku za holowanie... Musi sobie przypomnieć. To było coś o starym gracie na ekskluzywnej ulicy. Tak powiedział Jim. Nie, mówił, że przecznica ma nazwę od nazwiska rodziny, która zawsze należała do elity.

- Aleja Vanderbilt! - zawołała. - To jest to! Mój mąż powiedział, że nasz samochód był zaparkowany przy alei Vanderbilt przed jakimś hotelem... Hotelem Biltmore!

Hugh chwycił słuchawkę i wybrał numery kwatery FBI w Nowym Jorku. Przez chwilę wydawał polecenia z szybkością karabinu maszynowego.

- Oddzwonie jak najszybciej. - Odłożył słuchawkę. - Jeden z agentów jedzie do hotelu ze starą fotografią Taggerta - powiedział. - Miejmy nadzieję, że zachowało się podobieństwo i będą w stanie coś nam powiedzieć.

Czekali w napięciu.

Mijały minuty. Proszę, modlił się Steve, dobry Boże, proszę...

Zadzwonił telefon. Agent chwycił słuchawkę.

- Co macie? - spytał i nagle wykrzyknął: - Słodki Jezu, sprowadzę helikopter! - Odłożył słuchawkę i zwrócił się do obecnych. - Recepcjonista z całą pewnością zidentyfikował osobę na zdjęciu jako A. R. Renarda, który zgłosił się w niedzielę wieczorem. Trzymał ciemnozielonego volkswagena w hotelowym garażu. Wymeldował się dziś rano.

- Renard. To po francusku lis! - wykrzyknęła Glenda.

- Rzeczywiście - potwierdził Hugh.

- Czy on... - Steve ścisnął krawędź stołu.

- Był sam. Ale recepcjonista pamięta, że wychodził z hotelu i wracał o dziwnych porach. Czasem nie było go tylko chwilę, co może oznaczać, że trzymał Neila i Sharon gdzieś w śródmieściu. Proszę pamiętać, że Jim Owens wykrył w dźwiękowym tle kasety odgłosy pociągów.

- Nie mamy czasu, nie mamy czasu! - Głos Steve'a był pełen goryczy. - Co nam z tego przyjdzie, że to wiemy!

- Wezwałem helikopter, który zabierze mnie do budynku PanAm. Zapewnię nam tam awaryjne lądowisko. Jeśli dostaniemy Taggerta na czas, zmusimy go do mówienia. Jeśli nie, najlepszym wyjściem jest skupienie naszych poszukiwań w okolicy hotelu Biltmore. Chce pan z nami polecieć?

Glenda spojrzała na zegar.

- Jest wpół do jedenastej - powiedziała bezbarwnym głosem.

Ojciec Kennedy siedział przy biurku na plebanii kościoła Świętej Moniki, słuchając wiadomości. Pokiwał głową, myśląc o skurczonej cierpieniem twarzy Steve'a Petersona, który wczoraj wieczorem odbierał stąd paczkę. Nic dziwnego, że był taki zdenerwowany.

Czy możliwe, aby znaleźli na czas to dziecko i kobietę? Gdzie nastąpi eksplozja? Ilu ludzi zostanie zabitych?

Zadzwoił telefon. Zmęczonym ruchem podniósł słuchawkę.

- Ojciec Kennedy - powiedział.

- Dzięki za dostarczenie paczki, którą zostawiłem na ołtarzu wczoraj wieczorem, ojcze. Mówi Foxy.

Ksiądz poczuł, że coś go ściska w gardle. Prasę poinformowano tylko o tym, że kasetka została znaleziona w kościele.

- Co...

- Żadnych pytań. Zadzwoń do Steve'a Petersona w moim imieniu i przekaz mu kolejną wskazówkę. Powiedz, że bomba wybuchnie w ważnym punkcie komunikacyjnym w mieście Nowy Jork. Tam może kopać.

Foxy przesuwiał się wolno przez poczekalnię obok bramki numer dziewięć, w stronę podestu prowadzącego na pokład samolotu. Przeczucie niebezpieczeństwa nie dawało mu spokoju. Nieufnie błędził wzrokiem dookoła. Pasażerowie ignorowali go, skupieni na grzebaniu w podręcznym bagażu i przygotowywaniu biletów do kontroli.

Spojrzał na swój bilet, schludnie schowany do koperty. W drugiej ręce mocno ścisnął uchwyt czarnej, starej walizki. Ten odgłos! To było to! Odgłos biegnących stóp. Policja!

Upuścił bilet, przesadził niską przegrodę między wejściem na pokład a korytarzem. Dwaj mężczyźni biegli szybko w jego stronę. Desperacko rozejrzał się wokół. W odległości około piętnastu metrów zauważył wyjście awaryjne. Musiało prowadzić na zewnątrz.

Walizka! Nie mógł biec z walizką. Po chwili wahania rzucił ją za siebie. Upadła na kamienną posadzkę, przesunęła się i gwałtownie otworzyła. Banknoty rozsypały się po korytarzu.

- Stać albo będziemy strzelać! - usłyszał rozkazujący głos.

Arty pchnął na oścież drzwi awaryjne, szybko zatrzasnął je za sobą i pobiegł zryzakiem na płytę lotniska. Samolot do Phoenix stał na pasie startowym. Mężczyzna obiegił go dookoła. Mała furgonetka z włączonym silnikiem stała przy lewym skrzydle, kierowca właśnie wsiadał. Foxy chwycił go od tyłu i zadał mu brutalny cios w szyję. Mężczyzna upadł. Arty odepchnął go na bok i wskoczył do furgonetki. Wcisnął pedał gazu, zryzakiem wjechał za samolot.

Lada moment gliny zaczną go ścigać. Ryzykiem było wysiadać z furgonetki, ale jeszcze większym w niej zostać. Pasy startowe kończyły się ślepo lub dochodziły do zatoki. Jeśli pojedzie jednym z nich, znajdzie się w pułapce.

Szukają mężczyzny jeżdżącego furgonetką po płycie lotniska. Nigdy nie będą go szukać w poczekalni. Na siedzeniu obok niego leżała otwarta książka z luźno powkładanymi kartkami. Przejrzał je pobieżnie. Coś na temat zamówień i dostaw. Zabrał to i wysiadł. Drzwi, oznaczone napisem „Tylko dla personelu”, akurat się otwierały. Schylając głowę nad książką, wyciągnął rękę i przytrzymał je, aby się nie zamknęły. Młoda kobieta w lotniczym mundurze rzuciła okiem na książkę i przeszła obok niego.

Teraz szybkim, pewnym krokiem przemaszerował przez wąski korytarz i w chwilę później był w rejonie odlotów. Policjanci przebiegli obok, żeby szukać go na płycie lotniska. Nie zwracając na nich uwagi, przeszedł przez hol dworca, stanął na krawężniku i machnął na taksówkę.

- Dokąd? - spytał taksówkarz.

- Stacja Grand Central. - Wyciągnął banknot dwudziestodolarowy - resztę swoich pieniędzy. - Jak szybko może pan tam dojechać? Odwołano mój samolot i muszę zdążyć na pociąg przed jedenastą trzydzieści.

Taksówkarz był bardzo młody, nie miał więcej niż dwadzieścia dwa lata.

- Panie, to kuszenie losu, ale postaram się. Drogi są teraz całkiem niezłe, a ruch niewielki. - Wcisnął pedał gazu. - Trzymaj się pan.

Foxy oparł się o poduszki siedzenia. Lodowaty pot chłodził mu czoło. Wiedzieli, kim jest. Założmy, że sprawdzili w starych raportach, że pracował kiedyś w barze Ostryga i był pomywaczem. Przypuśćmy, że przyszło im na myśl to pomieszczenie i poszli, by tam zajrzeć.

Bomba była podłączona do zegara. To znaczy, że jeśli ktoś wszedłby do pokoju, miałby czas uwolnić Neila i Sharon, może nawet zdołałby rozbroić bombę. Chociaż nie, wybuchłaby, gdyby ktoś jej dotknął, jest bardzo czuła.

Niepotrzebnie dzwonił jeszcze raz do księdza. To wina Sharon. Powinien był wczoraj ją udusić. Przypomniawszy sobie, co czuł, zaciskając ręce na jej szyi. Żadnej innej nie dotykał rękami, jedynie zawiązywał i zaciskał im chustki lub paski. Ale ona! Jego dłonie paliła żądza, by chwycić Sharon za gardło. Ona wszystko zepsuła. Oszukała go, udając, że go kocha. Nawet tam, w telewizji, zachowywała się, jakby go pragnęła, jakby chciała, aby ją zabrał. A wczoraj objęła go i próbowała zabrać rewolwer. Była niedobra, najgorsza z nich wszystkich, ze wszystkich tych kobiet w sierocińcach, wychowawczyń w poprawczakach, wszystkich, które go odpychały, kiedy próbował je pocałować, i mówiły: „Przestań! Nie rób tego!”. Nie powinien był zabierać Sharon do tego pokoju. Gdyby zabrał tylko chłopca, cały plan by się powiódł. Zmusiła go, aby ją zabrał, a teraz forsa przepadła. Wiedzieli, kim jest, musiał się gdzieś ukryć.

Ale najpierw ją zabije. W tej chwili zaczynają pewnie ewakuować dworce i lotniska. Nie tak szybko pomyślą o tamtym pomieszczeniu. Bomba była dla niej za dobra. Musi zobaczyć go nad sobą, poczuć na gardle jego ręce. A on będzie patrzeć z góry, jak Sharon umiera. Powie jej, co zamierza zrobić, i usłyszy, jak go błaga, by tego nie robił, a potem zaciśnie dłonie.

Przymknął oczy i głośno przełknął ślinę, pokonując nagłą suchość w ustach. Dreszcz rozkoszy pokrył gęsią skórą wilgotne od potu ciało Foxy'ego.

Potrzebował jedynie czterech lub pięciu minut na dworcu. Jeśli znajdzie się w pokoju przed jedenastą dwadzieścia siedem, będzie miał dość czasu. Ucieknie tunelem pod Park Avenue.

Mimo że nie ma przy sobie magnetofonu, będzie pamiętał dźwięki, jakie wyda Sharon. Chce pamiętać. Będzie zasypiał, przypominając sobie, jak brzmiał jej głos, gdy umierała.

Chłopiec. Po prostu go tam zostawi. Niech bomba się nim zaopiekuje. Nim, wszystkimi śmierdzącymi glinami i wszystkimi tymi ludźmi, którzy nie zdążą się stamtąd wydostać. Nawet nie wiedzą, co ich czeka.

Było dopiero dziesięć po jedenastej. Wjeżdżali tunelem do śródmieścia. Ten chłopiec był dobrym kierowcą. Jeszcze dziesięć lub piętnaście minut i będą na Czterdziestej Drugiej. Foxy miał mnóstwo czasu. Mnóstwo czasu dla Sharon. Taksówka zatrzymała się gwałtownie w połowie tunelu. Przerwał swoje rozmyślenia.

- O co chodzi? - spytał.

Taksówkarz wzruszył ramionami.

- Przykro mi, proszę pana. Tam stoi zepsuta ciężarówka. Wygląda na to, że rozsypał się ładunek. Obydwa pasy są zablokowane. Ale to nie powinno długo potrwać. Niech się pan nie martwi. Dowiozę pana na czas.

Foxy czekał, szalejąc z niecierpliwości, aby dostać się do Sharon. Ręce paliły go tak, jakby trzymał je w ogniu. Chciał wysiąść i przejść resztę drogi pieszo, ale odrzucił ten pomysł. Gliniarze z posterunku w tunelu z pewnością by go zatrzymali.

Było siedemnaście minut po jedenastej, gdy wolno wyjechali z tunelu i skręcili na północ. Na Czterdziestej ruch zaczął się zagęszczać.

- Jest jakieś zamieszanie. Skręcę na zachód i pojedę na skróty - powiedział taksówkarz.

Na Trzeciej Alei utknęli w korku. Nieruchome samochody blokowały skrzyżowanie, klaksony trąbiły wściekle. Rozzłoszczeni przechodnie próbowali przeciskać się wśród samochodów.

- Panie, coś się dzieje - odezwał się znów taksówkarz. - Wygląda na to, że jakieś ulice są pozamykane. Niech pan poczeka, włączę radio. Może to znowu zamach bombowy.

Prawdopodobnie opróżniali dworzec. Foxy rzucił kierowcy dwudziestodolarowy banknot, otworzył drzwi i wślizgnął się między samochody.

Zobaczył ich na Czterdziestej Drugiej. Gliny. Wszędzie gliny. Czterdziesta Druga zamknięta dla ruchu. Szedł przed siebie, z mozołem torując sobie drogę. Bomba. Bomba. Zatrzymał się. Ludzie mówili o bombie podłożonej na stacji. Czy znaleźli Sharon i chłopca? Ta myśl wywołała w nim falę wściekłości, Roztrącając ludzi, przepychał się przez tłum.

- Poczekaj, kolego. Nie możesz iść dalej. - Masywnie zbudowany, młody policjant poklepał Foxy'ego po ramieniu, kiedy chciał przejść przez Trzecią Aleję.

- O co chodzi? - zapytał. Musiał wiedzieć, co się stało.

- Mamy nadzieję, że o nic, proszę pana. Ale była telefoniczna wiadomość o bombie. Musimy zachować wszelkie środki ostrożności.

Telefoniczna! Jego telefon do księdza! Wiadomość! To znaczy, że nie znaleźli bomby. W porządku. Poczuł, jak roznosi go podniecenie. Palce i dłonie ścierpły mu tak jak zawsze, gdy zbliżał się do dziewczyny, i wiedział, że nic go nie powstrzyma od tego, co chce zrobić. Spokojnym głosem i z zatroskanym wyrazem twarzy powiedział do policjanta:

- Jestem chirurgiem. Chcę pomóc w pogotowiu medycznym, gdyby było to potrzebne.

- O, przepraszam, doktorze. Proszę przejść.

Foxy biegł Czterdziestą Drugą, trzymając się blisko zabudowań. Następny gliniarz może go wylegitymować. Ludzie wylewali się strumieniem z budynków biurowych i sklepów, popędzani przez policję, używającą do tej akcji megafonów.

- Proszę poruszać się szybko, ale nie wpadać w panikę. Idźcie do Trzeciej lub Piątej Alei. Dokładne stosowanie się do poleceń może uratować wam życie...

Dokładnie dwadzieścia sześć minut po jedenastej Foxy, przepychając się przez oszołomiony i przerażony tłum, dopadł głównego wejścia na dworzec. Drzwi były zaklinowane w pozycji otwartej, żeby usprawnić ewakuację. Starszy policjant stał po lewej stronie, pilnując bocznego wejścia. Foxy próbował przemknąć obok niego, ale ten chwycił go za ramię.

- Hej, nie może pan tam wejść - upomniał go.

- Jestem dworcowym mechanikiem - powiedział sucho Foxy. - Wezwano mnie.

- Spóźnił się pan. Saperzy zaraz będą wychodzić.

- Wezwano mnie - powtórzył Foxy.

- Rób pan, co chcesz. - Policjant puścił jego ramię.

Opuszczony kiosk przy drzwiach obłożony był porannymi gazetami. Foxy dostrzegł wielki, czarny nagłówek: PORWANIE. To było o nim, o tym, co zrobił... on, Lis.

Przebiegł obok kiosku i zajrzał do głównego holu. Policjanci przeszukiwali teren wokół kas biletowych i budek telefonicznych. Pewnie było ich znacznie więcej, rozsianych po całej stacji. Ale Foxy ich przechytrzył! Wszystkich!

Niewielka grupka ludzi stała skupiona przy stanowisku informacyjnym. Wysoki mężczyzna o szerokich ramionach i jasnych włosach, z rękami wciśniętymi w kieszenie spodni, potrzasał głową. Steve Peterson! To był Steve Peterson! Wstrzymując oddech, Foxy pobiegł w kierunku schodów, prowadzących w dół.

Teraz potrzebował już tylko minuty. Palce drżały i paliły. Zginał je i prostował, zbiegając po schodach. Tylko kciuki sterczały sztywno. Biegł przez dolny hol, przez nikogo niezatrzymywany, po czym zniknął na schodach prowadzących na peron.

Wiadomość o telefonie Foxy'ego dotarła do Hugh i Steve'a, gdy helikopter minął most Triborough.

- Główne centrum przewozowe... Miasto Nowy Jork - rzucił Hugh do słuchawki. - Chryste! To oznacza obydwie lotniska i obydwie dworce: Pensylwania i Grand Central. Czy zaczęliście już ewakuację?

Steve słuchał przygarbiony, splatając i rozplatając dłonie. Lotnisko Kennedy'ego! Lotnisko LaGuardia! Dworzec autobusowy przy kapitanacie portu zajmował olbrzymią powierzchnię, ten przy moście był chyba jeszcze większy. Sharon... Neil... Och, Boże, nie ma nadziei... „Niech lis zbuduje swe gniazdo w twoim sercu...”.

Hugh odłożył słuchawkę.

- Nie może pan tego popchać trochę szybciej? - ponaglił pilota.

- Wiatr wieje coraz mocniej - wyjaśnił mężczyzna. - Spróbuję lecieć niżej.

- Porywisty wiatr, jeszcze tego nam trzeba, jeśli po wybuchu nastąpi pożar - wymruczał Hugh. Spojrzał na Steve'a. - Nie ma się co oszukiwać. Jest źle. Musimy założyć, że Foxy spełnił pogroźkę i podłożył bombę... - powiedział.

- A Sharon i Neil są gdzieś w pobliżu. - Głos Steve'a był urywany. - Gdzie zaczynacie szukać?

- Próbujemy na ślepo - odrzekł zwięźle Hugh. - Główne poszukiwania będą na Grand Central. Proszę pamiętać, że zaparkował samochód przy alei Vanderbilt i mieszkał w hotelu Biltmore. Zna dworzec jak własną kieszeń. A Jim Owens uważa, że odgłosy pociągów, które słyszał na kasecie, bardziej kojarzą się z pociągami podmiejskimi niż z wagonami metra.

- Co z Thompsonem? - spytał Steve.

- Jeśli nie złapiemy Foxy'ego i nie wyciśniemy z niego przyznania się do winy, będzie po nim - bezbarwnym głosem odpowiedział Hugh.

Pięć minut po jedenastej helikopter wylądował na budynku PanAm. Kiedy wysiedli, natychmiast podbiegł do nich agent o pociągłej twarzy. Błady ze złości, z zaciśniętymi ustami, zdał krótką relację z ucieczki Foxy'ego.

- Co to znaczy: uciekł? - wybuchnął Hugh. - Jak to się, do diabła, stało? Czy jesteście pewni, że to był Foxy?

- Absolutnie. Rzucił walizkę z pieniędzmi. Szukają go na płycie lotniska i w budynku, ale na całym lotnisku trwa teraz ewakuacja, więc jest tam straszne zamieszanie.

- Okup nam nie powie, gdzie Arty podłożył bombę, i nie pomoże Thompsonowi - przerwał Hugh. - Musimy znaleźć Foxy'ego i zmusić go do mówienia.

Foxy uciekł! Z tępym niedowierzaniem Steve analizował te słowa. Sharon. Neil. „Steve, nie miałam racji, przebac mi... Mamusia nie chciałaby, abym tu był...”. Czy ta dziwna kasetka miała być jego ostatnim kontaktem z nimi?

Kasetka. Głos Niny...

Steve chwycił ramię Hugh.

- Ta kasetka, którą przysłał... Musiał dograć do niej głos Niny. Mówił pan, że zabrał wszystko z garażu. Czy miał jakiś bagaż? Mógł mieć walizkę, coś przy sobie. Może wciąż ma tę drugą kasetę

z głosem Niny... Może jest coś, co wskaże, gdzie są Sharon i Neil? - To był istny grad pytań.

Hugh odwrócił się na pięcie do drugiego agenta.

- Co z bagażem? - zapytał.

- Dwa kwity są przyklejone do biletu, który upuścił. Ale samolot wystartował jakieś piętnaście minut temu. Nikt nie pomyślał, aby go zatrzymać. Dostaniemy te bagaże w Phoenix.

- To nie wystarczy! - zawołał Hugh. - Słodki Chryste! To nie wystarczy! Zawróćcie ten cholerny samolot! Zbierzcie do rozładowania go wszystkich bagażowych na LaGuardii. Każcie wieży kontrolnej przygotować pas do lądowania. Nie pozwólcie, by jakiś tępy dupek stanął wam na przeszkodzie. Gdzie jest telefon?

- W budynku.

Taylor w biegu wyciągnął notatnik. Szybko wykręcił numer więzienia w Somers i połączył się z biurem naczelnika.

- Wciąż próbujemy zebrać dowody niewinności Thompsona. Proszę trzymać wolną linię telefoniczną do ostatniego ułamka sekundy.

Zadzwoił do biura gubernator i połączył się z jej osobistą sekretarką.

- Niech pani, do cholery, pilnuje, aby gubernator była osiągalna, i trzyma wolną linię telefoniczną dla naszych ludzi z LaGuardii, a drugą do więzienia. Bo inaczej ten pieprzony stan może przejść do historii za usmażenie niewinnego dzieciaka. - Odłożył słuchawkę. - Chodźmy - zwrócił się do Steve'a.

Dziewiętnaście minut, pomyślał Steve, kiedy jechali w dół windą. Dziewiętnaście minut!

Hol budynku PanAm zatłoczony był ludźmi opuszczającymi dworzec. Zamach bombowy... zamach bombowy... Te słowa były na ustach wszystkich.

Steve i Hugh torowali sobie drogę przez tłum przemierzających się uciekinierów. Skąd można wiedzieć, gdzie szukać? Steve przeżywał męki. Był tu zaledwie wczoraj. Siedział w barze Ostryga, czekając na pociąg. Czy Sharon i Neil też tu wtedy byli, bezradni? Ponagląjący głos powtarzał w kółko przez megafon:

- Proszę natychmiast opuścić budynek. Należy udać się do najbliższego wyjścia. Nie wpadać w panikę. Nie gromadzić się przy drzwiach. Opuścić teren... Opuścić teren...

Stanowisko informacyjne na górnym poziomie dworca, ze złowrogo błyskającymi światłami ostrzegawczymi, było punktem dowodzenia dla przeszukujących stację. Inżynierowie studiowali plany i diagramy, wydając błyskawiczne komendy oddziałom przeszukującym.

- W tej chwili koncentrujemy się na obszarze pomiędzy podłogą tego poziomu a sufitem dolnego - powiedział do Hugh oficer dowodzący akcją. - Jest dostępny ze wszystkich peronów i stanowi dobrą kryjówkę. Przeprowadziliśmy kontrolę wszystkich peronów i sprawdzamy skrytki. Sądzymy, że jeśli nawet znajdziemy bombę, próba rozbrowienia jej będzie zbyt ryzykowna. Oddział saperów przyniósł wszystkie koce przeciwbombowe, jakie udało im się zebrać. Rozdzielimy je pomiędzy oddziały poszukiwaczy. Możemy liczyć na to, że jeden z nich w dziewięćdziesięciu procentach skutecznie powstrzyma eksplozję.

Oczy Steve'a penetrowały halę dworcową. Głośniki były już wyłączone i wielkie pomieszczenie ogarniała cisza. Zegar. Zatrzymał wzrok na zegarze wiszącym nad stanowiskiem informacyjnym. Wskazówki przesuwają się bezlitośnie... Jedenasta dwanaście... jedenasta siedemnaście... jedenasta dwadzieścia pięć... Chciał cofnąć te wskazówki, pobiec na każdy peron, zajrzeć do każdej poczekalni, do każdego schowka. Chciał krzyknąć: Sharon! Neil!

Z desperacją odwrócił głowę. Musi coś zrobić, musi sam ich poszukać. Jego wzrok padł na wysokiego, kościstego mężczyznę, który wbiegł wejściem od strony ulicy Czterdziestej Drugiej,

zbiegł po schodach i zniknął. Było w nim coś znajomego... Może to jeden z agentów? Cóż może jeszcze teraz zdziałać dobrego?

Włączył się głośnik.

- Jest godzina jedenasta dwadzieścia siedem. Wszyscy poszukujący udadzą się natychmiast do najbliższego wyjścia. Natychmiast opuścić dworzec. Powtarzam. Natychmiast opuścić dworzec.

- Nie! - Steve ścisnął ramię Hugh i odwrócił go do siebie. - Nie!

- Panie Peterson, niech pan będzie rozsądny. Jeżeli ta bomba wybuchnie, wszyscy możemy zginąć. Jeśli nawet Sharon i Neil są tutaj, nie możemy im pomóc w ten sposób.

- Ja nie wychodzę - oświadczył Steve.

Hugh i jeden z policjantów chwycili go za ramiona.

- Panie Peterson, niech pan będzie rozsądny - powtórzył Hugh.

Steve wyrwał się im.

- Zostawcie mnie, do cholery! - zawołał. - Zostawcie mnie!

To na nic! Z oczami wpatrzonymi w tarczę zegara Sharon rozpaczliwie próbowała wbić odłamaną krawędź klamki w sznury na nadgarstkach. Trudno było, trzymając klamkę w jednej dłoni, przeciąć więzy na drugiej. Przeważnie w ogóle nie trafiała w sznur i metal wbijał jej się w rękę. Czowała sączącą się z rany krew. Co będzie, jeśli przebije tętnicę i zemdleje?

Krew zmiękczała sznury, stawały się bardziej sprężyste i metal ześlizgiwał się po nich. Już od godziny próbowała uwolnić ręce. Była za dwadzieścia pięć jedenasta. Za dwadzieścia jedenasta.

Za dziesięć... Za pięć... Pięć po...

Twarz miała mokrą od potu, dłonie lepkie od krwi. Nie czuła już bólu. Wiedziała, że Neil ją obserwuje. Dziesięć po jedenastej poczuła, że sznury słabną, puszczają. Zbierając resztki sił, szarpnęła rękami na boki i oswobodziła się z więzów.

Podniosła ręce i potrząsnęła nimi, próbując odzyskać czucie.

Piętnaście minut!

Opierając się na lewym łokciu, podciągnęła się w górę i przesunęła na tyle, aby oprzeć się plecami o ścianę. Udało jej się unieść do pozycji siedzącej. Nogi opadły przez krawędź łóżka. Ostry ból przeszył kostkę.

Czternaście minut.

Nie mogła chodzić. Nawet jeśli zdoła się doczołgać do bomby, może ją niechcący potrafić i uruchomić. Pamiętała, z jaką niesłychaną ostrożnością pracował Foxy, gdy łączył przewody.

Nie miała szans. Musi uwolnić Neila. Jeśli zdoła go rozwiązać, mógłby wyjść i ostrzec ludzi. Wyjęła mu knebel z ust.

- Spróbuję cię rozwiązać. To może boleć - powiedziała do chłopca.

I wtedy usłyszała odgłos. Coś stuknęło do drzwi. Czy on wracał? Czy zmienił zdanie? Przytulając do siebie Neila, Sharon wpatrywała się w drzwi. Otwierały się powoli. Pstryknął kontakt.

W przyćmionym świetle ujrzała coś, co sprawiało wrażenie zjawy, kroczącej chwiejnie w jej stronę. Kobieta! Stara kobieta z głęboko zapadniętymi, rozbieganymi oczami! Struga krwi wypływała jej z ust.

Neil skulił się, gdy podeszła bliżej, i patrzył przerażony, jak przybyła zjawy zaczyna pochyłać się do przodu. W pewnym momencie upadła na bok jak bezwładny worek. Próbowała mówić:

- Nóż... wciąż tkwi w moich plecach... Pomocy... Proszę... wyjmijcie go... Boli... Chcę tutaj umrzeć...

Jej głowa opierała się o stopę Sharon, ciało było groteskowo wygięte. Sharon dostrzegła rękojeść noża pomiędzy łopatkami. Mogłaby nim uwolnić Neila... Drżąc na całym ciele, ujęła rękojeść w obie dłonie i pociągnęła. Nóż wysunął się z rany. Trzymając go mocno, Sharon natychmiast przecięła więzy na rękach i nogach chłopca.

- Neil... biegnij!... Wydostań się stąd!... Krzycz do ludzi, że zaraz będzie tu wybuch!... Śpiesz się!... W dół, po schodach!... Zobaczysz dużą rampę!... Biegnij tam!... Na peronie wejdź po schodach!... Zobaczysz ludzi!... Tatuś przyjdzie po ciebie!... Śpiesz się!... Wyjdź z tego budynku!... Niech wszyscy ludzie wyjdą!...

- Sharon, a co z tobą? - błagalnym głosem zapytał Neil. Ześlizgnął się z łóżka. Próbował iść, ale

się potknął. - Moje nogi... - jęknął.

- Neil... idź już! Idź - ponaglała go.

Rzucając jej ostatnie błagalne spojrzenie i starając się pokonać ból, wybiegł z pokoju. Bardzo się bał. Bomba! Może, jeśli mu się uda kogoś znaleźć, to pomogą Sharon. Był już przy końcu rampy, na stacji kolejowej. Tory. Sharon mówiła, żeby biegł w górę po schodach. Rozległ się czyjś głos. Brzmiał tak jak wtedy, gdy dyrektor mówił w szkole przez głośniki.

Ten głos nakazywał, żeby wszyscy wyszli. Gdzie jest człowiek, który to mówił?

Usłyszał kroki na schodach. Ktoś nadchodził, ktoś, kto pomoże Sharon! Neil poczuł wielką ulgę. Próbował krzyknąć, ale nie mógł, brakowało mu tchu. Bardzo bolały go nogi. Z trudem dobiegł do schodów i zaczął się wspinać. Musi powiedzieć o Sharon!

Neil spojrział w górę i ujrzał zbliżającą się do niego twarz. Twarz, która nawiedzała go w sennych koszmarach.

Foxy również zobaczył Neila. Zmrużył oczy i wyciągnął rękę...

Neil odskoczył na bok i wystawił nogę. Mężczyzna zawadził stopą o jego trampek i upadł. Omijając wyciągnięte, chcące go schwytać ręce, Neil wbiegł po schodach na górę. Znalazł się w jakimś dużym, pustym pomieszczeniu. Nikogo tu nie było! Szlochając, wbiegał po schodach jeszcze wyżej. Próbował krzyczeć. Wszędzie byli policjanci! Wszyscy uciekali! Uciekali od niego! Kilku z nich popychało jakiegoś człowieka.

Popychali tatusia!

- Tatusiu! - zawołał Neil. - Tatusiu!

Ostatnim wysiłkiem zaczął biec przez halę. Steve usłyszał go, odwrócił się, podbiegł i chwycił chłopca w ramiona...

- Tatusiu - szlochał Neil. - Ten zły człowiek zabije teraz Sharon... Tak, jak zabił mamusię.

Rosie walczyła z całych sił, aby nie dać się usunąć z dworca. Lally znajdowała się tam, na dole, w Sing-Singu. Wiedziała o tym! Wszędzie było pełno glin. Kilku z nich stało przy stanowisku informacyjnym. Rosie odnalazła wzrokiem Hugh Taylora. To był ten miły facet z FBI, który zawsze z nią rozmawiał, jeśli przypadkiem znalazł się na stacji. Pobiegła do niego, chwyciła za ramię.

- Panie Taylor... Lally... - odezwała się błagalnym głosem. Hugh spojrział na nią z góry i uwolnił ramię.

- Do diabła, wynoś się stąd, Rosie - powiedział ze złością.

- Nie, nie... - chlipała.

Dostrzegła, jak Hugh i jeden z policjantów chwycili za ramiona wysokiego mężczyznę, który stał przy nich. Zaczęli się szamotać.

Nagle rozległ się przeraźliwy krzyk.

- Tatusiu! Tatusiu!

Rosie się odwróciła. Mały chłopiec pędził przez halę i natychmiast ten wysoki mężczyzna minął ją, biegnąc w jego stronę.

Usłyszała, jak chłopiec mówi coś o złym człowieku. Może widział tego faceta, którego obserwowały z Lally? Mały płakał.

- Tatusiu, pomóż Sharon, ona jest ranna. Jest związana i jest tam z nią chora starsza pani - mówił przez łzy.

- Gdzie, Neil, gdzie? - dopytywał się błagalnie Steve.

- Chora starsza pani! - wrzasnęła Rosie. - To Lally! Jest w swoim pokoju. Wie pan gdzie, panie Taylor... W Sing-Singu... w starej pomywalni!

- Chodźmy! - zawołał Hugh.

Steve pchnął Neila w ramiona policjanta.

- Zabierzcie stąd mojego syna! - krzyknął i pobiegł za Taylorem.

Dwóch policjantów podążyło za nimi, zmagając się z ciężkim, metalowym arkuszem.

- Chryste! Wynośmy się stąd! - Ktoś otoczył Rosie ramieniem i pociągnął w stronę wyjścia. - Bomba wybuchnie lada moment!

Sharon słyszała tupot, gdy Neil zbiegał po schodach. Proszę, Boże, niech będzie bezpieczny. Pozwól mu uciec - modliła się gorąco.

Jęczenie starej kobiety ustało... Zabrzmiało ponownie... Zamilkło na dłużej. Gdy powtórzyło się znowu, było cichsze, lżejsze, jakby zamierało.

Sharon przypomniała sobie, że ta biedaczka powiedziała, iż chce tu umrzeć. Pochylając się, dotknęła splątanych włosów i pogłaskała je delikatnie. Czubkami palców gładziła pomarszczone czoło. Czuła wilgotną, chłodną skórę. Lally zadrżała gwałtownie. Jęki ustały.

Sharon wiedziała, że kobieta już nie żyje. A teraz ona miała umrzeć.

- Kocham cię, Steve - powiedziała głośno. - Kocham cię, Steve.

W wyobraźni ujrzała jego twarz. Potrzeba zobaczenia go była jak fizyczny ból, pierwotny, głęboki, przewyższający potworny ból w nodze i kostce.

Przymknęła oczy. „I przebacz nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom... W Twoje ręce powierzam duszę moją...”.

Uniosła powieki. W drzwiach stał Foxy. Uśmiechał się od ucha do ucha. Palce miał wygięte jak szpony, gdy zbliżał się do niej.

Hugh biegł po peronie. Wokół torów, w dół po rampie, na najniższy poziom dworca. Steve pędził obok niego. Policjanci, taszczący koc przeciwwybuchowy, usiłowali dotrzymać im kroku.

Byli na rampie, gdy usłyszeli krzyk.

- Nie!... Nie!... Nie!... Steve! Pomóż mi!... Steve!...

Czasy osiągnięć sprinterskich Steve'a minęły dwadzieścia lat temu. Ale w tej chwili poczuł ogromny przypływ sił, niesamowity strumień energii, który zawsze wzbierał w nim podczas wyścigu.

- Steeeeeveeee!... - Krzyk zamarł.

Schody, był już przy schodach. Pokonał je i wpadł przez otwarte drzwi do jakiegoś pokoju. Natychmiast zdał sobie sprawę z całego koszmaru rozgrywającej się tu sceny: leżące na podłodze ciało starej kobiety i Sharon, która próbowała uwolnić się z rąk pochylonej nad nią postaci.

Steve rzucił się na napastnika i uderzył głową w jego wygięte plecy. Obydwaj upadli na łóżko, które załamało się pod ich ciężarem i wszyscy stoczyli się na podłogę. Foxy oderwał ręce od szyi Sharon. Stał się chwiejnie na nogach, a potem przykucnął. Steve usiłował się podnieść, ale potknął się o ciało Lally. Oddech Sharon był jak śmiertelne rżenie torturowanego.

Hugh wbiegł do pokoju.

Zapędzony do kąta Foxy cofnął się, wymacał rękami drzwi do toalety, wskoczył za nie i zatrzasnął za sobą. Usłyszeli zgrzyt zasuwki.

- Wyłaż stamtąd, ty podła świni! - zawołał Hugh.

Policjanci, niosący koc przeciwwybuchowy, byli już w pokoju. Z wielką ostrożnością nakryli czarną walizkę ciężkim metalowym arkuszem.

Steve wyciągnął rękę w stronę Sharon. Miała zamknięte oczy, a na jej szyi pojawiły się sine pręgi. Ale żyła. Żyła! Podniósł ją, przytulił do siebie i odwrócił się w stronę drzwi. Jego wzrok padł na wiszące na ścianie fotografie, na zdjęcie Niny. Jeszcze mocniej przycisnął Sharon do siebie.

Hugh pochylił się nad Lally.

- Jej już nie ma - powiedział cicho.

Dłuższa wskazówka zegara zbliżała się do szóstki.

- Wynosić się stąd! - zawołał Taylor. Wszyscy rzucili się w stronę schodów. - Tunel! Idźcie do tunelu! - krzyczał.

Przebiegli obok generatora, obok wentylatorów, na tory, w ciemność...

Foxy słyszał oddalające się kroki. Już ich nie ma. Nie ma! Odsunął zasuwkę i otworzył drzwi. Widząc metalowy koc na walizce, zaczął się śmiać głębokim, dudniącym, urywanym śmiechem.

Dla niego było już za późno. Ale i dla nich. Przecież Foxy zawsze wygrywa! Sięgnął ręką do metalowego arkusza i próbował zderzyć go z walizki.

Oślepiający błysk i huk, który rozdarł mu bębni w uszach, przeniósł go do wieczności.

Godzina jedenasta czterdzieści dwie rano.

Bob Kurner wpadł do kościoła Świętego Bernarda, przebiegł przez główną nawę i objął ramionami klęczącą postać kobiety.

- Czy już po wszystkim? - zapytała. W jej oczach nie było łez.

- Czy już po wszystkim? - powtórzył Bob. - Mamusiu, chodź i zabierz swoje dziecko do domu! Mają niepodważalny dowód, że inny facet popełnił to morderstwo. Mają taśmę z nagraniem, jak to robił. Gubernator kazała natychmiast wypuścić Rona z więzienia.

Kate Thompson, matka Ronalda Thompsona, niezłomnie wierząca w dobroć i miłosierdzie Boże, zemdląła.

Roger Perry odwiesił słuchawkę i odwrócił się do żony.

- Zdążyli na czas - powiedział.

- Sharon... Neil... Czy obydwójce są bezpieczni? - spytała szeptem Glenda.

- Tak... A chłopak Thompsonów wraca do domu.

- Dzięki Bogu - odezwała się, podnosząc rękę do szyi. Dostrzegła w tym momencie niepokój na twarzy męża i natychmiast dodała: - Roger, czuję się świetnie. Odłóż te cholerne pigułki i zrób mi dobrego, porządnego drinka jak za dawnych czasów!

Hugh obejmował ramieniem płaczącą cicho Rosie.

- Lally uratowała swoją stację - powiedział. - Mamy zamiar wnieść petycję do władz, aby umieszczono tu tablicę pamiątkową na cześć twojej przyjaciółki. Założę się, że gubernator Carey osobiście ją odsłoni. To miły facet.

- Tablica pamiątkowa dla Lally - szepnęła Rosie. - Och, bardzo by jej się to podobało.

Jakaś twarz płynęła gdzieś ponad nią. Miała umrzeć i nigdy już nie zobaczyć Steve'a. Nie... nie...

- Wszystko w porządku, kochanie. Wszystko w porządku!

Głos Steve'a! To twarz Steve'a widziała przed chwilą!

- Już po wszystkim. Jesteśmy w drodze do szpitala. Tam zajmą się twoją nogą - powiedział ten sam głos.

- Neil...

- Jestem tu, Sharon. - Rączka, delikatna jak motyl, poruszyła się w jej dłoni.

Sharon czuła usta Steve'a na policzku, czole, ustach. Głos Neila zabrzmiał przy jej uchu.

- Sharon, tak jak mi mówiłaś, cały czas myślałem o prezencie, który mi obiecałaś. Sharon... Tak dokładnie, to ile pociągów masz dla mnie?

[1] Fox w języku angielskim znaczy lis (przyp. tłum.).